

NOWA POLSKA

MIESIĘCZNIK

TOM II

NEW POLAND MONTHLY

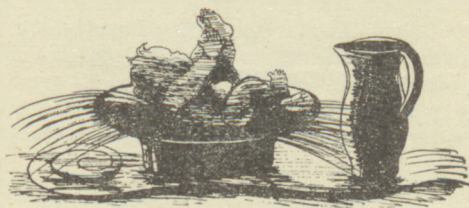
ZESZYT 6

LONDYN

CZERWIEC

1943

KAROL ESTREICHER



MIEDZIANA MIEDNICA

Julianowi Tuwimowi

Gdy wielka miedziana miednica stojąca zazwyczaj w łazience zaśniała złotym blaskiem — znak to był że dokonano porządków świątecznych. Zapach terpentyny i pasty do podłogi już się ulotnił, firanki Wincenty już powiesił przy czym o mało nie spadł z drabiny, bo od rana jeszcze nic nie pił i kręciło mu się w głowie, posadzki i szyby błyszczwały, kurzu nie było ni śladu, w kanapie znalazł się dawno oplakany scyzoryk, oko lalki oraz jeden sandał Ewy. Na znak tryumfu czystości nad brudem, organizacji domu nad jego anarchią, energii mej matki, która nawet ojca zmusiła do uporządkowania biurka, na znak że święta się zbliżają, że będą babki i placki, ciotki i prezenty, święcone i wilia, boże groby i drzewko — miednica radośnie czerwieniła się blaskiem miedzi.

Nikt się w niej nie mył, bo była ciężka i duża, a nadto ciekła trochę co jej przechodziło o ile słomką i chlebem została zatkana. Jej odwinęte płasko brzegi sprawiały, że była niewygodna, bo łatwo wylewała się z niej woda. Była jednak miednicą pamiątkową, co stale mi uświadamiano, chcąc wzbudzić dla niej szacunek.

Babka dostała ową miednicę do wyprawy, od babki moja matka. Ale już wtedy gdy otrzymała ją babka nie była miednica nowa. Liczyła kilkadziesiąt lat służby u pradiada mego Ambrożego Grabowskiego, księgarza i obywatela Krakowa, który ją kupił w roku 1809 gdy na współlokatora przyjął do swego ubogiego mieszkania Kazimierza Brodzińskiego. W niej mył się kiedyś autor „Wiesława“.

— Czy cały? — pytałem zawsze w tym miejscu, rozumując że w takim razie miednica powinna być cenniejsza.

Historię miednicy opowiadano mi parokrotnie, zawsze w połączeniu z nudną nauką abym w dno jej nie bił patykiem czy pałą. Z obserwacji domowego życia było mi wiadomym że miednica służyła do „przepierania“ pończoch mamy oraz naszych. Krzysia pamiętająca ode mnie znacznie dawniejsze czasy, twierdziła że była świadkiem jak prano w tej miednicy moje pieluchy a nawet mnie w niej szorowano. Nie wiem dlaczego czułem się tym obrażony.

Mej zadrażnionej dumy nie uspokoił fakt, o którym dowiedziałem się na pocieszenie od matki, że także Ewy i Krzysi pieluszki prano kiedyś w tej miednicy a nawet ojca i jego rodzeństwa. Że kąpano w niej nie tylko mnie, ale i moje siostry i ciotki, bo miednica była „poręczna“ do takich właśnie zabiegów. Nie uniałem sobie tego wyobrazić, podczas kiedy Krzysia pamiętała moje kąpiele i tu była jej wyższość.

Może z powodu tych pieluch byłbym nienawistnie usposobiony do miednicy Kazimierza Brodzińskiego, gdyby nie to że wydawała dźwięk wspaniały i potężny. Nadto służyła za tarczę, za naturalny cel strzałów grochem z armatki i była oceanem, po którym pływały papierowe okręty.

Tego dnia matka wyszła z siostrami do miasta a w kuchni Walentyna klóciła się z praczką jak zazwyczaj podczas wielkiego prania. Ojciec siedział w swoim pokoju. Zamknąłem drzwi i zachęcając kosynierów do boju przeciw Indianom, tłukłem co sił w miednicę. Dla zwiększenia efektu gwizdałem jeszcze na gwizdku naśladowując konduktora. Byłem pewny że nikt mnie nie słyszy.

— Cóż za hałas wyprawiasz? — zapytał ojciec wchodząc do pokoju w płaszczu i z kapeluszem w rękę.

Nie opłacało się szukać wymówek, a cóż dopiero kłamać. Skutki byłyby znacznie gorsze. Natomiast umiejętne wytłumaczenie sytuacji mogło odwrócić jego uwagę.

— Ja tylko bębnię do ataku. . .

— A przecież masz nowy bęben?

— Mam, ale jest dziurawy.

W istocie był dziurawy, bo się w nim dziura zrobiła, jak próbowałem na nim siedzieć udając Napoleona. Zresztą miednica o wiele głośniej i lepiej spełniała zadanie bojowe.

— Znowu pani Idalia Pawlikowska będzie się skarżyć na hałas w kamienicy. Doktor Kluger wymówi mi mieszkanie.

Ojciec rzadziej irytował się od manny i tym razem także przemawiał tonem perswazji. Matka dawno odebrałaby miednicę i jeszcze postawiłaby mnie do kąta, co mi się niestety coraz częściej zdarzało, czasem aż dwa razy dziennie.

— Rzuć zabawki, ubierz się prędko i wyjdziemy na miasto. Jak wrócimy nauczę cię takiej zabawy z miednicą której jeszcze nie znasz, pod warunkiem przyrzeczenia że nie będziesz w nią więcej tłukł.

— A jaka to zabawa? W okręty?

— Nie powiem ci. Musisz przyrzec. . .

Milczałem. A nuż znałem tę zabawę? Może to wsiadanie do miednicy, może popychanie jej po podłodze lub toczenie? Zapytałem:

— Eh! Już wiem. To pewnie „duszenie poduszki“! „Duszenie poduszki“ było wynalazkiem Ewy. Polegało na tym, że poduszkę wciskało się do miednicy, po czym można było siaść na niej i jeździć przebierając nogami. Gładkie dno miednicy ślizgało się świetnie po posadzce. Była to również jedna z zakazanych zabaw.

— Nie. Wcale nie taka zabawa, której nie wolno.

Ciekawość moja została zaostrzona, a pomysłowość wyczerpana. Przebiegłem w pamięci wszystkie zabawy z miednicą: bębnienie, toczenie,

okręty, sypanie w nią kasztanów, wyginanie, „katastrofę“ polegającą na zrzuconiu jej ze stołu, pranie dla lalek, ogród który Krzysia bardzo ładnie umiała w niej urządzić, gotowanie na niby i najświetniejszą ze wszystkich zabaw, którą raz wymyśliłem, ale za którą matka dała mi po łapie.

— Już wiem! — zawołałem — ognisko!

Ognisko polegało na tym, że w miednicy podpalało się gazety z czego był ogień i dym nadzwyczajny.

— Nie, powiedziałem ci że nie taka zabawa, która jest zakazana.

— No to jaka?

— Musisz przyrzec, że nie będziesz bębnił w miednicę.

Cena za zdradzenie tajemnicy była bardzo wysoka. A nuż zabawa okaże się nudna?

Do tego wszystkiego wiedziałem, że ojciec wcale nie przez szacunek dla pamiątkowej miednicy zakazywał mi bębnić w nią, ale po prostu dlatego że był niemuzyczny. Trąbkę od babci na pewno schował mi on i na wakacjach dopiero podrzucił. Kiedy panna Dusia Markiewiczówna uczyła się naprzeciwko gry na fortepianie, ojciec zamykał wszystkie okna. Nigdy nie interesował się orkiestrą na ulicy ani katarynkami na podwórzu. Tym ostatnim to nawet rzucał pieniądze w papierku, żeby tylko przestały grać.

Namyślałem się. Palila mnie ciekawość i niepewność. Czy ojciec nie wyłudzi ode mnie przyrzeczenia, za które nie poznam równie cennej zabawy? Choć z drugiej strony nie zdarzyło się aby mnie oszukał.

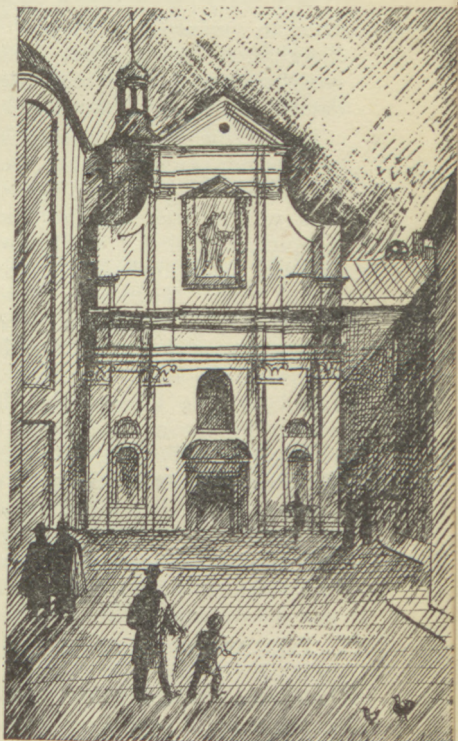
— Jak chcesz. Ja się tej zabawy z miednicą nauczyłem od mego ojca, także za to żebym w nią nie bębnił. Zapewniam cię, że jest interesująca.

— Ale czy długo trwa? — pytałem, chcąc przynajmniej jakiś szczegół wytargować.

— Nic ci więcej nie powiem. Namyśl się. A teraz pójdziemy na spacer. No, prędko, bez guzdrania!

Krakowianie znający dobrze miasto pamiętają kościół PP. Prezentek stojący na rogu ulicy św. Jana i ulicy św. Tomasza. Romański w swych murach datuje się jeszcze z czasów przed lokacją miasta i dlatego wkracza w połowę ulicy. W ten sposób tworzy się malowniczy plac, zacieniony wysokimi kamienicami. Za apsydą, w najciemniejszym kącie zaułka, gdzie światło i powietrze rozproszone, szare i ponure, gdzie wilgoć, cień i chłód wśród skarp kościoła panują, mieściły się składowy śmiecia i wszelkiego niechlujstwa. Kiedyś Rada Miejska się zajęła tym kątem bo zdarzało się zbyt często, że w nocy lekkomyślne krakowianki wabiły tam nieodznaczonych młodzieńców z czego wynikały różne kłopoty. Rezultatem obrad Rady Miejskiej było umieszczenie w tym miejscu gazowej latarni, którą niestety gasił złośliwy zefir.

W samym rogu zaułka tuż przy murze kościoła, właściciel wielkiej kamienicy wpadł na pomysł, by pokój gdzie nikt mieszkać nie chciał przerobić na sklepik. Długi czas lokal ten stał pustką aż wreszcie znalazł się człowiek, który go wynajął bo sklepu potrzebował a klienteli nie. I w



ten sposób w latach siedemdziesiątych, za dobrych czasów warszawskowiedeńskiej kolei, za panowania Modrzejewskiej, Matejki i Sienkiewicza otwarł Jakub Maurycy Himmelblau swoją antykwarnię w której życie spędził, często zapominając że nadszedł szabas.

Zakurzona, brudna szyba wystawy była myta jedynie przez wiosenne burze i jesienne deszcze. Wówczas przejaśniała się trochę i oko przechodnia było w stanie dojrzeć broszury, rękopisy, książki i księgi, dyplomata, nuty bezładnie nagromadzone. Wśród nich widać było brązowe popiersie Szujskiego, zegar z Napoleonem, dwa lichterze, kilka czerwonych pieczęci, pudełko monet oraz aparat fotograficzny z napisem „okazja“. Prawda, była tam jeszcze lornetka odarta ze skóry.

Gdy weszło się do sklepu, uderzał ostro dzwonek raz za pchnięciem drzwi — potem drugi raz, gdy drzwi się zamykało. Wzdłuż długiego lokalu stała lada, a na niej pełno książek. Zapomniane powieści, przestarzałe zbiory prawnicze, skorowidze i skoropisy, rozporządzenia podatkowe z przed lat, kolejowe rozkłady jazdy, schematyzmy królestwa Galicji i Lodomerii — słowem makulatura nie mogąca znaleźć czytelnika, nadająca się wyłącznie do papierni.

Za ladą na półkach książki nie lepszy przedstawiały widok. Elementarze wycofane ze szkół, poobdzierane z okładek, rozstrzępione, porozpruwane. Obok zajmował miejsce pełny nakład jakiejś broszury wydanej w Paryżu przez Januskiewicza, nierozcięte kazania ks. Kajsiewicza, kilkadziesiąt lipskich tomików Brockhousa, „Roczniki Polskie“ Hotelu Lambert, „Nowa Polska“ Ostrowskiego, Peławskiego „Listy o Krakowie“ których na starość wstydził się ks. Kalinka, Mierosławskiego dzieła militarne, Buszczyńskiego rozprawę ekonomiczną i Hoene-Wrońskiego przez nikogo nieczytane filozoficzne traktaty. Ten zapas książek z Wielkiej Emigracji przywiózł do Krakowa pewien staruszek księgarz i gdy z głodu umarł kupił go po nim Himmelblau.

Były czasy gdy panował na półkach jakiś porządek, a książek z różnych dziedzin musiało być więcej. Widniały jeszcze napisy działów starannym charakterem wyciągnięte: Religia, Filozofia, Łacina, Medycyna, Prawo, Gospodarstwo, Powieści, Literatura Piękna — ale było to chyba bardzo dawno, skoro część kartek była naderwana lub odstawała od desek.

Pod ścianą wzdłuż sklepu leżały stosy książek, niesforne, roztrzępane, ciśnięte bez porządku i bez szacunku. Znowu były to książki przestarzałe i nieaktualne. Kilkaset egzemplarzy „Przewodnika dla kuracjuszków u wód galicyjskich“ nikogo nie zachęciło do leczenia reumatyzmów w Krynicy, w Rabce i w Szczawnicy. Drugą potężną kupę tworzyły stare roczniki „Kłósów“, „Tygodnika Ilustrowanego“, „Wędrowca“, „Bluszczu“ oraz „Tygodnika Mód i Powieści“, niekompletne, nieoprawne, związane tylko sznurkiem. Na nich jak na potężnej bazie leżały kalendarze sprzed pół wieku: Kalendarz Polski i Ruski lub Kalendarz Astronomiczno-Gospodarski, Parafialny, Dla Domu i Szkoły, Pielgrzymstwa Polskiego, Izraelski, Dla Uczącej się Młodzi, Kapłański, Humorystyczny i przede wszystkim ów najdawniejszy, który genealogię swą wprost wywodził od słynnych w XV wieku kalendarzy Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kalendarz Krakowski Józefa Czecha rok rocznie starannie wyrachowany. Na samym szczycie piramidy leżały książeczki do nabożeństwa zaczytane i zamodłone, które od Bractwa Literatów przy kościele św. Wojciecha dostały się do antykwarni oraz nakład popularnego wydawnictwa ze zmienną datą w tytule: „Powinności i obowiązki ze stosunku pańszczyźnianego wynikające dla dworu i gminu spisane w r. 1846“.

Pajęczyny miały tu swoje królestwo. Oplatały księgi po kątach i na półkach i rzadko kto rwał ich misterne koronki. Ponieważ much tu nie było, więc łapały kurz i brodate, omszone, niczym siedzielnicy w borze tratrańskim lub stalaktyty w kopalniach wielickich zwisały z sufitu.



W sklepie panował zaduch, ponury i odurzający nie powiem jednak aby przykry. Zapach to był książek i pleśni, kurzu i lampy gazowej, syczącej równomiernie w górze.

Wszedłszy tutaj zatracalo się poczucie czasu. Czy był to rok 1872 czy 1912 trudno było powiedzieć, bo z pewnością nic się tu nie zmieniło od lat. Miasto huczało daleko, czasem głos z ulicy dolatywał lecz stłumiony i nieśmiały jak przechodzeń, który wszedłszy mimo woli poddawał się nastrojowi miejsca. Płynęły chwile, godziny, dni, lata — a książki bezładnie leżące leżały cierpliwie.

Czasem tylko ze stosu w kącie zesunęła się jedna, oparła się swoim ciężarem o drugą i z kolei ją poruszyła. Powoli nacisk się zwiększał, opór malał, ustąpiła trzecia i czwarta książka i kupa przechyliwszy się runęła w dół zasypując wąskie przejście na dowód, że prawa lawiny nie tylko panują wśród gór.

Gdy oko klienta przywykło do mroku, gdy objęło tę dziwną składnicę książek — leniwie, po ladzie, po papierach i broszurach krok za krokiem szedł kot, który spojrzawszy na gościa zeskakiwał z lady i uciekał w głąb sklepu. Tam przeskoczywszy trzy stopnie zniknął za małymi drzwiczkami.

Dopiero wtedy pokazywał się gospodarz. Brodaty żyd w surducie, świadczącym, że jego właściciel nie przywiązuje żadnej wagi do stroju. Antykwarz pochylony i trzęsący się szedł z trudem. Zza okularów opadłych na koniec nosa patrzyły blade oczy w przekrwionych powiekach.

— Czego? — pytał niegrzecznie.

Jeśli klientem był student, który szukał podręcznika szkolnego lub ściągaczki-bryka do Cezara czy Ksenofonta, odpowiedź brzmiała:

— U mnie nie ma. . .

Kryło się za nią coś więcej jak niechęć sprzedaży książki czy trud szukania jej. W ten sposób chciał antykwarz zniechęcić klienta, chciał na zawsze ustalić w jego opinii przekonanie, że nie ma co do niego przychodzić.

Tak samo odpowiadał innym gdy padały pytania o książkę kucharską, sennik egipski, listownik, o Lekarza domowego, o Poradnik małżeński dla obojga płci lub o Medytacje na wszystkie dni roku:

— U mnie nie ma. . .

Ta kategoria gości zdarzała się też rzadko, coraz rzadziej, bo rychło nauczyli się wszyscy, że nie warto wstępować do antykwarni, gdzie właściciel najpotrzebniejszych książek nie trzyma na składzie.

Od czasu do czasu jednak trafiali się naiwni, którzy próbowali sprzedaży książek: uczeń z końcem roku szkolnego chcący pozbyć się źródeł swej wiedzy, student prawa czy medycyny z podręcznikiem lub żona recenzenta z egzemplarzami autorskimi.

Himmelblau odpowiadał wtedy:

— Ja nie kupuję tego. . .

Znowu po to aby oduczyc wszystkich wstępowania do sklepu, aby dać mu święty spokój.

Ale prócz tej kategorii gości jest jeszcze w antykwarniach inna, najczęstsza i najgroźniejsza: przechodzeń zwabiony widokiem książek a mający chwilę czasu, wstępujący bez określonego celu aby popatrzeć czy nie znajdzie czegoś z zakresu poezji, francuskich romansów, socjalizmu, pornografii, filozofii i medycyny. Czytelnicy dopytujący się o poszczególne rodzaje piśmiennictwa mniej irytowali Himmelblaua. Tym odpowiadał krótko, stwierdziwszy że książek nie ma lub że je wyszuka na przyszły miesiąc. Niebezpieczni byli ci którzy wstępowali bez określonego pragnienia — tak aby popatrzeć — a którzy grzebali w stogach książek i na półkach, każąc czekać właścicielowi.

— Tam pan nie znajdzie nic, tam nie ma co patrzeć.

Skoro jednak zaciekle gość nie dawał za wygraną i wyciągnąwszy książkę pytał o cenę, taki rozpoczynał się dialog:

— Ile za tę książkę?

— Ona droga. . .

— Ale ile?

— Pan nie kupi. . .

— Ależ ile? — pytał zniecierpliwiony klient.

Cena bywała zawsze bardzo wysoka, odstrasżająca. Klient opuszczał sklep, widząc że ze starym nie dojdzie do porozumienia.

Zdarzało się, że przecież gość godził się na słoną cenę i trzymając w ręku książkę sięgał do kieszeni po pieniądze. Wówczas zły, ponury Himmelblau niemal że wyrzynał mu ją z ręki i nieuprzejmie mówił:

— Zawinę. . .

Zawijanie trwało dobrą chwilę. Staremu ręce się trzęsły, papieru nie mógł znaleźć ani sznurka. Równocześnie odchyłał okładki i patrzył na kartę tytułową czytając ją dokładnie. Wreszcie szybko wręczał książkę gościowi, brał nie licząc pieniądze i wkładał do szuflady.

Lecz i taka scena nie zawsze miała miejsce. Gdy klient zapytywał:

— Ile za „Herbarz“ Paprockiego?

— To już kupili. . .

— A „Studia dyplomatyczne“ Klaczki?

— Też nie do sprzedania. . .

— A Grabowskiego „Starożytnicze wiadomości“?

— Kupione.

— Cóż w takim razie można tutaj kupić?

— Ny, tu jedni panowie to wszystko u mnie zamówili. To mnie ciężko sprzedać. . .

Zniecierpliwiony klient opuszczał sklep często trzaskając drzwiami na dobitkę.

Wówczas stary ożywał się. Z chyżością, której niktby nie podejrzewał u niego biegł w głąb antykwarni i znikał za małymi drzwiczkami, kontent że został sam.

A pokój w którym siedział to była osobliwa komórka z oknem wychodzącym na podwórze, gdzie śmietnik ocieniała suchotnicza akacja. Pod oknem stał stół, przed nim fotel, z którego wylażyły sprężyny. Lampa gazowa paląca się cały dzień, żelazny piecyk i rygienka z resztkami cebuli, węgiel w kubelku dopełniały urządzenia. Pod ścianami stały półki z książkami.

Osobliwe to były księgi! Nawet niewprawne oko rozeznałoby, że format ich i oprawa były inne od książek w sklepie, od zwyczajnych, używanych codziennie w domu, w szkole, w urzędzie.

Niżej stały grube folia w skórę oprawne z grzbietami dzielonymi poziomo przez małe garby, jakie tworzą sznurki spajające arkusze. Czasem na grzbiecie naddartym lub pękniętym złożyły się litery napisu, resztki dawnej świetności, a czasem widać było pożółkłą nalepkę. Na górnych półkach równo i starannie ustawione stały małe ósemki i szesnastki oprawne w

pakunkowy papier, tam gdzie okładka nie mogła już więcej służby wykonywać.

Himmelblau siedział przy stole i czytał. Gdy zmęczone oczy łapczywie wpatrzone w książkę dojrzeć już nie mogły liter brał szkło powiększające i zmuszał wzrok by pracował spieszniej i wyraźniej.

Od czasu do czasu poprawiał na głowie kapelusz lub czapkę futrzaną, którą w zimie nosił. Jeśli treść książki szczególnie go zainteresowała to notował coś na kartce papieru. Pokurczone, powykręcane miał palce jak korzenie drzewa.

Kiedy ojciec wszedł ze mną do pokoju za antykwnią, poznałem że stary Himmelblau ucieszył się, bo prosił siadać i podsunął „do pana profesora“ fotel skórzany, mnie zaś dał do obejrzenia „Wojsko polskie Kościuszki“ wydane przez Bartoszewicza.

Ale rozmowa ich była dla mnie ciekawsza, niż obrazki przedstawiające kawalerię narodową, gwardię strzelców pieszych koronnych i kosynierów. Toczyła się mniej więcej tak:

— Ja już dawno czekał pana profesora i dlatego napisał kartkę. Muszę się pytać o różne rzeczy. Widziałem jak pan szedł do „Czasu“, ale nie śmiałem zaczepiać.

— Cóż takiego?

— Z Królestwa ja dostał furkę książek po jednym panu hrabim, co tam umarł i pani hrabina sprzedała. Są drogie książki i osobliwości.

— Polskie druki?

— Polskie i nie polskie, ale do „Bibliografii“.

— Jakież?

— Niech się pan profesor patrzy.

— Aa! Królewskie! A ten klocek w sprawie toruńskiej zestawiony w Berlinie.

— Czy pan to zna?

— Tak. To chyba jest w Bibliotece Jagiellońskiej, a jak nie to będzie w Ossolineum. Pisał pan do Bernackiego?

— Ny, jeszcze nie. A to wydanie?

— „Jovialitates“ Potockiego, 1747, to nic nadzwyczajnego. Może pan sprzedać.

— Ale do tej książki to ciekawość zbiera?

— Machiavelli, „Storie Fiorentine“, wydanie weneckie.

— Niech ino pan profesor czyta co tu napisane.

— Rzeczywiście. Cenny egzemplarz, był własnością Starowolskiego, to będą jego adnotacje. Bardzo ciekawe!

— Więc, ja tego nie sprzedam.

I taka odpowiedź padała w stosunku do większości książek, które ojciec mój oglądał i których wartość bibliograficzną oceniał. Jedno po drugim z oglądanych dzieł Himmelblau brał od ojca i stawiając na półki powtarzał:

— To ja tego nie sprzedam. . .

I tak między uczone dzieła Leopolity, Hoziusza, Łaskiego, Tretera, Kochanowskich, Modrzewskiego i Przyłuskiego szły nowe tomy i tomiki pism Leszczyńskiego, Potockiego Wacława, Skargi. Na półkach mieściła się cenna biblioteka staropolskich pisarzy w autentycznych wydaniach. Posiadał Himmelblau zbiór Statutów Polskich i Volumina Legum Konarskiego. Jedną półkę zajmował w tomach zebrany komplet „Kuriera Polskiego“ drukowanego u Pijarów w XVIII wieku. Alchemiczne traktaty Sędziwoja, wydania kronik Długosza i Bielskiego, Żywoty Świętych Skargi, wiele panegiryków i doktorskich rozpraw mieściło się na półkach. Świetnie zachowany egzemplarz „Statutu Wielikeho Kniastwa Litowskoho“ po białorusku drukowany na pergaminie w roku 1588, był największą chlubą Himmelblaua. Wychodząc na noc chował go w dziurze pod deską podłogi.

— To jest Radziwiłłowski egzemplarz. Nawet w Bibliotece nie mają takiego.

— Tam jest ten kupiony od ks. Polkowskiego. Kosztował o ile pamiętam 250 reńskich.

— Ny? Ale od kogo go ks. kanonik Polkowski miał? Od Himmelblaua — mówił z dumą.

Ukochanym autorem starego antykwarza był ks. Szymon Starowski kanonik krakowski, polihistor XVII wieku jak Lelewel zeszłego wieku, a Brückner naszych czasów. „De rebus Sigismundi Primi“ lub „Reformację obyczajów polskich“, a przede wszystkim „Żywoty stu znamienitych pisarzy polskich“ czytał parokrotnie i stamtąd wiedzę posiadał.

Miał Himmelblau swe gusta i upodobania. Miał wśród zapomnianych pisarzy Rzeczypospolitej osobiste swe antypatie i wrogów.

— Co pan profesor powi do tej brzydkiej książki?

— Śleszkowski Sebastian — czytał ojciec — „Jasne dowody o doktorach żydowskich, że nie tylko duszę ale i ciało swoje w niebezpieczeństwie zginienia wiecznego wdają“, drukowane w Kaliszu, 1623. To jednak cenna książka, panie Himmelblau, jest o ile pamiętam w Dzikowie, u Czartoryskich i w Ossolineum.

— Ny, to ja ją sprzedam do Biblioteki.

Biblioteka była zawsze dla niego jedna. Jagiellońska. Książkę, której nie polubił, sprzedawał za karę po wysokiej cenie.

— Tu pisze o tym liberum veto, objaśniał ojcu, podając Seweryna Rzewuskiego „O tronie polskim zawsze obieralnym z dziejów i z prawa dowody“.

— Cenne dzieło dla dyskusji nad konstytucją majową.

— To ja na nim zarobię, bo mi się nie podoba. Już pisałem do Czartoryskich.

Potem pokazał ojcu ciężki pergaminowy kodeks zapisany drobnym pismem.

— Ja trochę przeczytałem, ale się jeszcze nie nauczyłem, może pan profesor rozezna?

— Ależ panie Himmelblau — mówił ojciec po chwili — to niesłychanie cenny rękopis z XII wieku. Wyraźnie tu napisane, że pochodzi z klasztoru św. Mikołaja pod Kaliszem.

— Ja też tak napisał do ks. rektora Fiałka do Lwowa i ón tu zaraz przyjechał, chciał książkę kupić, ale ja mu jej nie sprzedał. Tam jest napisane o opacie Szymonie, co umarł w Łądzie w 1188 roku.

— Czemż pan jej nie sprzedał?

— Bo ja jej jeszcze nie przeczytał. . .

— Ale czy nie lepiej, żeby manuskrypt znalazł się w Bibliotece.

— Lepiej, lepiej, ale to po mojej śmierci. . .

Wielokrotnie w ciągu lat naszej późniejszej przyjaźni, którą zaszczycał mnie stary antykwarz, słyszałem tę jego odpowiedź. Była w niej zachłanność i łapczywość skąpca, który siedzi na skarbach, było jakieś maniactwo, przywiązanie i ciekawość ale przede wszystkim była miłość polskiej przeszłości.

W czasach powstania styczniowego Jakub Himmelblau był młodym i ruchliwym człowiekiem. Dobrze mu się wiodło wówczas, bo razem z krakowskim kupcem Fenzem wyspecjalizowali się w handlu odznakami patriotycznymi, których kraj tak bardzo potrzebował. Zamawiali u rzemieślników w Lipsku i w Dreźnie krzyżyki, orzelki i pogonie, pierścionki za kajdan, obrączki z napisem Polska, cierniowe korony, kosy skrzyżowane, które w pakach z napisem „galanteria“ przychodziły do Krakowa a stamtąd przemycane były do Miechowa lub do Sandomierza za Wisłę. Jeździł z towarem Himmelblau aż do samych warszawskich rogatek, a czasem na furce pod sianem i



kilkaset numerów „Pobudki“ lub „Korony i Litwy“ lub „Powstańca“ przewiózł. Najlepiej zarobił, kiedy w lasy świętokrzyskie z polecenia rabina Meizela zawiózł raz całą skrzynię krótkich pistoletów ze Śląska.

Stryj jego był przyjacielem Juliusza Kossaka.

— Mój stryjek to był kolega pana Kossaka, bo oba pochodzili z Wiśnicza. Tak ón pomagał panu Kossakowi malować.

„Pomagał malować“ oznaczało, że sterczał w pracowni Kossaka i jeszcze mokre „Stadniny“ i „Husarzy“ wyrwał mu z pod pędzla z góry mając na nie kupca.

Ojciec mój zachodził do Himmelblaua, siedział u niego godzinę, dwie i oceniał książki. Doradziwszy mu jakiej bibliotece polskiej ofiarować kupno lub odczytawszy jakiś rękopis był wdzięcznie zegnany przez starego, który rzecz dziwna sprzedając książki do polskich księgozbiorów zadawał się na ogół małym zarobkiem.

Na stole leżało pełno antykwarskich kata'ogów. Himmelblau wyciągnął jeden z nich.

— Ja już pisał do Rosenthala o ten druk Stankara. Już go kupili na licytacji i tanio. Będzie go pan profesor taniej miał przeze mnie niż wprost.

Na całym świecie miał swoich przyjaciół, znajomych, krewnych, do których pisywał i którzy pisywali do niego niedługie ale ważne listy.

Kiedyś przeczytałem, że w Lipsku podczas targów odbędzie się wielki zjazd organizacyjny antykwarzy. Zapytałem starego czy pojedzie na ten zjazd.

— Po co ja mam jechać kiedy ja ich wszystkich znam i oni mnie znają?

Tak było w istocie. Drobnym hebrajskim alfabetem od prawej ręki pisanym, szedł jego list do Pragera w Berlinie, do Rosenthala w Monachium, do Rappaporta w Rzymie, do Pereza w Madrycie. Znał go i Wilder w Warszawie i Jolowicz w Poznaniu i Jablonko we Lwowie, znali go wszyscy antykwarze na Świętokrzyskiej w Warszawie, przy Charing Cross Road w Londynie i znali go hurtownicy bukinistów nadsekwańskich. Nawet w Nowym Yorku przy 57 ulicy miał swego krewnego, który z Blumenfelda stał się Bloomfieldem. Na Kercelaku, na Tandecie, na Marché aux puces i na Caledonian Market, gdzie nie było antykwarni zawsze byli handlarze starzyzną, którzy wiedzieli, że jak jakaś stara książka polska lub o Polsce się wała, to należy pisać do Himmelblaua tym prędzej im starszy jest druk. Z Bochni, z Tarnowa, z Chrzanowa znajomi, krewni i przyjaciele i przyjaciele przyjaciół słyszeli o starym Jakubie, że on najlepiej książkę oceni lub kupi.

Na Corso Umberto w Mediolanie świetnymi szybami wystawy błyszcząca wielka antykwarnia Simona d'Azzurro, która raz do roku wydawała katalog luksusowo ilustrowany, prawdziwą ozdobę każdej biblioteki. Szef firmy udzielał się rzadko. Mieszkał w pięknej willi podmiejskiej, był właścicielem stajni wyścigowej, członkiem wielu klubów, teściem hrabiego Buonacorssi, przyjacielem klubowym Edwarda VII oraz osobistym Anatola France'a. W roku 1890 urządził w Paryżu ucztę, na której wręczył przyszłemu królowi Wielkiej Brytanii dar ipsisce królewski: manuskrypt Owidiuszowej „Ars Amandi“, co kiedyś zdołał bibliotekę papieża Syxtusa IV iluminowaną ręką Boticella. Z tego powodu France napisał do Messer d'Azzurra jeden z najdowcipniejszych swoich listów, który po śmierci wielkiego pisarza wydany pod tytułem „Nowe Prowincjałki“ bawi do dziś swą satyrą. Kierownicy wielkich europejskich bibliotek zabiegali o przyjaźń d'Azzurra, licząc się z jego wpływami. Milionerzy amerykańscy przez niego zakupywali rzadkie druki i manuskrypty na licytacjach księgozbiorów nie tylko włoskich czy europejskich ale także indyjskich i chińskich. On to ze szachem perskim przeprowadził kupno słynnego kodeksu biskupa Maciejowskiego, który z Persji dostał się do zbiorów Morgana.

W antykwarni d'Azzurra dyrektorowie trzech działów antycznego, europejskiego i wschodniego wiedzieli i wiedzieli zastępcy dyrektorów i ich

sekretarze, że jeśli z Krakowa nadejdzie mały list hebrajskim szyfrem zapisany, należy go nieść do szefa firmy niczym najpilniejszy telegram z Londynu czy z Paryża. Wówczas szef domu zazwyczaj pełen powagi i niezwyklej godności wkładał nieco nerwowym ruchem okulary w złotej oprawie i po chwili wydawał polecenie. Dziwił się zawsze referent zakupów czemu dla jakiegoś lichego słowiańskiego druku tyle musi zużywać trudu, tyle zawiadomień do wszystkich agentów rozpisywać. Dziwił się, ale nie śmiał się pytać. Znał słabość szefa.

Himmelblau miał przyjaciół wszędzie, którzy w razie potrzeby służyli mu pomocą. On to jednego dnia otrzymał z Odessy świstek papieru, zbyt poufny aby go powierzono poczcie. Trzy tygodnie upłynęło zanim podawany z rąk do rąk, wieziony od miasteczka do miasteczka przez Żytomierz, Berdyczów, Brody i Przemysł dotarł do Krakowa na ulicę św. Tomasza. Zawierał osobliwą wiadomość, że jeśli wspaniałą i autentyczną tiarę króla Sajtafernesza ofiarują na sprzedaż księżtom Czartoryskim, to przyjaciele donoszą Himmelblauowi, że interes jest niepewny mimo niskiej i zachęcającej ceny. Tego jeszcze dnia późną porą odwiedził Himmelblau dyrektora Muzeum Czartoryskich, profesora Mariana Sokółskiego i odbył z nim dłuższą konferencję.

O osobliwa międzynarodówko antykwarzy! Czy odżyjesz kiedyś ty wspaniała, podziemna, ściśle tajna organizacja, bardziej podziemna niż wszystkie rewolucyjne ruchy świata, bardziej tajna niż wszystkie masonie, bardziej skuteczna niż wszystkie międzynarodówki? Siłą swej organizacji, konsekwencji a wzajemnych popierań, przewyższająca kler, arystokratów i nawet zawodową dyplomację!

Nie wiedziałem, że do tej tajemnej międzynarodówki, szwargoczącej o polskiej książce, że do wielkiego jej mistrza i kapłana wprowadził mnie ojciec. Z czasem miałem się przekonać o jej potęgę.

Lata upłynęły, przeszła wojna światowa, a sklepik Himmelblaua istniał ciągle, lecz zauważyłem że coraz częściej bywał zamknięty. Razu jednego w wieczór jesienny i deszczowy przyszła do nas stara, pomarszczona żydówka w peruce i oświadczyła, że koniecznie pragnie widzieć się z ojcem.

— Ja jestem córka Himmelblaua a ojciec chorował i umarł. Ón kazał panu rektorowi oddać tę księgę na pamiątkę.

Spojrzelismy. Był to zbiór listów z XVII wieku ale jakich listów! Pochodził z hetmańskiego archiwum Sapiechów na dalekiej Ukrainie i zawierał listy i uniwersały podpisywane ręką królewską od króla Władysława czasów do czasów króla Jana. Wielkie pieczęcie lakowe lub przez oplatki przybite i staranna oprawa w skórę świadczyły że do aktów tych kancelaria królewska przywiązywała wagę szczególną i że taką samą wagę przywiązywano do nich kiedyś w sapieżyńskim archiwum.

— Ojciec umarł ze starości.

— A co się stało z książkami?

— Chorował od roku, słabł, pieniędzy nie było, bo i stryjek umarł w Mediolanie, nie było na leczenie, to je Taffetowi sprzedałam. Ojciec już mało widział i nie rozumiał, a choć się domyślał, że książki sprzedaje, to nie chciał tego wiedzieć. Jak je zabierali, tę tylko zatrzymał i wsadził pod poduszkę. Powiedział żebym po jego śmierci zaniósła panu rektorowi.

W ten sposób nie dochował się w całości osobliwy zbiór starych książek polskich, dowód zamięłowań literackich tego antykwarza. Nie domyślałem się, że taki będzie ich los, gdy po raz pierwszy stałem w sklepie Himmelblaua czekając końca rozmowy z ojcem.

Tymczasem Himmelblau zdjął z półek paczkę jakichś podartych druków i wręczył je ojcu.

— Tu są oni od roku wypruwane. Jest wśród nich paczka z Lipska.

I podał ojcu kilkadziesiąt cuchnących, polepionych i zapleśniałych strzępów, wymieniając niską cenę.

— Ja pisał do Warszawy, tam także będą zbierać, pisałem do Wiednia — nadesła.

Nie rozumiałem z tego wiele. Ale zaciekawiło mnie dlaczego ojciec kupuje te papierzyska, śmiecie nie warte nawet podpalenia w piecu? Zapytałem go o to.

— Wszystkiego się dowiesz na czas — odparł niecierpliwie.

Widziałem, że myśli o czym innym, bo papiery z których zrobił mu paczkę Himmelblau wzbudziły jego zainteresowanie. Gdyśmy wracali fiakrem rozpakował je i ostrożnie przeglądał.

Zaczynało być nudno. Gdyśmy zajeżdżali do domu pomyślałem, że z pewnością zapomniał o obietnicy nauczania mnie nowej zabawy z miednicą.

— No, a teraz o ile przyrzekniesz że nie będziesz więcej bębnił w miednicę, to nauczę cię nowej zabawy.

A więc ojciec pamiętał, mimo że był zajęty szpargałami od starego Himmelblau! Nie wytrzymałem oczywiście i złożyłem uroczyste przyrzeczenie wytargowawszy tylko tyle, że bez pozwolenia nie będę bębnił.

— Przynies miednicę, rozściel na ziemi gazety i poproś Magdusi, żeby podała dzbanek z ciepłą wodą.

Ciepła woda parowała z miednicy, gdy ojciec wybrał gruby poklejoły strzęp i rzucił go do wody.

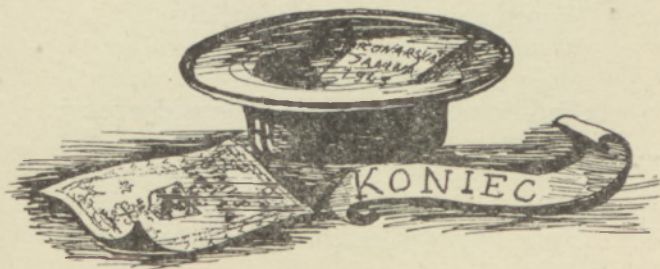
— Dawniej — tłumaczył — introligatorowie nie znali tektury. Mając oprawić książkę, kłajstrem zlepiali kartki papieru i stare druki, w ten sposób usztywniając okładki. Zużywali na to książki wycofane z obiegu, nie czytane już, nie mające wartości dla nikogo. Ponieważ niejedna książka z tych czasów zaginęła, więc my rozlepiamy stare okładki i czasem odnajdujemy coś ciekawego. Patrz! pokazuje się jakiś drzeworyt. Uważaj! Nie odrywaj bo podrzesz, samo odejdzie.

Muszę przyznać, że zabawa była bardzo interesująca. Zawierała w sobie element chlapania się w wodzie, nadto ostrożnego odrywania papieru, a prócz tego kryła w sobie coś niespodziewanego. Przypominała na większą skalę odbijanki. Zainteresowała nawet Krzysię. Moja starsza siostra zazwyczaj tak krytycznie usposobiona do wszystkich moich poczynań była dla mnie wyrocznią w wielu sprawach, może właśnie przez ten krytyczny do nich stosunek. Tym razem stwierdziłem że Krzysia słuchała uważnie relacji o nowej zabawie z miednicą.

— Ty jesteś co prawda za głupi na to, ale może ci się uda. Czytałam w „Podróży do środka ziemi” jak to w starych księgach bywają odnajdywane tajemnicze plany. Na oceanie Spokojnym znajduje się wyspa gdzie piraci schowali przed wiekami skarby, lecz brak planu uniemożliwia odszukanie ich. Uważaj dobrze bo może wlepiony on został w jakąś okładkę.

Planów tajemnego przejścia w głąb ziemi ani wskazówek do ukrytych skarbów nigdy nie znalazłem. Ale tego samego dnia jeszcze ojciec wyłowił z miednicy część żywota św. Stanisława w wydaniu nieznanym dotychczas, urywki krakowskiego inkunabułu Turrekrematy i kartki z kroniki Miechowity, wycięte na rozkaz cenzora ponieważ nie podobały się Zygmuntowi I.

Tak nauczyłem się nowej zabawy z miedzianą miednicą.



Z KWIATÓW POLSKICH

W kościele ścisk i zaduch zimny,
 Wyziewy nędzy. Para bucha
 Z modlących ust, i coraz mgławiej
 Na ołtarz patrzeć. Obłok dymny
 Rozsnuwa się po świętej nawie.
 I ona w tym tumanie płynnym
 Jeszcze nadomiar oczy mruży. . .
 A że są popielato-mgliste,
 Więc gdy tak patrzy coraz dłużej,
 Zanurza ołtarz w sennej chmurze
 I widzi pole świec gwiazdziste,
 Zagon migotem kołysany,
 Przez lzy mieniący się rzęsiście
 Łubinowemi płomykami.
 Dlaczego lzy? Bo ją opływa
 Miłoność słodka, tęskność tkliwa,
 Dziwność i żałość. . . (To nie ona
 Te słowa myśli, zamysłona,
 Wpłakana ciepłem zapatrzeniem
 W mgłę, mżącą złocistością światel:
 To ja wyręczam ją uczenie
 W doborze brzmień i słów ocenie;
 Nie ona rządzi poematem).
 Żałość — żaloność — żalonościwość —
 Jak nazwać tęskność tę i tkliwość,
 Tę miłosierdzia błogą falę?
 Miłował. . . Rzewność bez przyczyny. . .
 Miłował — tak już zostawimy.
 Bądź więc słowiańskim miłozalem,
 O, sprawco słodkich łez dziewczyny!

Jak na skoszonym łanie zboża
 Dziewanna ocalała stoi,
 Tak ona — prężna, smukła, hoża
 Kwieciście sterczy wśród nabożan
 I łan łachmanów sobą stroi.
 Wyprostowana i bezwiedna,
 W cekiny świeczek zapatrzona,
 Mgłą miłozalu otulona,
 Nad tłokiem chłopskich głów się wznosi
 I szeptem parnym Boga prosi. . .

Trąca ją dziadek: klękniij. Klęka —
 By w swym paletku wyświechtanem

Jeszcze się jednym stać łachmanem. . .
Tłum pojękuje, chlipie, stęka,
Modlą się ciemni, dobrzy prości,
Błagają Postać umęczoną
Niby o łaskę nieskończoną,
Niby o cud, o blask wieczności,
Bełkocą pozmieniane nazwy
Zapadłych wiosek w Małej Azji,
Imiona groźnych wojewodów,
Rzymskich żołdaków i łajdaków,
Żydowskich cieśli i rybaków,
Bo w głębi serc, u dna, u spodu
Wierzą, że TO, i nic innego
Że TO wybawi ich od złego,
Od wojny, ognia, moru, głodu. . .
Wybawi — i niechybnie sprawi
Cud urodzaju i przyplodu.
Brzęk dzwonka rozległ się — i senne
Wzdrygnęły się aniołki ścienne.

Jak biedne zwierzę, w wór zaszyte,
W ciemności pełźnie ślepym torem,
Tak, nagle, tłum ku ołtarzowi
Jednym łachmanem, jednym worem,
Raz naprzód pelznął, o krok jeden,
O nową nędzę i pokorę.
I tak jęknęli przy tym zrywie
I tak opadli żałościwie,
A na ich twarzach, w brózdach troski,
Taka czerniała moc surowa,
Jakby to wyśnił Rostworowski,
A Schiller wyreżyserował.
Więc teatr. Tak. To gra Piotrowy
Ubogi zespół starodawny. . .
Chwała bożemu teatrowi!
Mistycznym przejmujący mrowiem,
Dramat zaczyna się przesławny.

Bo to są ognia zwykłe dzieje,
Że o nim wieść tajemniczeje:
Że gwiazda staje się zwiastunem,
Że piorun staje się Perunem,
A buntowniczy ducha ogień,
Ludzkiego serca żar najświętszy
Srożeje, wzmagą się i rośnie
W poezji burzę i pożogę —
I tak się człowiek staje Bogiem
I tak się kościół nad nim piętrzy.

NAD RZEKAMI BABILONU

Nie chcemy budować Wieży
na pustyni rzek babilońskich.
Jesteśmy gromadą żołnierzy,
maszerujemy do Polski.

Nie wierzymy gwiazdom Arabii,
niepotrzebna nam żadna wróżba.
W rękę karabin.
Służba.

Stąd, gdzie bez łaski Mojżesza
nafta spod skały trysła,
nasza skrzydlata rzesza
poleci na COP, na Borysław.

Ropą pijane czołgi,
samoloty wściekle benzyną
pognamy z piosenką, jak „wołki
na Bukowinę“ . . .

Jerychońskie nie wrzasną trąby
i żadnych nie będzie cudów,
kiedy ciężkie ciśniemy bomby
za wolność ludów.

I pójdziemy przez gruzy i zgliszcza,
przez kraj zmiażdżony niedolą,
i powtórzy każdy nasz wystrzał
polskie echo rodzinnym polom.

Po prostu, bez cudów, rzetelnie,
przez Afrykę i Europę,
pójdziemy, żołnierze śmiertelni,
postawić zwycięską stopę
na ziemi, która nam wskrześnie
i jest nam bardziej niż święta,
i zmienimy bagnety Września
na pługi, — by orać cmentarz.

MYŚLI O JUTRZE

Opuszczam Azję i jadę na małym statku, który spokojnie płynie wśród przestrzeni mórz. Dalekie kontynenty i niezmiernie odległości budzą myśli coraz szersze, nakazują obejmować horyzonty coraz dalsze. Wytaniają się one w miarę gdy mijam lądy i morza.

Przybyłem do Ameryki gdzie wielkość rodzi ogrom spraw. Jak kiedyś Europejczyk po wizję kultury jechał do Włoch i tam kończył swe wykształcenie wśród skarbcza jakie zostawiła nam starożytność, tak dzisiaj udać się powinien do Ameryki. Otwiera ona — nie bez konieczności rewizji własnych przyzwyczajęń — inną co prawda wizję lecz niemniej wielką — wizję przyszłości.

I wśród tych obrazów, przeżyć i spostrzeżeń myśl zwraca się ku sprawom domowym. Jest dla nich miejsce, jest czas i jest to uparte, ciągle dążenie by wśród spraw świata sprawa polska znalazła sobie właściwe miejsce.

F. G.

1.

MORALNOŚĆ W MIĘDZYNARODOWEJ POLITYCE

Jak dotychczas w układzie stosunków międzynarodowych decyduje brutalna siła. Nic więcej. Bandytyzm międzynarodowy Hitlera jest tylko potwierdzeniem starej zasady, przytępionej nieco w ciągu wieków. Ten nieład w życiu międzynarodowym, nieład który rodzi walkę i wzmagą okrucieństwo — świadczy o tym na jak słabych podstawach wsparta jest ludzka moralność i ludzkie obyczaje.

Mimo całego szacunku i zyczliwej tolerancji z jaką odnosić się nam wypada do uczuć i wiar religijnych — stwierdzić należy że nie są one w stanie zapewnić etyce międzynarodowej panowania. Nie wszystkie religie zresztą oparte są na moralności chrześcijańskiej. Istnieją krwawe imperialistyczne wiary Dalekiego Wschodu, rodzą się religie krwi i miecza drwiące z dekalogu czy przykazań Nowego Testamentu.

Gra sił, walka państw-tytanów możliwa jest tylko dlatego, że nie ma takiej egzekutywy międzynarodowej, któraby okrucieństwo i napastliwość powstrzymać mogła. Czyż bez egzekutywy — bez policji — nie ma moralności? Czyżby moralność indywidualna jednostek czerpała swą siłę z prawa, na którym się wsparła, a prawo zaś z sankcyj, które je chronią?

Nie wystarczy sama policja. Społeczność ludna, bogata, szczęśliwa nie dlatego pracuje w warunkach bezpieczeństwa, że na rogu ulicy stoi stróż prawa pilnujący porządku. Nie dlatego nie ma tam zbrodni, że przestępstwa natychmiast są karane, ale dlatego że silniejsza niż bojaźń przekroczenia praw jest współpraca z prawem, jest wspólna solidarność ludzi.

Rodzi ten stan solidarność jednostek, solidarność, która jest silnym spoiwem społecznym. Ta sama solidarność, która każe obcemu przechodniowi rzucić się w głębinę by ratować obcego człowieka. Bo solidarność to jeden z instynktów człowieczych.

Stworzyć trzeba solidarność państw, by z niej wyrosła nowa moralność międzynarodowa. Ale taka solidarność wymaga siły, która by mogła naruszone prawo przywrócić.

Dziś polityka międzynarodowa pozbawiona jest jeszcze moralności, tej moralności która by z gry politycznej uczyniła sztukę.

Na Dalekim Wschodzie rodzą się sprawy nowe, problemy o gigantycznych rozmiarach. 450 milionów Chińczyków, 350 milionów Hindusów, 75 milionów Malajów, 120 milionów Japończyków, Koreańczyków i. t. d. razem z miliard ludzi. Poczucie narodowe budziło się w nich z wolna. Ale dziś poczucie to istnieje. Masy te są dynamiczne, zdolne do ofiar. Dziś jeszcze rozdzieleni — jutro stanowią mogą jedność.

Tam na Pacyfiku rodzi się wielka problematyka świata. Wojna powinna zakończyć się pokojem, który te wielkie problemy rozwiąże w sposób humanitarny i braterski. Musimy w owych złotych i brunatnych braciach odszukać wreszcie naszych bliźnich. Musimy zakończyć erę imperializmu, a zorganizować świat, w którym równe dla wszystkich zapanują prawa.

A może to co piszę, to znowu owo naiwne wołanie idealistów, wołanie zagubionych uczniów głosicieli prawd szlachetnych w dżungli ludzkiej?

Jedność Azji — braterstwo Europejczyków i Azjatów. A przecież w owej Azji jest Japonia. Tej Japonii kiedyś Stany Zjednoczone podały rękę. Z prawdziwie amerykańskim uśmiechem zyczliwości bezinteresownej i ludzkiej, wprowadzili w Japonii Amerykanie wynalazki i ulepszenia. Była to próba owej wielkiej zgody między Wschodem i Zachodem, przynajmniej na tym skromnym odcinku japońskim.

Stał oczywiście u początku amerykańskich w Japonii kapitalizm i chęć zysku, jak w ogóle w epoce liberalizmu XIX stulecia istniał wszędzie. Ale nie brak było także i idealizmu i chęci podniesienia Dalekiego Wschodu po to by pokojowo z nim współdziałać. Nie traktowali Japonii Amerykanie jako kolonii.

I w konsekwencji Amerykanie za swój idealizm płacą krwią i złotem.

Oczywiście w Azji istnieje problem japoński tak jak w Europie istnieje problem niemiecki. Japoński problem wymaga rozwiązań mocnych, radykalnych, podobnie jak problem niemiecki. Amerykanie rozumieją doskonale problem japoński, lepiej niż niemiecki. Ale po rozwiązaniu tego problemu, Azja wymaga włączenia do związku narodów, tak jak włączona musi być Europa po rozwiązaniu problemu niemieckiego.

Jest więc droga urzędzenia świata w porozumieniu i zgodzie z owym miliardem braci.

Czy jest inna droga jeszcze? Owszem jest jeszcze druga droga na tym historycznym rozstaju — droga wojny.

Na statku czytam tom pism Mickiewicza, który udało mi się przypadkiem otrzymać:

„Niechaj nikt nie myśli sobie, że już tych ludów więcej niema. Trzymają się one tam ciągle na wyniosłej płaszczynie azjatyckiej, jak chmury brzemienne gromami, gotowe za skinieniem Bożem, zlać się na narody przestępne. Niechaj się nikomu nie zdaje, że duchy Dżengis-Chana, Tamerlana, Suworowa tych wielkich wykonawców kary nad ludzkością, poschodziły ze świata raz na zawsze“.

Głosił to Mickiewicz przed stu laty, a słowa jego nie straciły aktualności. Nabraly dzisiaj nowych rumieńców, stają przed nami żywiej może niż wtedy.

*

A więc kolorowi przeciw białym, biali przeciw kolorowym. W Tokyو spotkać można było różnokolorowych studentów, którzy studiowali w owych 20 czy 30 uniwersytetach stolicy. Podziwiali człowieka żółtego. Czy dlatego, że dał Buddę, Lao-Tse, Konfucjusza, lub wspaniałą rzeźbę? Nie. Dlatego tylko, że pobije człowieka białego.

W Kobe związek Hindusów głosił przyjaźń i podziw dla Japończyków. W Tokyو uczył się pedagogii kuzyn króla Afganistanu i podziwiał Japoń-

czyków. Zapewne starał się naśladować ich we wszystkim: w pedagogice, w umiejętności naśladowania Anglosasów i w nienawiści do nich. W Nowym-Yorku — przewodca murzynów mówił o tym jak ajenci japońscy proponowali tysiącowi czarnym wyjazd do Tokyo na sześć miesięcy. Tylko po to by rozpalic zachwyty dla Japonii kolorowej i nienawiść do białej Ameryki. Po to by ich nauczyć hasła „kolorowi wszystkich krajów łączcie się“ — przeciw białym. Murzyni zaproszenia nie przyjęli.

W Harlemlie, czarnej dzielnicy New Yorku, na zgromadzeniach padały głosy „That's white man's war“. Czytałem w „Nation“, że jeden z czarnych rekrutów po otrzymaniu przydziału powiedział komisji — „gdy zginę, napiszcie na mym nagrobku: — tu leży czarny człowiek co zginął w walce przeciw żółtemu człowiekowi w obronie białego człowieka“ —.

Stany Zjednoczone mają kilkanaście milionów czarnej ludności i około pół miliona żółtej. Od granicy meksykańskiej, Metys, Kreol, Indianin jest już elementem przeważającym, a co ważniejsze, ludowym.

*

Wojna kolorowych przeciw białym — a więc miliard chętnych do walki i bitnych Azjatów przeciw 130 milionom Amerykanów spragnionych pokoju.

Kilkanaście milionów kolorowych wewnątrz Stanów, a wśród nich wielu ludzi skrzywdzonych, wzgardzonych i sponiewieranych. Chyba wielu z nich zapragnie zemsty. A od południowej granicy jeszcze inne rzesze kolorowych. Jeśli nie nienawiść, ta odwieczna towarzyszka wojowników, to chciwość zagrzeje ich do walki.

*

Wybierać więc trzeba wojnę lub pokój. Wielkie ideały zbratania lub niski utylitaryzm. Tylko owo wspaniałe braterstwo uratuje człowieka białego, jego kulturę, jego legendę.

Niski utylitaryzm, wyzysk i przywilej — to droga zguby, droga upadku.

*

Historia ludzka w jednym przeglądzie to historia wielkich wędrówek narodów i wojen. Ludy ginęły, podbite i niszczone przez inne.

Zdobywcom pomagały wynalazki. Azjaci zwyciężali dzięki wynalazkowi koła, wozu.

Cortez podbił z łatwością Azteków pod Topasco dzięki zamieszanu, jakie wywołał wśród pierwotnych Meksykańczyków widok konia. Niemcy zwyciężali w tej wojnie dzięki nowej taktyce i maszynom. To nie słusność w wojnie zwycięża. A jeśli Azjaci wynajdą tym razem nową broń, cóż będzie, gdy obierzemy gościniec krzywdy a nie równości, gdy wzgardzeni i sponiewierani kolorowi wylądują na zachodniej półkuli postępując się jakąś nową bronią.

*

Dotychczas czarni są bici. Lecz zdarzyć się może że czarni i żółci zaczną z kolei bić i prześladować.

Liczni pisarze ustalili pewnik społeczny, że masy prześladowane i wyzyskiwane z powodów narodowych, rasowych czy społecznych, po wyzwoleniu z niewoli nie będą nikogo prześladowały ani też wyzyskiwały. Skąd ten pewnik? Człowiek kolorowy wcale nie jest lepszy od białego. Japończycy wykazali, że umieją wyzyskiwać i prześladować bez porównania gorzej jeszcze niż inni. Los Koreańczyków pod okupacją japońską jest znacznie surowszy, niż los Hindusów. Gdyby rządy światem przeszły w ręce Japończyków, zgotowałyby ludzkości i krajom podbitym los straszliwy. Imperializm białych, wyzysk kolonialny, wojna opiumowa w Chinach przestałyby nas oburzać w porównaniu z tą rzeczywistością, którą by zgotował system japońskiej „co-prosperity sphere“. Hegemonia kolorowych ras nie oznacza zwycięstwa prawdy i sprawiedliwości.

*

Człowiek nie jedną drogą kroczy ale wieloma. Niektóre z nich to drogi wielkich ideałów równości, drogi sprawiedliwości. Inne znowu są drogami krzywdy i wyzysku. Ale nie jest prawdą, że historia tylko toczy się po drodze nieprawości.

Drogi sprawiedliwości obrały te narody i kierunki, które za cel sobie powołały równouprawnienie i przyjaźń. Tą drogą wiele narodów umiało kroczyć.

Wszystkich ludzi bez względu na kolor prowadzić trzeba tą wielką drogą równości, drogą szeroką, na której dla wszystkich dość jest miejsca, gościńcem, którego gospodarzami i pisarzami drogowskazów byli autorowie wielkich kart wolności naszej historii. Ameryka, która zniosła niewolnictwo tą drogą pójdzie. Wielkim gościńcem, którego kierunek na mapie dziejów wyznaczył Abraham Lincoln.

*

Wielkie problemy, które nadchodzą, to owe problemy rasowe i kontynentalne — sprawy narodowe wobec nich to drobne kwestie.

Pokój wymaga wielkich rozwiązań w skali światowej. System bezpieczeństwa i pomocy objąć musi miliony znad Pacyfiku. Jeśli w przyszłym związku narodów pozostawimy te sprawy niezalutowane, jeśli przedstawiciele tych ludów nie będą mieli należytego wpływu i możliwości walki o ich sprawy na forum międzynarodowego porozumienia, jeśli międzynarodowy system bezpieczeństwa nie ujmie w mocne karby imperializmu i wojennej żądzy podboju, pozostanie druga droga. Droga wojny — daleko straszliwszej niż dzisiejsza. Wojny kontynentów i miliardów. Pokój będzie tylko krótką przerwą, wytchnieniem, przed wojną kolorów, wojną kontynentów.

*

Amerykanin: Azja jest mniej jeszcze zjednoczona niż Stany Zjednoczone. Temu zawdzięczać będziemy własne bezpieczeństwo, nawet gdy niewłaściwą obierzemy drogę. Groźną jest tylko Japonia. Stany Zjednoczone i Rosja potrafią Japonię rozbroić i unieszkodliwić. Oczywiście polityka nasza w stosunku do Sowietów pozostaje w ścisłym związku ze sprawą japońską.

Europejczyk: Azja jest rozbita, ale zjednoczyć ją może nienawiść. Zresztą przy takiej masie ludności wystarczy by część tylko była aktywna. Jest też i inna możliwość odosobnienia opartego na nieufności, wówczas kontynent amerykański zamknie się szczelnie. Kontynent azjatycki zamknie się także i odizoluje od świata. Rozłam przyszłych stosunków międzynarodowych na wielkie odosobnione systemy kontynentalne jest groźny. Za wszelką cenę należy tego uniknąć. Aby tego uniknąć, trzeba przygotować nowy międzynarodowy system jeszcze dzisiaj, gdy wojna trwa.

Wielki system zbiorowego i powszechnego bezpieczeństwa. I ten system międzynarodowej sprawiedliwości i zbiorowego bezpieczeństwa zbudujemy.

Oto cel drugiej wojny światowej.

Amerykanin: Wy Europejczycy skłonni jesteście do fantastycznych wizyj i nieżyjących teoryj. Niebezpieczeństwa, o którym mówicie, nie ma. Z bardzo prostej przyczyny. Monopol w produkcji broni będą mieli po wojnie Amerykanie, Anglicy, Rosjanie, a przede wszystkim Stany Zjednoczone. Przemysł wojenny niemiecki — sądzą będzie doszczętnie zniszczony. Taki sam los czeka Japonię — może gorszy. Nie wierzycie? Po wojnie cywilnej lat sześćdziesiątych Północ tak zniszczyła Południe, że mimo iż od tego czasu upłynęło prawie 80 lat, Stany Południowe do dziś dnia cierpią skutki owego zniszczenia. Tacy byli Jankesi we własnym kraju. Wyobrażacie sobie co Jankesi zrobią w Japonii? Nie będzie tam więcej przemysłu wojennego. Rosja Sowiecka skoncentrować się będzie musiała na rekonstrukcji, przemysł sowiecki zniszczony będzie przez

wojnę. By przywrócić gospodarstwo sowieckie do życia — trzeba będzie przemysł sowiecki skierować na produkcję maszyn, narzędzi i przedmiotów codziennego użytku. Anglia także wyteńczy musi swe siły dla rekonstrukcji i odbudowy — nie tylko swojej, ale i Europy. Arsenalem Anglii są zresztą Stany Zjednoczone. Anglia i Rosja nie będą potrzebowały wyczerpywać się gospodarczo na produkcję wojenną.

Pozostaną Stany Zjednoczone — z ogromnymi możliwościami produkcyjnymi — z wielką ilością surowców, Stany Zjednoczone nie zniszczone przez bombowce.

I tylko nas stać będzie na luksus produkcji broni dla policji międzynarodowej, dla utrzymania porządku międzynarodowego. Bo niewątpliwie po tej wojnie powstanie zorganizowany system bezpieczeństwa zbiorowego.

Europejczyk: Czy to nie oznacza ery nowego imperializmu?

Amerykanin: Nonsens. Nigdyśmy nie byli imperialistami. Filipińczykom było dobrze z nami. Gdybyśmy chcieli podbić świat mogliśmy podbić Amerykę od Zatoki Hudsonskiej aż po Ziemię Ognistą. A przecież nikomu w Stanach taki nonsens przez głowę nie przejdzie. Cóżby świat zyskał gdyby ludy Azji i Europy miały tę możliwość produkcyjną broni co Stany? Kamienia na kamieniu by nie zostawili. Silniejsi wycinaliby słabszych bez końca. My nie lubimy wojować, trochę przypominamy niedźwiedzia. Niezaczepieni jesteśmy wcale sympatyczni — nikomu nic złego nie czynimy. Ale biada jeśli nas ktoś zaczepi.

Europejczyk: A więc wasz monopol produkcji broni zapewni pokój światu — czyż jednak utrzymacie owe różnice i przywileje rasowe?

Amerykanin: Równość wszystkich bez względu na różnicę rasy, to zagadnienie obyczajowe. Zniesienie różnic wymaga długiego wychowania społecznego i treningu. Zrobiliśmy na tej drodze duże postępy od czasów Lincolna i patrzymy z optymizmem — z naszym amerykańskim optymizmem w przyszłość.

Europa

Wobec tych wielkich spraw Pacyfiku, gdzie sprawa Polski, Jugosławii czy Czechosłowacji?

Europa staje się jednością mimo swej woli i bez względu na taką czy inną wolę polityków.

W wielkim systemie bezpieczeństwa zbiorowego ważą się sprawy globalne a nie powiatowe. W wielkim systemie bezpieczeństwa zbiorowego elementem systemu są Stany Zjednoczone wraz z Ameryką łańciską — słowem system panamerykański; Chiny, Japonia, Malaje, Indie — jako pewna całość problemu, słowem system daleko-wschodni; Sowiety, które zajmują jedną szóstą świata; oraz Imperium brytyjskie.

Oto część elementów międzynarodowych systemu uniwersalnego — część elementów, od których zależy pokój w skali światowej.

Europa oczywiście, nie przestanie odgrywać roli ważnej w tym systemie. Kontynent europejski straci dawną swoją rolę, rolę przodującą, niemniej nadal będzie elementem istotnym.

Dlatego ograniczenie całego problemu bezpieczeństwa tylko do czterech wielkich mocarstw jest dalekie od słuszności. Europa jako ośrodek kultury i twórczego geniuszu — będzie nadal odgrywała rolę ogromną. Ale możliwe to tylko jako federacja regionów lub jako poszczególne wielkie regiony. Pierwsza ewentualność to unia federalna regionów europejskich. Unia takich regionów jak np. region Centralnej i Wschodniej Europy, ciągnący się od Bałtyku po morze Egejskie i obejmujący ponad 100 milionów ludzi. Jest i druga ewentualność, poszczególne regiony mogą być samodzielnym elementem systemu światowego. A więc region

Centralnej i Wschodniej Europy. Region Łaciński (Francja, Włochy, Hiszpania, Portugalia), Region Skandynawski i t.d. mogą być samodzielnymi członami wielkiej Ligi Światowej.

Europa stać się może elementem wielkiego systemu bezpieczeństwa tylko wówczas, gdy dostosuje swoje rozmiary i wagę, do rozmiarów innych elementów tej polityki. Nie można wyobrazić sobie systemu zbiorowego na zasadzie:

Litwa — Panameryka,
Czechosłowacja — Panameryka,
Polska — Panameryka,

tak jak nie można sobie wyobrazić systemu — Urugwaj-Europa. System zbiorowego bezpieczeństwa opierać się musi na stosunkach Panameryka-Europa, Pacyfik-Panameryka. Oto elementy, które na tyle są dostosowane pod względem wagi, że mogą tworzyć człony jednego systemu bezpieczeństwa. Problemy wielkie, to problemy stworzenia systemu bezpieczeństwa i trwałego pokoju w systemie międzykontynentalnym, to zagadnienie stworzenia systemu, który by zapobiegał wojnom międzykontynentalnym.

Jeśli Europa ponownie rozpadnie się na kilkadziesiąt walczących i skłóconych państw — oczywiście Europa przestanie istnieć w sensie politycznym. Stanie się prowincją potężnych sąsiadów.

Sprawy poszczególnych państw europejskich zgubią się w tym ogromie zagadnień bezpieczeństwa globalnego jeżeli państwa te nie znajdą sobie właściwego miejsca w owym gigantycznym systemie.

A miejsce ich jest jedno tylko.

Miejsce twórczego ognia w łańcuchu konfederacji regionalnych europejskich i miejsce członkowskie w przyszłym europejskim związku, w związku, którego model budowali przez parę wieków górale Szwajcarii.

Gdzie sprawa Polski wobec tych olbrzymich problemów globalnych? W Konfederacji Centralnej i Wschodniej Europy, w Związku Europejskim. Im bardziej twórczą rolę Polska odegra w tworzeniu się federalnego systemu Europy i świata, w systemie bezpieczeństwa zbiorowego, tym większą przejdzie do historii. Większą nie w sensie wąskiego nacjonalizmu i mocarstwowego frazesu, ale większą w sensie historii prawdziwej, historii ludzkości.

3.

SOLIDARNOŚĆ PROLETARIATU—PRAWDA I LEGENDA

Od stu lat głosimy solidarność międzynarodową proletariatu. Od stu lat twierdzimy, że jest ona silniejsza od wszelkich innych węzłów społecznych. Od stu lat Europa, ojczyzna ruchu socjalistycznego jest ojczyzną wojny. Pokój był tylko pauzą, przerwą między wojnami.

Owe wojny 1870 roku, 1914 i 1939 są dostatecznym dowodem, że nie chcemy widzieć rzeczywistości, gdy jest ona sprzeczna z naszymi świętymi pragnieniami, ideami, czy doktrynami.

Nie znajdziemy takiej daty w dziejach świata, kiedy solidarność proletariatu zaważyła na szali historii w tej mierze co nienawiść narodów i sprzeczność interesów. Sto lat doświadczenia wystarczy. Po roku 1871 mówiono — proletariatu wojnie przeszkodzi, przyszedł rok 1914. Po roku 1914 mówiono to samo — przyszedł rok 1939. Czy znowu należy powtarzać to hasło czy też lepiej solidarność tę zbudować, skoro sama nie chce wyskoczyć jak Minerwa z głowy Jowisza. Solidarność proletariatu zrodzi się dopiero w politycznie zespolonym świecie. Unia, związek państw poprzedzić musi solidarność klasy pracującej. Choć związek ludów brzmi pięknie. Najpierw związek państw, unia — a potem solidarność — nie odwrotnie. Sam życzyłbym sobie, by było właśnie przeciwnie — ale rzeczywistość jest inna.

Najpierw więc stworzyć trzeba Unię Europejską, jako część zjednoczonego świata, a wtenczas solidarność proletariatu europejskiego zrodzi się jako rzeczywistość, jako wiązadło prawdziwe, realne, europejskiej jedności. Słowem jej nie wyczarujemy.

Chłop i robotnik różnych narodowości znajdzie wspólny język europejski, język zgody i braterstwa w wielkim sejmie Europy i świata. Trzeba tę solidarność budować wytrwale i nie wolno ulegać chwilowym niepowodzeniom.

4.

SUWERENNOŚĆ

Układamy niekiedy nasze programy, budujemy teorie zamknięci ścianami naszej doktryny, nie widząc ani nie przewidując tej rzeczywistości, która się tworzy poza naszym systemem, mimo naszej teorii. Nieprzewidziane zgoła zdarzenia historyczne niszczą bez trudu i bez skrupułów misterne wiązadła naszej teoretycznej konstrukcji.

W Europie może być pełna demokracja i socjalizm, a w Japonii człowiek będzie się kłaniał i nadal padał przed cesarzem jako przed potomkiem bogów. W Europie, będziemy ustalali konsekwentnie prawdziwe braterstwo, humanizm. A Japończycy lub inny naród będą się zbroić, wychowywać w duchu wojny okrutnej, podboju krwawego.

Wojowniczość, żądza podboju, zjawia się w historii nagle i nieprzewidzianie mimo okrzyków protestu tych myślicieli, którzy w swym systemie ścisłym i dokładnym przypadku w historii nie przewidują.

Impet i wściekłość przechodzi też niekiedy, gdy napastnikom napaźdnicji wytoczą dostateczną ilość krwi. Tak było ze Szwecją Gustawa Adolfa i Karola XII. Ale tak być nie musi.

Rewizji ulec powinien mit suwerenności państw i ustąpić wyższym interesom kultury i cywilizacji.

Suwerenność i prawo samookreślenia swego losu ograniczone być winny nakazami bezpieczeństwa zbiorowego.

Swoboda decyzji w sprawach wewnętrznych danego narodu nie może sięgać poza bezpieczeństwo narodów innych. Tak jak wolność jednostki nie może naruszać życia i zdrowia sąsiada.

Jeśli w przyszłości na skutek działalności politycznej wewnątrz kraju, w szczególności wskutek odrodzenia się faszystów i systemu dyktatury, wzrośnie niebezpieczeństwo dla narodów sąsiednich, środki bezpieczeństwa zastosować należy natychmiast, nie czekając póki zbrodniarz lepiej będzie uzbrojony niż służba bezpieczeństwa. Mobilizowanie sił dla ataku na sąsiada, propaganda nienawiści w stosunku do innych narodów celem rozpętania wojny, jest dostatecznym powodem natychmiastowej okupacji przez zbrojne siły narodów zjednoczonych, czy przez policję międzynarodową tego terytorium, którym rządzą nacjonalistyczni kryminaliści. Suwerenność nie może być przywilejem, który gwarantuje bezkarność zbrodniarzom, a samookreślenie narodów nie może dawać Japończykom prawa do przygotowania się do mordowania Chińczyków, a Niemcom prawa wyboru takiej formy rządów, która zapewni im ponownie możliwość mordowania spokojnych sąsiadów.

*

Małe państwa gotowe są już dziś w Europie do dobrowolnego ograniczenia swej suwerenności na rzecz wyższej formy zbiorowego życia międzynarodowego. Ale wielkie mocarstwa tej woli jeszcze nie okazały. A od nich zależy przyszłość.

Ograniczenie suwerenności słabych na rzecz samowoli mocnych, nie jest tworzeniem systemu bezpieczeństwa zbiorowego — przeciwnie, systemu

przywilejów silnych wobec słabych. Jeżeli budować pragniemy pokój niepodzielny, ograniczeniu suwerenności poddać się winny wszystkie państwa. Żadne państwo nie może pozostać poza systemem uniwersalnym, tak jak żaden człowiek w zorganizowanym społeczeństwie nie może bezkarnie naruszać wolności innych obywateli.

Nie wiem, które państwo wybierze jutro drogę rozboju. Historia bowiem jest zmienna. Dlatego każde państwo podlegać winno kontroli wszystkich pozostałych państw.

5.

POPULUS ET VULGUS

Nie tylko lud, nie tylko uczciwy i szczerzy chłop i robotnik, ale i ciemny, pozbawiony wiedzy i moralności człowiek podniesiony został do godności boga w słowie „masa“. Masa chce, masa pragnie — stało się rozkazem. Czym jest ta masa? Z czego się składa? Masa to tłum-lud, skłonny do ofiar za sprawę dwu ludzi tylko: za Sacco-Van Zettiego, Altera-Ehrlicha. Masa to tłum-lud wspianały co oddaje życie za wolność pod wodzą Jakuba Jasińskiego czy Jarosława Dąbrowskiego. Za wielki symbol.

Miłość do mas ludowych, wiara w ich siłę twórczą, w zadatki jakie tkwią w niej nie może być bezkrytycznym mitem. Pamiętać trzeba, że idee są odpowiedzialne za to w jakim kierunku masa idzie, że iść ona musi nie koniecznie w kierunku zdrowego postępu i budowania przyszłości lepszej.

Na idee zwracać trzeba uwagę, je śledzić należy.

Bo masa łatwo może stać się przerażającym motłochem na zło podatnym. Oto tłum niemiecki dzisiaj to także masa, ten motloch co pali książki, co morduje niewinnych, co świątynie niszczy, te setki tysięcy w uniesieniu ryczące „Heil“, owe miliony nabożnie mów słuchające przy głośnikach, owe kukły ludzkie na baczność wypięte, odurzone, złe, straszliwe i krwawe — czyż to nie lud, nie masa, nie bóg? Przecież setki tysięcy komunistów niemieckich 1918 roku z łatwością zmieniło kolory w roku 1932 i stało się hitlerowcami. Była to masa, którą nowa idea pozyskała. Masa która, pokazało się w rzeczywistości, idei nie miała. Dlatego jeśli raz jeszcze wyciągnie stare kolory i znowu w nie się przebierze, zamiast brązowych czerwone włoży koszule, to dowód tylko że motłochem jest, że nie jest jeszcze ludem, owym wielkim populus.

*

Dlaczego ci ludzie raz godni pogardy i miana motłochu, drugi raz są masą ubóstwianą — ludem? Gardzimy „vulgus“, chylimy czoło przed „populus“.

Jak przeprowadzić granicę między vulgus a populus?

Ilekróć traciłem wiarę w człowieka, robotnik umiał ją we mnie przywrócić. Rozmowy z przyjaciółmi, górnikami kopalni Jaworznickiej czy kopalni Zbyszek, salin wielickich, czy kopalni nafty spod Krosna, przywracały we mnie zawsze wiarę w człowieka, umiały przekonać, że człowiek jest dobry z natury że umie współczuć i pomóc.

Skąd w tych ludziach tyle szlachetnej prostoty solidarności i zrozumienia drugich, myślałem często. Byli oni dla mnie i pozostaną zawsze tym symbolicznym ludem, ludem mitycznym — synonimem wszystkiego co szlachetne i ludzkie. Ludem nie zepsutym, nie zdeprawowanym przez hasła nienawiści, ludem pragnącym pracy i pokoju, braterstwa i wolności, ludem, któremu warto wierzyć i służyć.

Oto różnica. Vulgus stroi się w idee, ale nienawiścią się kierując chce burzyć a nie budować. Nienawiść nim kieruje a nie pozytywny instynkt pracy, który żywi populus.

„RECONSTRUCTION“

Słowo pochodzenia łacińskiego — ostatnio zajęło uprzywilejowane stanowisko w międzynarodowych rozważaniach nad budową przyszłości. Wywodzi się z „*con-struere*“ — złączyć, połączyć, zbudować. Pierwiastkowe pochodzenie od „*struere*“ — budować, znosić, zbierać na jedno miejsce. Imiesłów — „*structum*“ z którego uformowało się pojęcie struktura dla oznaczenia układu poszczególnych części pewnej całości (tworu, przedmiotu, ciała, zjawiska, grupy). We wszystkich prawie językach czerpiących z łacińskiego źródłosłowu, przez pojęcie struktura rozumiemy, że dane zjawisko, lub przedmiot składa się z pewnej ilości części złączonych w sposób organiczny, lub też mechaniczny. Mówimy — struktura budowli, komórki organicznej, struktura pierwiastka, sztuki teatralnej, zdania i t.p. Słowa konstrukcja używamy dla określenia specjalnego układu, lub specjalnego powiązania części danego zjawiska; — gdy chodzi nam o podkreślenie celowości w budowie danej struktury. Przymiotnika — konstrukcyjny używamy dla podkreślenia pozytywnych elementów w danym tworze, lub w działaniu. Mówimy: działanie konstrukcyjne, cechy konstrukcyjne w strukturze parlamentaryzmu angielskiego w przeciwstawieniu do cech destrukcyjnej struktury parlamentaryzmu francuskiego.

Słowo „re-konstrukcja“ nie oznacza jedynie odbudowy zjawiska, t.zn. przywrócenia czegoś co zostało zniszczone, zburzone, lub uległo powolnemu rozkładowi w czasie, do stanu poprzedniego. „Re-konstrukcja“ — oznacza procesy, których zadaniem jest taka przebudowa, lub takie powiązanie głównych elementów pewnego zjawiska lub grupy zjawisk, by użyśkać inną *konstrukcję* lepiej, skuteczniej odpowiadającą wymogom nowej rzeczywistości, którym nie może zadość uczynić stara konstrukcja.

Oczywista — by rekonstrukcja mogła wydać dodatnie rezultaty, odpowiadać celowi dla którego osiągnięcia ją wszczęto, należy poznać elementy główne istniejącej konstrukcji. Koniecznym jest dokładne poznanie wad i zalet, wartości i wagi w budowie, współzależności poszczególnych elementów starej konstrukcji — by można przystąpić do uformowania nowej budowy odpowiadającej potrzebom, które uznano za słuszne.

2. Drugie słowo „plan“ — zajmuje zapewne pierwsze miejsce po słowie wojna w częstotliwości używania go przez prasę, naukę i technikę w związku z prowadzeniem wojny i z rozważaniami na temat lepszego jutra.

Plan — słowo to dla jednych posiada omal że nie magiczną siłę. Inni odpowiadają: blaga, mydlenie oczu. Żaden plan nie zmieni praw natury. Działa ona spontanicznie: silniejsi usuwają słabszych. Proces ten jest wieczny i w wyniku zawsze konstrukcyjny — natura nie zna pragmatycznego układania procesów według wartości i sądów stworzonych przez człowieka. W końcu jednak bezwzględne w swej surowości procesy naturalne przynoszą lepsze jutro. Lepsze, to znaczy, że człowiek uznaje je za lepsze.

Pierwsi twierdzą — planowanie współdziałania człowieka w ramach grup społecznych w celu pełnego i słusznego zdobycia potrzeb materialnych i kulturalnych, usunie destrukcyjne elementy siły i niesprawiedliwości, które rządzą w dzisiejszych społeczeństwach oraz pozwoli na istotnie wolny rozwój jednostek i narodów.

Drudzy odpowiadają — wasze plany i planowanie, to jedynie camouflage rozciągany przed oczyma naiwnych ludzi ulicy przez zwolenników zbudowania silnego aparatu władzy; to dalsze konsekwentne rozwijanie przez zwolenników siły rządów społeczeństwem przez małą grupę elity, która

chce prowadzić społeczeństwa według dążności, które ona uzna, lub uznała za słuszne. Dążności te jednak — przekonał nas nazizm, faszyzm i komunizm — są gorsze w skutkach dla najszerzych mas od laissez-faire, laissez-passer, to znaczy procesów naturalnych. Poddajmy się naturalnym prawom tej zasady, która doprowadziła świat, o czym nie należy zapominać, do wielkiego rozkwitu moralnego i materialnego — a świat bez planów, które mają wszystko przewidzieć, pójdzie nadal drogą postępu i rozszerzania się zasad słuszności i sprawiedliwości.

3. Któż są ci pierwsi a któż drudzy i co to jest plan?

Zaczynamy odpowiedź od trzeciego członu pytania — co to jest plan? — Jest to logiczna koncepcja powiązania szeregu elementów w pewną konstrukcję, która celowo rozwiązuje daną potrzebę, lub grupę potrzeb, lub realizuje dążności uznane za słuszne i konieczne.

Każda konstrukcja: lepianki, stodoły, domu, fabryki, zakładu elektrycznego, systemu komunikacyjnego, miasta, regionu, kraju, produkcji przemysłowej, systemu ubezpieczeń społecznych, aparatury rządu, sztuki teatralnej, powieści, wiersza, wygłaszanej mowy — musi posiadać plan w jaki sposób zgrupować, ułożyć, lub scalić odpowiednie elementy: aktywności człowieka, materiałów budowlanych, czasu, przestrzeni, słowa i myśli, by tworzona konstrukcja w pełni, lub możliwie w pełni, odpowiadała wymogom zamierzonego i realizowanego przez nas celu. —

Przeciwnicy planów wywodzą się z elit aktywności gospodarczej, politycznej i kulturalnej, które stwarzały i realizowały plany odcinkowe dla każdej z zainteresowanych grup posiadania, lub aktywności gospodarczej, w myśl zasady „czyni każdy w swym kółku co każe Duch Boży, a całość sama się złoży” lub laicko wyrażonej — laissez faire. Były to plany partykularne, grupowe, uwarunkowane pojęciami słuszności, sprawiedliwości i celowości danej grupy: przemysłu, handlu, finansów, związku zawodowego, grupy religijnej, potencji nacjonalistycznej lub imperialnej. *Walka tych grup wytwarzała chaos w układzie stosunków gospodarczych i w formowaniu wartości moralnych.*

Zwolennicy planów celowego uporządkowanego rozwoju aktywności gospodarczej i kulturalnej człowieka, społeczeństwa, społeczności międzynarodowych, rekrutują się głównie ze sfer doświadczonych przodowników społecznych najszerzych warstw pracujących oraz ze sfer naukowych, przede wszystkim nauk socjologicznych i ekonomicznych. Praktyka polityczna przodowników społecznych, którzy nie są, lub nie byli związani z grupą interesów partykularnych utwierdziła wielu w przekonaniu, że szereg zmian gospodarczych i socjalnych planowo opracowanych i starannie zrealizowanych wydało pożądane, dodatnie rezultaty. Założenia tych planów uwzględniały potrzeby całego społeczeństwa lub jego większości, były wyrazem realizacji dążności powszechnie uznanej i obowiązującej każdego człowieka — obywatela danego państwa, lub członka danej grupy społecznej. Stąd wyciągnięto wniosek praktyczny: jeśli szereg planowo założonych akcji społeczno-gospodarczych można przeprowadzić z pozytywnym skutkiem, to dlaczegoż całości układów gospodarczych i społecznych nie można planowo rozwiązać w skali narodowej i międzynarodowej?

Jeśli w okresie wojny można ująć produkcję w skuteczne ramy kontroli i uzyskać nieosiągalne zdawałoby się w 1938 r. wyniki w wydajności produkcji artykułów zniszczenia, to dlaczegoż nie można osiągnąć podobnych rezultatów w pracy twórczej dla podniesienia dobrobytu i rozwoju kulturalnego społeczeństwa i ludzkości?

Gdy można bez specjalnego naruszenia istotnych praw człowieka zorganizować odpowiedni do potrzeb wojny totalnej podział sił roboczych narodu, dlaczegoż ma być niewykonalny plan, który uruchomi siły ludzkie dla przebudowy kraju, lepszego wykorzystania ziemi, pełniejszego pokrycia potrzeb codziennych rodziny pracownika, zbudowania i prze-

budowania milionów mieszkań ludzkich, miast, dróg, pełnego wykorzystania surowców, źródeł energetycznych kraju oraz odpowiedniej wymiany nadmiaru bogactw naturalnych i towarów z innymi narodami.

Zamiast prowadzić konkurencyjną walkę o przydział surowców w czasie wojny, — samo brzmienie w tym zdaniu słowa „konkurencyjną“ wydaje się absurdem — względnie, żądać za dostarczenie specjalnego zysku, wprowadzono wspólną, możliwie oszczędną gospodarkę wymienną surowcami w taki sposób, by żaden z narodów nie mógł osiągnąć żadnych specjalnych zysków z tytułu posiadania takich, lub innych surowców. Jeśli taką gospodarkę surowcową można prowadzić w czasie wojny dla fantastycznego podniesienia eksportu milionów ton pocisków i bomb — toż zdrowy rozsądek mówi, że podobna gospodarka surowcowa jest także możliwa w czasie pokoju w celu zorganizowania dobrobytu ludzkości z usunięciem specjalnych przywilejów grup posiadających, lub zarządzających monopolistycznie danymi surowcami. Obecnie nawet znawcy jednostronnego planowania przez wielkie koncerny kapitałowe, kontrolujące główne surowce świata przyznają, że system *lend lease bill'u* może wydać „obiektywnie dodatnie rezultaty“. Powyżej streszczone rozumowanie stało się obecnie nie tylko własnością doświadczonego przodownika społecznego, który zna kulisy, względnie istotne elementy struktury gospodarczej społeczeństw kapitalistycznych, lecz także przekonania każdego człowieka ulicy.

Druga grupa zwolenników planowego ujmowania procesów gospodarczych i społecznych rekrutuje się spośród przedstawicieli świata naukowego, ekonomistów socjologów, wychowawców, lekarzy i techników. Grupa ta dostarcza obiektywnych dowodów, że:

Dążności jednostek, grup społecznych, całych społeczeństw podlegają pewnym kierunkowym nateżeniom, które przodownicy społeczni mogą skierować w istotnym lub fałszywym kierunku w stosunku do wartości, które ogół społeczeństwa uznaje za słuszne i sprawiedliwe;

Procesy produkcyjne, w ostatnich 50 latach, głównych surowców szeregu artykułów kluczowych produkcji oraz wielu artykułów trwałej konsumpcji a także środków natychmiastowego spożycia podlegały jednostronnemu planowaniu i jednostronnej kontroli wielkich monopolistycznych koncernów wspólnot interesów kapitałów narodowych, lub międzynarodowych;

Procesy i skala konsumpcji w okresie obfitości i nadmiaru produkcji były niższe, złe, nieracjonalne w stosunku do potrzeb organizmu ludzkiego nawet w krajach tak wysokiego poziomu jak Wielka Brytania, Stany Zjednoczone a nawet Szwecja (kraj najwyższej stopy odżywienia na świecie) pośród najszerzych warstw ludności pracującej;

Cykle koniunkturalne — zwwyżki i spadki procesów produkcji rozdziału dochodu społecznego i wymiany wraz ze stałym bezrobociem dziesiątków milionów ludzi, były skutkami chaotycznej gospodarki opartej na błędnym skierowywaniu procesów inwestycyjnych przez spekulacyjny kapitał i potencje monopolistyczne;

Procesy osiedlenia, zagospodarowywania i wykorzystywania przestrzeni w krajach o najwyższym poziomie cywilizacyjnym są przykładami marnotrawstwa sił i zasobów materialnych oraz degeneracji społeczeństw przez błędną lokalizację i organizację przemysłu oraz braku urządzeń społecznych i higienicznych osiedlenia wiejskiego.

Istotnie — nauka o człowieku, o jego tworzeniu wartości moralnych, o jego dążnościach indywidualnych i społecznych, które rozwija postęp duchowy i materialny, o jego zagospodarowywaniu i użytkowaniu bogactw przestrzeni którą władza, dostarcza na każdym kroku dowodów, że człowiek może i musi harmonizować swe indywidualne dążności z dążnościami społeczności, do której należy a rozwój gospodarczy musi organizować w

ramach konstruktywnej współpracy i współzależności między nim a grupami społecznymi. Zamiast spazmatycznych wzniesień i upadków determinowanych przez t.zw. „prawa natury“ może i musi zorganizować procesy zracjonalizowanego współdziałania.

W konsekwencji — *hasło realizacji planowej rekonstrukcji* przede wszystkim stosunków gospodarczych w świecie powojennym stało się *dążnością powszechną*, której żadne siły nie mogą usunąć z bieżącej rzeczywistości. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że sfery zorganizowanego egoizmu będą walczyć z uporem w obronie posiadanych przywilejów przeciw scedowaniu ich uprawnień na cele dobra powszechnego.

4. Chcąc zrozumieć oraz zdać sobie sprawę jakim jest zakres możliwości planowej rekonstrukcji stosunków społeczno-gospodarczych po wojnie, należy skatalogować, jeśli można się tak wyrazić, cele na których opiera się powszechnie uznane parcie do zmian stanu istniejącego w latach trzydziestych a zmienianego w bieżącym czteroleciu pod naciskiem potrzeb i nakazów wojny totalnej. To nie wszystko. Należy uświadomić sobie także jakie istnieją warunki dodatnie oraz jakie przeszkody na drodze do rekonstrukcji oraz w jakim kierunku zdążają dokonywane zmiany.

Skatalogowania celów dążności rekonstrukcyjnych świata powojennego można dokonać przez analizę opinii społecznej oraz analizę wiążących oświadczeń odpowiedzialnych przewodców Zjednoczonych Narodów, a także przyjrzeć się, jakie znaczenie mają i mogą mieć w przyszłości, tworzone obecnie instrumenty i instytucje współpracy międzynarodowej. Wszystko to rzuci nam pewne światło na kierunki realizacji głoszonych celów oraz na wartość praktyczną dokonywanych przemian.

Cele lepszego świata głoszone i stawiane we wszystkich możliwych odmianach przez całą opinię publiczną świata demokratycznego dają się ująć bezpretensjonalnie prosto: trwały pokój, produktywna, należyte wynagradzana praca dla każdej jednostki zdolnej do pracy oraz powszechny dostęp narodów do surowców świata i zagwarantowanie wolnego rozwoju poszczególnych narodów.

Prezydent Roosevelt stworzył slogan czterech wolności: „Freedom of speech and expression, freedom of religion, freedom from want, and freedom from fear“ jako hasło rekonstrukcji świata.

Z dziesiątków oświadczeń, sformułowań, deklaracji, z tak szacownym dokumentem na czele jak Atlantic Charter, przedstawicieli polityki oficjalnej państw, leader'ów większości i opozycji parlamentarnej, religii — można pokusić się o pewną próbę skryształowania celów rekonstrukcji w następującym sformułowaniu:

- a) założenie podstaw trwałego pokoju na świecie między narodami (państwami) przez ustanowienie instytucji rozjemstwa międzynarodowego, uposażonej w możność i obowiązek zastosowania skutecznych sankcyj gwarantujących wykonanie wyroku;
- b) stworzenie takiego układu współpracy gospodarczej, który by:
 - 1) w gospodarce narodowej zapewnił stałe, ciągle produktywne zatrudnienie jednostce zdolnej do pracy, za którą otrzyma ona udział w dochodzie społecznym w wysokości odpowiedniej do uzyskania na rynku takiej ilości dóbr i usług, że zapewnią one zdrowy biologiczny rozwój rodziny oraz pozwolą każdej jednostce społeczeństwa na pełne korzystanie z dóbr i usług kulturalnych i urządzeń socjalnych danego społeczeństwa;
 - 2) — w gospodarce międzynarodowej zorganizowanie dostępu do surowców świata poszczególnym narodom, zgodnie z potrzebami danego gospodarstwa, przy czym ten dostęp ma być zorganizowany z wyłączeniem specjalnego uprzywilejowania (usunięcie pasorzytnictwa) społeczności międzynarodowych, lub

koncernów kapitałowych zarządzających, lub eksploatujących źródła surowcowe świata;

- 3) zapewnić wolny i wszechstronny obrót międzynarodowy dóbr i usług pomiędzy narodami.
- c) zapewnienie pełnego, nieskrępowanego rozwoju, w ramach własnej organizacji państwowej, poszczególnym narodom — przy czym coraz wyraźniej wysuwany jest postulat organizacyjnego scalania małych państw w organizację federacji regionalnych.

Analiza socjologiczna wykazuje, że te trzy główne zasady współzycia świata po wojnie *odpowiadają głównym dążnościom* najszerzych mas w społeczeństwach demokratycznych.

Jednak interesy materialne oraz pewne wartości idealne przyjęte jako mierniki wartościowania powodują, że *powszechne dążności społeczne* otrzymują układ hierarchiczny o różnej sile napięcia. Wytwarza się jednolitość opinii o kolejności realizacji poszczególnych dążności. W chwili obecnej, w tej hierarchii dążności celów — na pierwszym miejscu stoi oczywista wygranie wojny. Na drugim — wygranie pokoju, lecz wartościowanie dążności przez najszerze masy spowodowało, że na czołowe miejsce zostało wysunięte zabezpieczenie powszechnego, pełnego zatrudnienia po wojnie, a dopiero następne miejsce zajmują zasady związane z budową konstrukcji zabezpieczających całość pokoju. W wartościowaniu mas społecznych slogan „Freedom from want“ otrzymał kluczową pozycję w układzie hierarchicznym dążności rekonstrukcyjnych.

„Full employment is placing in the very forefront of our peace aims“ lub słowa „full productive employment as the major peace aim“ znalazły się na ustach wszystkich i w „Times’ie“ i w „Economist’cie“ i w „Daily Herald“.*

Oba prądy dynamiczne rozwoju społecznego: zachowawczy i postępowy, są zgodne, że dostarczenie produktywnej pracy każdej jednostce zdolnej do jej wykonania, jest podstawowym warunkiem utrzymania Wspólnoty Brytyjskiej, jako konstruktywnego współczynnika przy budowie nowego układu stosunków po wojnie. Przewodnicy obu prądów społecznych doskonale zdają sobie sprawę, że „full employment“ dla spraw domowych jest pierwszym warunkiem utrzymania procesów powojennych na drodze ewolucji i usunięciem doświadczeń, jakie mogą przynieść gwałtowne procesy rewolucyjne, gdyby ten podstawowy warunek dostarczenia pracy milionom demobilizowanych, nie został pozytywnie wykonany.

W konsekwencji, w skomplikowanych maszynierych dyspozycji polityczno-gospodarczych United Kingdom, Imperium Brytyjskiego w skali imperium i w Ameryce, w skali światowej, przygotowuje się szeregi planów wielkich robót publicznych obejmujących kontynenty Europy, Azji, Afryki i Ameryki w celu zaspokojenia potrzeby zatrudnienia w sposób produktywny ludności po wojnie. Z wielką ostrożnością mówi się o zmianach w układzie strukturalnym poszczególnych gospodarstw społecznych, natomiast coraz silniej lansowane jest słowo „rehabilitation“ — powrót do

* Projekt Beveridge’a, dzieło reformatora społecznego o konserwatywnej postawie do rzeczywistości, znakomicie służy jako emocjonalny punkt skupienia uwagi zorganizowanych grup pracy nad zagadnieniem zabezpieczenia się przed niebezpieczeństwami procesów demobilizacyjnych po wojnie, a jednocześnie projekt ten może służyć i już służy, jako skuteczne narzędzie dynamiki konserwatywnej części społeczeństwa angielskiego w walce o zachowanie kierowniczej kontroli nad produkcją i rozdziałem dochodu społecznego.

Stanowisko rządu obecnego oraz konserwatywnej części Izby Gmin dowiodły, że ani rząd, ani czynniki zachowawcze społeczeństwa angielskiego nie uznały za stosowne wykorzystać plan Beveridge’a jako narzędzia zaspokojenia głównej dążności najszerzych mas w formie stworzenia *obecnie*, przed końcem wojny, instrumentów ustawodawczych mogących uchronić sfery pracujące i średnią klasę przed niepewnością losów jakie tkwią w przyszłych procesach demobilizacyjnych.

Ten krok parlamentu może wywołać głęboko sięgające przemiany socjologiczne w klasach robotniczej i części drobnomieszczaństwa w kierunku rewolucyjnym.

stanu uprzedniego, powrót do lat trzydziestych w układach gospodarstwa społecznego a następnie dopiero przystąpienia do realizacji zmian strukturalnych w gospodarstwie narodowym i międzynarodowym świata.

To bardzo ostrożne stanowisko sfer decydujących w odniesieniu do procesów rekonstrukcji spotyka się z krytyką wielu socjologów i ekonomistów, którzy wskazują, że przy utrzymaniu struktury gospodarczej lat trzydziestych, przy pozostawieniu mechanizmu monopolistycznego lub quasi-monopolistycznego w handlu zagranicznym, — *po okresie względnej prosperity, musi dojść do cyklicznego kryzysu w skali totalnej, który zakończy się gwałtownym przewrotem rewolucyjnym.* Procesy robót publicznych, nawet w gigantycznej skali, nie zabezpieczą przed kryzysem cyklicznym gospodarki światowej opartej na przedwojennym „laissez faire“.

Amerykanie reprezentujący prądy postępowe przypominają, że przed końcem tamtej Wielkiej Wojny, Prezydent Wilson proponował powołanie Komisji Rekonstrukcyjnej w celu racjonalnego przejścia z gospodarki wojennej Stanów Zjednoczonych i gospodarki świata do gospodarki pokojowej, gdyż zarysowujące się wówczas metody gwałtownego powrotu do stanu normalnego, mogą się zakończyć katastrofą po kilku latach. Pod wpływem gwałtownej opozycji, Wilson wycofał swój projekt. „A return to normal“ stało się zawołaniem Prezydenta Harding'a. Skutki powrotu do stanu normalnego Harding'a są znane — 15 milionów bezrobotnych w Stanach Zjednoczonych w 1929 r. Dzisiejsze „rehabilitation“ Sir Frederic Leith Ross'a jest zawołaniem analogicznym. Pro domo sua należy zauważyć, że Sir Frederic jest dyrektorem biura studiów i projektów organizacji dostaw żywności i surowców dla Europy natychmiast po przerwaniu ognia na polach bitew. Jest to biuro pokojowej amunicji w walce o przyszłą budowę pokoju brytyjskiego.

Poza tym krytyka ekonomiczna przypomina skutki kryzysu w latach 1929-1933 oraz wskazuje, że pełne wykorzystanie produkcyjne sumy pracy ludności państw pojętych jako gospodarstwa społeczne o pewnych cechach indywidualnych, wymaga stworzenia nowego układu gospodarki także w skali międzynarodowej. W konsekwencji wysuwa kategoryczne żądanie zmiany struktury gospodarczej opartej na „laissez faire“.

Obrońcy zaś starego porządku twierdzą, że po wojnie należy utrzymać istniejący układ struktury gospodarczej wprowadzając jedynie bardziej skuteczną kontrolę państwa nad procesami produkcji w formie planowego utrzymania jej rozmiarów w poszczególnych działach gospodarki narodowej. Istota jednak ustroju: indywidualna rozporządzalność własnością warsztatów produkcyjnych oraz inicjatywa w planowaniu poszczególnymi działami produkcji w rękach monopolistycznych wspólnot odnośnych interesów (przemysł, handel, rolnictwo i obroty zagraniczne), powinny być utrzymane w celu wyeliminowania katastrofalnych skutków wolnej gry cen oraz uniknięcia ingerencji aparatu biurokratycznego państwa w procesy organizacji i dyspozycji produkcją. W deklaracjach korporacji przemysłu i handlu świat angielskiego kapitału zajął jasne stanowisko: *uznajemy konieczność utrzymania działań produkcji gospodarki narodowej w ramach, które ustali plan państwowy, natomiast żądamy i będziemy walczyć o utrzymanie całkowitej rozporządzalności naszymi warsztatami, które uruchomiliśmy własnym sumptem i które muszą nam przynosić odpowiedni dochód; powinna być nam także zachowana możliwość solidarnej obrony naszych interesów w formie zagwarantowanego udziału przedstawicieli odpowiednich grup aktywności gospodarczej w planowaniu centralnym.* Od tak wyrażonej doktryny, grupa tendencji kapitalistycznych, wysuwa cały szereg wariantów: od monopolistycznego planu ujęcia całej gospodarki społecznej w ręce zrzeszenia handlu, przemysłu i finansów, do czystego powrotu do stosunków gospodarczych w latach trzydziestych z zaostreniem wpływu wielkich potencyj gospodarczych świata (Wspólnoty Brytyjskiej, Stanów Zjednoczonych, Francji, ewentualnie

Niemiec) na rozwój gospodarczy państw rolniczych krajów kolonialnych i mandatowych przy odpowiednim monopolistycznym podziale sfer interesów na obszarach wymienionych krajów.

Oczywista, wszystkie warianty planu wysuwają projekty pełnego zatrudnienia ludności krajów własnych oraz zorganizowania odpowiedniego zatrudnienia i odpowiedniej skali stopy życia ludności w nowej organizacji protektoratów podległych gospodarczym potencjom świata.

Cechą podstawową wszystkich tych tendencji zachowawczych względnie powrotu do status quo ante bellum jest przekonanie, że aktywność gospodarcza podlega prawom powiązania trzech elementów: kapitału, surowca i pracy w sposób określony przez klasyków doktryny liberalnej.

W dyskusjach rekonstrukcyjnych podstawowa dążność najszerszych mas, dążność nr. 1: pełnego zatrudnienia, zostaje obecnie wykorzystana przez sfery zachowawcze przy pomocy całego arsenału dokumentacji i taktyki społecznej, że można ją zrealizować jedynie w warunkach, które kapitał uzna za trwałe i bezpieczne, by do procesów inwestycyjnych w przyszłości wejść w całej pełni swych sił i zdolności konstrukcyjnych.

5. Cechą zaś główną planów rekonstrukcyjnych przez przedstawicieli zorganizowanej pracy, a zwłaszcza przez reformatorów społecznych, jest stwierdzenie, na podstawie dowodów empirycznych, że całe rozumowanie klasyków liberalnych jest błędne. Aktywność gospodarza nie posiada praw zdeterminowanych dla siebie samej. Celem wszelkich procesów gospodarczych człowieka jest pokrycie jego materialnych, i kulturalnych potrzeb oraz wzajemnych usług. Tego typu planiści dowodzą i dostarczają dowodów, że aktywność gospodarcza człowieka, społeczeństwa i ludzkości może być tak zorganizowana, by każda jednostka z podziału dochodu społecznego otrzymała część zapewniającą jej pełny rozwój duchowy i materialny.

Jest rzeczą charakterystyczną, że wszystkie tezy i hipotezy *czystej ortodoksji socjalistycznej* w układzie stosunków gospodarczych przyszłego świata nie znajdują uznania w zapatrywaniach i osądach wszystkich reformatorów i projektodawców rekonstrukcji powojennej świata. Specjalnie w świecie anglosaskim, gdyż zdaniem tutejszej opinii, czysty socjalizm grozi w praktyce nie dyktaturą proletariatu a dyktaturą scentralizowanego aparatu biurokracji, jako klasy rządzącej, która prowadzi w prostej linii do wychowania dyktatora.*

6. Zwolennicy planowej rekonstrukcji gospodarczej stwierdzają, że praktyka współżycia gospodarczego społeczeństw, a także szereg doświadczeń planowania kapitalistycznego, dostarczyły nam szeregu metod służących do ścisłego obliczenia sumy potrzeb danego gospodarstwa społecznego. Wobec tego istnieje możliwość obliczenia zakresu produkcji, a także ustalenia linii przyrostu istniejących potrzeb oraz wzrostu nowych jakie wytwarza postęp materialny i kulturalny ludzkości. Możemy więc opracować plan aktywności gospodarczej danego społeczeństwa, który wszechstronnie i funkcjonalnie rozłoży dyspozycje produkcji dla potrzeb istnieją-

* Zarówno Związki Zawodowe, jak i socjalizm zachodni, odrzucają nie tylko czystą doktrynę systemu komunistycznego, lecz także wszelkie ortodoksyjne, doktryny socjalistyczne oparte na materialistycznym determinizmie walki klas.

Komunizm, świat zachodni odrzuca jako przejaw wsteczny w rozwoju ludzkości, pomimo pozorów realizacji powszechnej równości jednostki w społeczeństwie. Obniżenie dochodu społecznego, a zatem i poziomu utrzymania mas pracujących, wytworzenie stopniowo zamykającej się klasy scentralizowanej biurokracji, oraz zupełne wyeliminowanie wolności słowa i przekonań w stosunku do oficjalnie ustalonej doktryny myślenia i postępowania przez partię — wszystko to jest zaprzeczeniem podstawowych praw, które jednostka wywalczyła sobie w ustroju demokratycznym. Dlatego też rozwiązania zmiany struktury społecznej oparte o doktrynę materialistyczną nie znajdują posłuchu w świecie anglosaskim pomimo szacunku i niejednokrotnie podziwu, dla osiągnięć narodu rosyjskiego w państwie czystej doktryny socjalistycznej.

cych oraz skalę inwestycji dla rozszerzenia pokrycia nowych potrzeb i nowych usług.

Poza tym planiści są zdania, że full employment w gospodarce planowej jest zawsze wykonalne gdyż państwo będzie posiadało stałą zdolność do uruchomienia inwestycji urządzeń podstawowych kraju (jak drogi, koleje, urządzenia elektryfikacyjne, urządzenia wodne, melioracje, budownictwo mieszkaniowe i socjalne) w odpowiedniej skali do ilości wolnej pracy jaka może się znaleźć na rynku, po pokryciu całości zapotrzebowań rąk do pracy na normalną produkcję dóbr i usług społeczeństwa, oraz na bieżące inwestycje przemysłowe.

Wspólną cechą obu doktryn, zachowawczej i postępowej jest obawa przed oddaniem procesów realizacji i kontroli w gospodarce planowej w ręce biurokracji. Doktryna planistyczna Kapitału proponuje by plany i ich wykonanie pozostawić odpowiednim wspólnotom interesów. Plany ogólne, t.zw. „master plans“ opracowuje korporacja wszystkich grup aktywności przemysłowej kraju z udziałem przedstawicieli państwa, spożywców i robotników. Kontrolę zaś nad wykonaniem założeń planu posiada rząd i parlament.

Tendencje postępowe, reformistyczne wysuwają obawy zarówno przed wpływem biurokracji jak i przed wpływem kapitału na opracowanie planów, a specjalnie na ich wykonanie. Oddanie odpowiedzialności za opracowanie i realizację planów aparaturze biurokratycznej państwa lub też państwu, gdzie czynnik biurokracji ma wpływ decydujący, prowadzi zdaniem tych planistów do usztywnienia procesów produkcji, stopniowej likwidacji wolności osobistej jednostki oraz wolności działania grup społecznych i w końcu do wytworzenia dyktatury. Wpływy zaś wielkich grup kapitału na dyspozycje założeń planu grożą powrotem do chaotycznych zasad gospodarki monopolów. Tezy reformatorów proponują, by organizacja planowania składała się z niezależnego aparatu fachowców reprezentujących poszczególne działy aktywności gospodarczej, socjalnej, zdrowia oraz intytucyj kulturalnych a kontrola przeprowadzona przez parlament z udziałem reprezentacji spożywców i przedstawicieli związków zawodowych.

Przy czym organizacja centralna opracowuje tylko plan ogólny — „master plan“. Plany branżowe t.zn. poszczególnych działów produkcji i regionalne t.zn. przestrzennego zorganizowania aktywności gospodarczej w poszczególnych obszarach kraju powinny być opracowane przez organizacje branżowe-regionalne. „Master plan“ — w skali państwowej jest opracowany przez organizację państwową, plany zaś regionalne przez samorządy. Rząd posiada kontrolę nad wprowadzeniem w życie zasad i założeń planu ogólnego, którego założenia obejmują całość układu gospodarczego i socjalnego kraju. Plany zaś regionalne mają za zadanie opracowanie i wprowadzenie w życie projektów możliwie najistotniej odpowiadających potrzebom i warunkom naturalnym danego regionu. Oczywiście, że te plany regionalne muszą odpowiadać założeniom ogólnego planu krajowego.

Plan krajowy oraz kontrola jego wykonania ma na celu ściąganie i modyfikowanie partykularnych dążeń regionów i poszczególnych branż produkcji lokalnej, plany zaś regionalne mają na celu zneutralizowanie dążeń centralistycznych dyspozycji planu państwowego względnie łatwości przechodzenia do porządku dziennego nad uzasadnionymi i pożytecznymi interesami poszczególnych regionów i miejscowości.

7. Zanim przejdziemy do przeprowadzenia analizy jakie zmiany lub przemiany w układzie struktury gospodarczej i społecznej dokonała lub dokonywuje wojna, musimy poświęcić chwilę uwagi strukturze gospodarczej i socjalnej lat trzydziestych. Jednym zdaniem strukturę tę można ująć następująco: aktywność gospodarcza społeczności narodowych i międzynarodowych była regulowana przez partykularne interesy, których

celem było utrzymanie zysku od włożonych w tę aktywność kapitałów oraz przywilej użycia nadwyżek dochodu społecznego całego kraju w inwestycje, które poszczególne grupy interesu uznały za odpowiednie.

W funkcjonalnym porządku, elementy struktury opartej na zasadzie laissez faire można rozbić jak następuje:

- 1) — rozmiary zatrudnienia uruchamiano zgodnie z wymogami istniejącej aparatury produkcji oraz wymiany a nie z rozmiarami zdolnych rąk do pracy, które w danym wypadku przedstawiała ludność w wieku zdolnym do pracy,
- 2) — częściowe lub nieracjonalne wykorzystanie surowców i artykułów gotowych, na skutek monopolu wielkiego kapitału, lub też kontroli produkcji surowców i artykułów kluczowych, a nawet artykułów masowego spożycia przez wielkie wspólnoty przemysłowe lub posiadające monopol na pewne surowce,
- 3) — wadliwie związanej produkcji rolniczej z produkcją przemysłową w postaci wielkiej rozpiętości cen, które otrzymywał rolnik za swe produkty, a cenami jakie płacił za artykuły i surowce przemysłowe niezbędne dla warsztatu rolnego ; rozpiętość cen w skutkach zwięzła rozmiary produkcji rolnej, gdy poziom cen rolniczych był niższy od cen przemysłowych, lub — powodowała zachwianie budżetów rodzin warstw miejskich i przemysłowych, gdy poziom cen rolniczych był wyższy od poziomu cen przemysłowych.
- 4) — trzy wyżej wymienione elementy powodowały, że wydajność aktywności gospodarczej w postaci dóbr i usług danego gospodarstwa społecznego nie odpowiadała sumie potrzeb i usług ogółu ludności,
- 5) — w konsekwencji podział dochodu społecznego był wadliwy: średni dochód głowy rodziny warstw pracujących nie wystarczał na nabycie na rynku ilości dóbr (artykułów spożywczych, odzieży, przedmiotów i artykułów kultury i rozrywki) i usług wystarczających na zdrowy i pełny kulturalnie rozwój rodziny.
- 6) — rozmiary nowych inwestycji nie były planowane i realizowane zgodnie z wzrastającą ilością ludności zdolnej do pracy oraz z rozwojem ilości i różnorodności potrzeb, lecz według uznania układu kapitału kontrolującego daną gałąź produkcji lub według zawodnego wskaźnika cen na rynku,
- 7) — wartość i rozmiary środka wymiany nie były oparte i dostosowane do pełnego uruchomienia: sił produkcyjnych ludności, wartości surowców posiadanych przez dane gospodarstwo, urządzeń produkcyjnych przemysłu, rolnictwa oraz podstawowych urządzeń (urządzenia komunikacyjne, inwestycje miejskie i większość robót publicznych), lecz na części majątku gospodarstwa narodowego wyrażonej w postaci złota, które dane gospodarstwo posiadało w piwnicach banku emisyjnego (ilości złota w wielu gospodarstwach społecznych były wielkościami przypadkowymi, nieproporcjonalnie małymi w porównaniu z majątkiem gospodarstwa społecznego, oraz ze zdolnością aktywności danego gospodarstwa społecznego).

Pieniądz jednak nie przestał być miernikiem wartości w obrocie dóbr, usług i dochodu społecznego. Natomiast pieniądz i złoto — jego ongiś podstawa — tracą znaczenie dobra o cechach uniwersalnej użyteczności społecznej. Pieniądz w gospodarce narodowej, jak i w obrocie międzynarodowym dóbr i usług, przybiera coraz wyraźniej charakter czynnika uprawniającego posiadacza pieniądza do rozporządzalności na rynku tylko pewną ograniczoną ilością określonych dóbr i usług.

Wszystkie te elementy w strukturze gospodarczej znajdują się w stanie dynamicznym na rynku podaży i zapotrzebowania, zarówno w skali krajowej, jak i w skali międzynarodowej, gdyż różnorodny i niejednorodny rozkład surowców i produktów przemysłowych i rolnych zmusza do stałej wymiany dóbr i usług.

Wymiana ta, jak już niejednokrotnie podkreśliliśmy, była planowana i kontrolowana przez wielkie koncerny kapitałowe a więc podlegała tendencjom, które przeprowadzał, lub sugerował wielki kapitał, zgodnie ze swoimi interesami, często bardzo — w oderwaniu od istotnych potrzeb zarówno społeczności narodowej jak i międzynarodowej.

W latach 1930-39, w obrocie międzynarodowym, monopole, bilateralizm w układach handlowych, protekcjonizm, autarkia i układy ograniczania produkcji — przy istnieniu na rynku światowym około 35 milionów bezrobotnych — wytworzyły epidemię restrykcji i przeróżnych sposobów niszczenia produkcji w celu przywrócenia równowagi pomiędzy produkcją planowaną przez monopolistów a konsumpcją wymaganą przez światowy rynek.

Jakim zmianom uległy powołane powyżej elementy struktury gospodarczej pod naciskiem potrzeb wojny totalnej w gospodarstwach społeczeństw

demokratycznych w skali krajowej i w skali międzynarodowej, oraz które z tych elementów można zaliczyć do przemian trwałych i wprowadzić je jako elementy do nowej konstrukcji układów i procesów gospodarczych? — Odpowiedź podajemy w takim samym pragmatycznym porządku jak podaliśmy główne stwierdzenia o stanie strukturalnym gospodarki lat przedwojennych.

Na wstępie odpowiedzi należy stwierdzić, że wojna totalna zmusza do poddania planowemu kierownictwu wszelkich procesów gospodarczych oraz nakłada obowiązek na rządy do stosowania ograniczeń spożycia i korzystania z usług w takiej skali, by w zupełności zostały pokryte potrzeby natychmiastowe i zapasy wojenne.

- 1) Praca — całkowity zasób rąk do pracy okresu pokoju został przez państwo zmobilizowany i rozdzielony zgodnie z wymogami założonej skali produkcji dla celów wojny, przy czym stopniowo objęto całą pracę ludności w wieku produkcyjnym obojga płci. W czasie tych procesów okazało się w krajach anglosaskich, że można bez naruszania wolności indywidualnej uzyskać dobrowolną zgodę milionów pracowników na szereg restrykcji w ich sferze wolności osobistej i materialnej.
- 2) Surowce, produkty kluczowe oraz wszystkie zasoby artykułów przemysłowych zostały poddane kontroli państwa oraz wprowadzono stałość cen podlegającą odchyleniom jedynie za zgodą rządu; całość dyspozycji zasobami surowcowymi i produkcją znalazła się w rękach rządu, lub instytucji społecznych przez rząd powołanych, lub instytucji specjalnych, które otrzymały odpowiednie uprawnienia od rządu regulacji przydziału surowców oraz ustalenia cen.
- 3) Stałość i odpowiedni poziom cen za artykuły rolnicze a także stała relacja pomiędzy cenami za artykuły przemysłowe nabywane przez rolnika a produktami rolnymi, uzyskana została przez pełną kontrolę nad produkcją rolną i przemysłową. Cały import braków żywności objęło państwo i rozdziela je na rynku artykułów spożywczych po cenach, które nie naruszają kosztów krajowej produkcji rolnej.
- 4) Planowe i uporządkowane zużycie zasobów pracy, odpowiedni rozdział surowców i produktów kluczowych przemysłu, ustalenia stałych cen na produkty rolnicze, przemysłowe oraz uszytowanie skali płac a także objęcie kontroli nad obrotami zagranicznymi, surowcami i artykułami spożycia słowem kontrola całej aktywności gospodarczej w krajach Anglo-Saskich, została ujęta zgodnie z założonymi planami. Należy zaznaczyć, że gospodarka obu wielkich organizmów przemysłowych narodów anglo-saskich oparta na planach doraźnych całkowicie zdaje egzamin, gdyż produkcja wojenna stale wykazuje wzrost a potrzeby spożycia całej ludności są w zadawalający sposób pokrywane, restrykcje zaś i ograniczenia środków spożycia i namiętności wydały rezultat — poprawę zdrowia ogółu ludności w porównaniu sprzed wojny.
- 5) Podział dochodu społecznego uległ pewnej poprawie w porównaniu z latami trzydziestymi. Płaca minimalna zdaje się zupełnie wystarczać na pełne pokrycie, ograniczonych pod naciskiem konieczności wojny potrzeb, oraz usług kulturalnych ludności. Jak już zaznaczyliśmy, masowo obserwowane nad zdrowiem ludności Wielkiej Brytanii stwierdziły wyraźną poprawę zdrowia w porównaniu z czasami przedwojennymi.

Przelewy części dochodu społecznego w formie odpowiedniej stopy obciążenia podatkami, dochodowym i od zysków wojennych oraz skuteczne usunięcie aktywności kapitałów spekulacyjnych na giełdach i w dziedzinie inwestycji, usunęły w dużej mierze anarchistyczną akcję kapitału o różnej czystości celów, zarówno na rynku kapitałowym jak i w dziedzinie produkcji.

- 6) Nowe inwestycje — ich rozmiary planowane i zrealizowane dla potrzeb wojny, cały wielki proces dostosowywania i przebudowy aparatury produkcyjnej wszystkich głównych gałęzi przemysłowych, ogromne inwestycje w urządzeniach podstawowych w celu nowej, wojennej lokalizacji przemysłu, nowe inwestycje składowicze zapasów wojennych i ich rozdziału — cały ten ogromny proces stwarzania nowych aparatów aktywności gospodarczej, dostosowany do wykonania planów wojny, jest zaprzeczeniem normalnych procesów gospodarczych, których celem jest tworzenie dóbr dla zaspokojenia potrzeb. Wszystkie te inwestycje wojny, tworzą narzędzia niszczenia dóbr, potrzeb i osiągnięć cywilizacyjnych i kulturalnych człowieka. Całe to planowanie, jego realizacja, są przykładem zwyrodniałej aktywności człowieka.

Wszystkie te, jednakowoż, zmiany i procesy można odwrócić z zupełnym powodzeniem dla pracy twórczej. Nie ma poważnych przyczyn natury ściśle gospodarczej i społecznej, by obecny slogan „laissez travailler pour detruire“ zmienić na zawołanie „laissez travailler pour construire“. Powołane elementy gospodarstwa: praca, surowce, współczynnik cen, inwestycje, podział dochodu społecznego, uległy pod wpływem konieczności wojennych racjonalnemu powiązaniu w strukturze gospodarstwa społecznego. To powiązanie usunęło szereg cech destrukcyjnych laissez-feryzmu w gospodarce społecznej. Zdrowy rozsądek narzuca wnioski,

że cały proces odwrócenia produkcji i inwestycji wojennych dla celów pokojowych musi być dokonany także na podstawie założeń planowych, gdyż w przeciwnym razie otrzymalibyśmy nieprawdopodobny chaos natychmiast po przerwaniu strzałów na liniach frontu. Dlatego też wszyscy znawcy procesów gospodarczych przyjmują jako pewnik, że większość przemian w strukturze gospodarczej, przyjętych jako przejściowe instrumenty wojenne, uzyska formę stałą, gdyż obejmują one swym zasięgiem całość urządzeń i instytucji gospodarczych. Świadomość użyteczności uzyskała powszechną sankcję opinii społecznej. Większość przemian technicznych, zmian socjologicznych, jest jednak niczym innym, jak realizacją idealistycznych założeń o których marzyli w latach trzydziestych nieliczni planiści widząc że planistyka jednostronna potencji monopolistycznych prowadzi społeczeństwa i ludzkość do katastrofy.

Oczywista, że zachodzące procesy przemian, nie posiadają ani cech czystego planowania kapitalistycznego, ani też cech doktrynalnego planowania socjalistycznego. Są one wynikiem podstawowej dążności społeczeństw demokratycznych do stwarzania takich urządzeń, które usuwają urządzenia i instytucje przestarzałe, lub nieodpowiednie dla realizacji celów, które trzeba osiągnąć by uratować świat i człowieka przed nawałą barbarzyństwa moralnego i zniszczenia materialnego.

- 7) Pieniądz — z ogółu poruszonych przez nas elementów struktury gospodarczej lat trzydziestych i zmian czterolecia wojny, pieniądz — jako środek wymiany oraz narzędzie uruchamiania procesów inwestycyjnych, także został użyty w inny sposób aniżeli był używany uprzednio, uzyskuje on inną funkcję. Stracił część wolności ruchu, zarówno na rynku inwestycyjnym jak i na rynku konsumpcyjnym. Jego zdolność spekulacyjna poniosła poważną klęskę.

Na rynku inwestycyjnym może on podejmować inicjatywę w takich dziedzinach aktywności gospodarczej i o takich rozmiarach, które mu zostały wskazane przez centralną dyspozycję państwa, na rynku zaś konsumpcyjnym ograniczenia norm spożycia skurczyły wartość pieniądza płynnego w rękach konsumenta. Wszystkie oszczędności i wszystkie płynne kapitały, którymi uprzednio posiłkowałą się spekulacja, albo inaczej mówiąc wszystkie płynne kapitały powstałe z oszczędności dobrowolnej lub przymusowej zostały poddane do dyspozycji rządu — całe nadmiary płynnej gotówki rząd skierowuje w dziedziny aktywności, które uważa za potrzebne i celowe.

Pieniądz jako element struktury gospodarczej w ostatnim czteroleciu, podlega całkowicie dyspozycji i kontroli państwa w krajach anglo-saskich, lecz w taki sposób, że pozostawia całą sferę inicjatywy posiadacza, odpowiedniego wykorzystania i skierowania go w dziedzinach, czy branżach gospodarczej aktywności, które wyznaczył mu rząd.

Rozumie się, że po wojnie skierowanie pieniądza w odpowiedniej proporcji i kolejności do procesów inwestycji spożycia będzie odgrywało kluczową rolę w realizacji planowanej rekonstrukcji gospodarczej.

Zmiany w strukturze krajowego gospodarstwa społecznego w celu pełnego wykorzystania sił produkcyjnych ludności w wieku zdolnym do pracy oraz pełnego pokrycia potrzeb materialnych i kulturalnych społeczeństwa nie mogą być dokonane w jednym zamkniętym gospodarstwie. Muszą objąć całą społeczność międzynarodową. Przeszkodą główną zlokalizowania gospodarki planowej w jednym kraju i w jednym państwie jest przede wszystkim nierównomierność, niedostateczność i przypadkowość rozdziału surowców gospodarczych oraz różnorodność gęstości zaludnienia na obszarach, których nawet maksymalna wydajność nie daje możliwości pełnego wyżywienia ludności. Wymiana więc surowców, zaopatrzenie w środki żywności krajów o stałym deficycie dostawy szeregu kluczowych produktów przemysłu pomiędzy zorganizowanymi gospodarkami międzynarodowymi — oto procesy nieuniknione by utrzymać normalny, zdrowy, zaplanowany rozwój gospodarki narodowej.

Wymiana międzynarodowa w ostatnim pięćdziesięcioleciu podlega kontroli (około czterdziestu najważniejszych produktów)* bądź monopolistycznie zorganizowanych interesów kapitału, bądź też kontroli „Have“ państw,

* Żelazo i stal oraz ich główne przetwory i fabrykaty jak szyny kolejowe, drut, płyty okrętowe, rury, szereg narzędzi i maszyn, miedź i nikiel, cyna, bauksyt i aluminium, cynk i ołów — ogółem wszystkie metale kolorowe oraz większość znanych stopów metalowych, kauczuk, farby i barwniki, fosfaty, sole potasowe, soda, drzewo i jego miazga, papier i celuloza, szot, szkło, bawełna, juta, konopie i len, pszenica, mięso, kawa brazylijska, herbata i cukier oraz szereg przetworów chemicznych — oto lista najgłówniejszych artykułów, których produkcja, obrót i ceny podlegały planowej kontroli międzynarodowych porozumień instytucji kapitalistycznych.

które są dyspozytorami głównych środków produkcji i środków transportu. Próba analizy możliwości planowych przemian w strukturze gospodarczej danego kraju wykazuje, że są one osiągalne gdy dany kraj otrzyma przydział surowców potrzebnych do pełnej produkcji krajowej oraz gdy dany kraj będzie miał możliwość oddania tytułem wymiany szeregu produktów lub surowców krajowych za surowce i produkty otrzymane.

Zachodzi więc pytanie, czy obecnie w dziedzinie międzynarodowego obrotu towarowego widzimy przemiany które wskazują, że partykularny i krótkowzroczny interes poszczególnych monopolistów—posiada, czy został zastąpiony pojęciem interesu ogólnego? Inaczej mówiąc, czy jest możliwe w międzynarodowych obrotach zastąpienie zasad wolnej konkurencji wraz z jej destrukcyjnymi właściwościami, zasadą współdziałania, które uwzględnia w równej mierze interes posiadających (surowce i specjalne produkty) od nieposiadających?—W dziedzinie teoretycznej posiadamy już obecnie dość poważną ilość projektów zorganizowania międzynarodowych instytucyj rozdziału surowców odpowiednio do potrzeb poszczególnych gospodarstw krajowych. Także zjawiają się i warte są poważnej dyskusji projekty obrotów dóbr przemysłowych i dóbr spożycia w skali międzynarodowej z wyeliminowaniem wszelkiego rodzaju sztucznych barier celnych, podziałów rynków zbytu pomiędzy wspólnoty interesów monopolistycznych i t.d.

W praktyce wojna rozwinęła pewne instytucje racjonalnego wykorzystania surowców i niektórych produktów niezbędnych dla prowadzenia wojny.

Przed rokiem powołano do życia instytucje brytyjsko-amerykańskie: *Combined Raw Material Board*, *Combined Production and Resources Board*, których działalność i doświadczenia mogą mieć wielkie znaczenie dla rozwoju praktycznych metod współpracy międzynarodowej, obrotu surowcami oraz w wykorzystaniu zasobów produkcji przemysłowej świata. Organizacja pierwsza ma za zadanie:

- i) organizację możliwie najlepszego wykorzystania surowców dla celów Zjednoczonych Narodów,
- ii) sporządzanie bilansu surowcowego zapotrzebowania oraz produkcji ich i rozdziału,
- iii) wykorzystywanie i zastosowanie surowców zastępczych lub surowców nowych,
- iiii) rozdział ogółu surowców dla potrzeb poszczególnych gospodarstw oraz organizacji (w porozumieniu z *Combined Shipping Adjustment*) najtańszego transportu zapotrzebowań surowcowych.

W organizacji zakupów przez poszczególne państwa zupełnie wyeliminowano zasadę konkurencji z czasów przedwojennych.

Aparat drugi posiada za zadanie możliwie najracjonalniejsze, najtańsze uruchomienie pełnej produkcji tych gałęzi przemysłu wojennego, które dany kraj może szybko i tanio wytworzyć, z pożytkiem dla wszystkich Narodów Zjednoczonych. Słowem, chodzi o nieprodukcyjne usunięcie dublowania wysiłku w niektórych dziedzinach produkcji.

Oba aparaty współpracy gospodarczej, chociaż przeznaczone dla racjonalnego wykorzystania sił dla celów wygrania wojny, już po roku istnienia wykazały szeregi zalet w znaczeniu ściśle gospodarczym, dla obu wielkich Demokracji przemysłowych: organizacja na rynkach międzynarodowych współpracy przy wydobyciu i zakupie surowców zamiast uprzedniego współzawodnictwa oraz tworzenia zasobów materialnych przez skoordynowaną produkcję artykułów przemysłowych, usuwa bezprodukcyjne trwonienie sił i kosztów przez każde z tych gospodarstw.

Roczny dorobek pracy tych instytucyj pozwala znawcom na wyrażenie opinii, że podobne organy mogą oddać poważne usługi powojennej organizacji gospodarczej świata. Oba te instrumenty brytyjsko-amerykań-

skie, oraz szereg podobnych instytucyj regulujących współpracę pomiędzy poszczególnymi członkami Commonwealth'u a Zjednoczonym Królestwem, mają raczej znaczenie ułatwień natury organizacyjnej i technicznej.

Znaczenie zaś przewrotowe w stosunkach obrotu towarowego i usług na terenie międzynarodowym może mieć zasada Lend & Lease Bill'u wprowadzająca zamiast odpłaty pieniężnej odpłatę w równowartości dóbr i usług przez stronę korzystającą z pomocy Stanów Zjednoczonych. Lecz z zastrzeżeniem, że zwrot za dostarczoną pomoc „*under the Act of Congress of March 11, 1941, the terms and conditions thereof shall be such as not to burden commerce between the two countries, but to promote mutually advantageous economic relations between them and the betterment of world-wide economic relations.*”

Zasada zawieszenia rozrachunków oraz formy odpłaty za udzieloną pomoc innym partnerom w celach wygrania wojny oraz ustalenie takiego przeprowadzenia rozrachunku, by nie osłabić struktury gospodarczej kraju dłużnika, jest tym właśnie rewolucyjnym zwrotem, który będzie miał bardzo poważne konsekwencje w budowie międzynarodowej wymiany towarowej po wojnie. W czasie tamtej wojny, klauzulą główną umów pożyczkowych pomiędzy wierzycielem a dłużnikiem był zwrot wartości otrzymanej pomocy w formie pieniężnej, bez uwzględnienia czy dłużnik, t.zn. jego gospodarstwo społeczne, będzie zdolne zwrotu tego dokonać. Chodzi o to, że wierzyciel zupełnie nie brał pod uwagę, czy dłużnik zdoła wytworzyć na eksport odpowiednią ilość dóbr i usług a następnie czy zdoła zdobyć na rynku międzynarodowym, za wyeksportowane dobra, odpowiednią ilość dewiz i złota, by uiścić Stanom Zjednoczonym zobowiązania powstałe w czasie wojny prowadzonej wspólnie dla zniszczenia wroga.

Drogi zwrotu zobowiązań za pomoce wojenne w bezpośrednich dostawach dóbr i usług, dłużnik nie mógł wykorzystać, gdyż Stany Zjednoczone zamknęły przed nim swój rynek, przez wzniesienie „*extreme and disastrous tariff policy*” (Cordell Hull) w celu uchronienia swego przemysłu przed konkurencją przemysłu Europy i świata. Politykę tych lat Sumner Welles, czerwiec 1942 r., określił następująco: „*in 1920 and in the succeeding years, we as a nation not only plumbed the depth of material selfishness but we were unbelievably blind*”. Zdanie to można z zupełną słusznością zastosować do wszystkich potencyj gospodarczych okresu między obu wojnami. Polityka gospodarcza małych, lub zaniedbanych organizmów gospodarczych świata, była tylko pochodną polityki wielkich mocarstw: szukanie rozwiązań trudności gospodarczych przez zamykanie się za barierami celnymi, i przez osłabianie tempa rozwoju krajów, zdając się tylko na własne siły przez stosowanie różnorodnego rodzaju praktyk autarkicznych. Rewolucyjna zasada realizowana przy okazji pomocy Stanów Zjednoczonych państwom prowadzącym wojnę z Osią może:

- i) w handlu zagranicznym przyszłości wymianę towarów i usług oprzeć na zasadzie uzupełniania braków gospodarstw słabszych w celu wzmoczenia ich zdolności nabywczej t.zn. szerszego, bardziej obfitego udziału w międzynarodowej wymianie towarowej;
- ii) zamiast czynnika dzikiej i bezwzględnej konkurencji, wprowadzić planowy rozdział surowców oraz nadmiarów produkcji pomiędzy krajami zgodnie z dwoma podstawowymi założeniami Rooseveltowskimi: powszechnego zaspokojenia potrzeb ludności poszczególnych społeczności międzynarodowych i pełnego, produkcyjnego zatrudnienia.

Z właściwą mu konsekwencją realizacji swych idealnych dążeń, Prezydent Roosevelt wprowadził w życie instytucję prawną, która tworzy normy praktyczne dla dwóch powołanych powyżej możliwości. Mianowicie w umowach z 28 państwami, z grupy Zjednoczonych Narodów a Stanami Zjednoczonymi wprowadził on słynny artykuł VII, precyzujący zasady gospodarczej współpracy Stanów Zjednoczonych w przyszłości, z

państwami korzystającymi z dobrodziejstw Aktu Kongresu z dnia 11 marca 1941 r. (Lend & Lease Bill). Artykuł ten w oryginale brzmi następująco:

„In the final determination of the benefits to be provided to the United States of America by the Government of the United Kingdom in return for aid furnished under the Act of Congress of March 11, 1941, the terms and conditions thereof shall be such as not to burden commerce between the countries, but to promote mutually advantageous economic relations between them and the betterment of world-wide economic relations. To that end, they shall include provisions for agreed action by the United States of America and the United Kingdom, open to participation by all other countries of like mind, directed to the expansion of appropriate international and domestic measures, on production, employment, and the exchange and consumption of goods which are the material foundation of liberty and welfare of all peoples; to the elimination of all forms of discriminatory treatment in international commerce, and to the reduction of tariffs and other trade barriers and in general, to the attainment of all the economic objectives set forth in the Joint Declaration made on August 12, 1941, by the President of the United States of America and the Prime Minister of the United Kingdom.

At an early convenient date conversations shall begin between the two Governments with a view to determining, in the light of governing economic conditions, the best means of attaining the above stated objectives by their own agreed action and of seeking the agreed action of other like-minded Governments“.

Artykuł ten nie tylko precyzuje zasady współdziałania gospodarczego na terenie międzynarodowym, które przyniosą korzyści „posiadającym“ i „nieposiadającym“ lecz także zawiera zobowiązanie Zjednoczonych Narodów do przystąpienia w odpowiedniej chwili do opracowania planów tego współdziałania oraz powołania odpowiedniej względnie odpowiednich maszyneryj, które wprowadziłyby w życie praktyczne nowe zasady.

Przytoczone powyżej przykłady powstania instrumentów obrotu surowcami, transportem i produkcją, które działają obecnie w celach wojny, przynoszą dowody, że planowa akcja wymiany międzynarodowej może być rozwiązywana praktycznie, a powstające instrumenty prawne jak akt Lend & Lease Bill'u oraz międzynarodowe umowy Rooseveltowskie pozwalają mniemać, że zasada międzynarodowej współpracy dająca pełne zatrudnienie oraz zdążająca do pełnego zaspokojenia potrzeb wielkich, małych, niedorozwiniętych lub zaniedbanych organizmów gospodarczych, już została zapoczątkowana w społeczności Zjednoczonych Narodów i może wydać poważne rezultaty, o ile nie przewróci obu tych dorobków wielki świat egoizmów kapitalistycznych skierowawszy oba narody anglo-saskie w kierunku powrotu do „normal“ or „rehabilitation“.

8. W przeszłości wymiana międzynarodowa wynikała z tak szumnie zwanego „międzynarodowego podziału pracy“, regulowanego samoczynnie przez popyt, podaż, najniższą cenę oraz wyrównawcze krążenie złota na rynku międzynarodowym.

W istocie rzeczy, jak to już podnieśliśmy, w ostatnim pięćdziesięcioleciu mechanizm handlu zagranicznego był regulowany przez porozumienia monopolistyczne wielkich wspólnot kapitałowych — podaż była planowana, ceny ustalone, a rynki zbytu obsługiwane według klucza przydzielonych kontyngentów. Ten „międzynarodowy podział pracy“ podlegał regulacji i kontroli dyspozytorów surowcami, głównymi produktami gotowymi i półfabrykatami i był dalekim od istotnego obsłużenia zarówno konsumentów jak i zasobów i warsztatów pracy poszczególnych gospodarstw krajowych.

Jeśli zasada wzajemnego uzupełniania podziału pracy społeczności międzynarodowej prowadzącej wojnę z państwami Osi, wyrażona w Lend & Lease Bill'u zostanie przyjęta jako podstawa regulacji towarowych obrotów międzynarodowych także w czasie pokoju, wówczas wymiana międzynarodowa będzie regulowana przez:

- 1) planowy podział surowców,
- 2) planowy rozdział dóbr przemysłowych i środków wyżywienia, oraz,
- 3) kontrolowany, wielokierunkowy rozrachunek pomiędzy gospodarstwami narodowymi, wyrównujący różnice powstałe z tytułu krążenia dóbr na rynku międzynarodowym.

Plany podziału surowców i uzupełniającej się wymiany dóbr gotowych oraz środków żywności wymagają powołania do życia czterech międzynarodowych instytucji gospodarczych: surowcowej, dóbr przemysłowych, środków żywności oraz instytucji (banku) wielokierunkowego rozrachunku z tytułu obrotów towarowych.

Załączki pierwszych trzech instrumentów już działają z ramienia Zjednoczonych Narodów—potrzeba powołania czwartej instrukcji dojrzeźwa na tle rozrachunków za wielostronne wzajemne dostawy środków wojennych, surowców i wyżywienia.

Te cztery instrumenty międzynarodowej współpracy są tak samo podstawowym warunkiem trwałego pokoju, jak i międzynarodowy trybunał rozjemczy dla zabezpieczenia świata przed powtórzeniem się wojny.

9. Staraliśmy się powyżej przedstawić dokonywane się przemiany w sferze myśli oraz w sferze rzeczywistości gospodarczej, które zdążają do planowej rekonstrukcji świata po wojnie.

Dokonany przegląd zmian w strukturze gospodarczej obejmuje głównie świat anglo-saski. Kierunki i treść zachodzących przemian pozwalają na twierdzenie, że planowa gospodarka, zdecydowanym krokiem, wchodzi w życie praktyczne i zdaje egzamin ze stopniem wyższym, niż dostateczny. Praktyczne instrumenty organizacji międzynarodowego współdziałania przekonują sceptyków, że kontrolowany rozdział surowców i towarów a także regulowana struktura gospodarstwa krajowego mogą wydać więcej aniżeli zadawalniające rezultaty w porównaniu z chaotycznym działaniem automatyzmu *laisser-faire*.

Wszystkie te jednak dodatnie objawy rewolucji w wartościowaniu pojęć społeczno-gospodarczych i w praktyce gospodarczej, nie pozwalają na wysunięcie zdecydowanego twierdzenia, że przyszłość świata będzie zorganizowana na zasadach planowanej, kontrolowanej i wzajemnie się uzupełniającej współpracy.

Poważną przeszkodą w realizacji planowej rekonstrukcji gospodarczej w skali światowej jest „dziedzictwo ustroju gospodarczego państw posiadających” — a zwłaszcza Wielkiej Brytanii. Macierz Wspólnoty Brytyjskich Narodów, Wyspy Zjednoczonego Królestwa posiada strukturę gospodarczą w wielkim stopniu zależną od związanych z nią gospodarczo-politycznie dominiów, kolonij, protektoratów i krajów objętych sferą wpływów gospodarczo-politycznych na całym świecie.

W związku z pierwszą Wojną Światową dominia, kolonie i szereg krajów rolniczych będących stałymi odbiorcami produktów przemysłowych Anglii, podległo procesowi uprzemysłowienia — co w konsekwencji zmniejszyło wywóz pewnych produktów z metropolii. Prawda, — podniosła się siła kupna w krajach nowego uprzemysłowienia, lecz została ona wykorzystana przez konkurencyjne kraje przemysłowe, gdyż przemysł Anglii nie miał czasu, a częściowo i chęci, do szybkiego przestawienia się na nowe potrzeby dotychczasowych konsumentów. Skutkiem tych zmian aparat produkcyjny Wyp Brytyjskich skurczył się, co pociągnęło za sobą stałe bezrobocie obejmujące od 10 do 22% ogółu zatrudnienia w przemyśle, handlu i górnictwie.

Obecna wojna przyspiesza nadal procesy uprzemysłowienia w dominiach, koloniach i w krajach wpływu. Inwestycje posiadane przez kapitał Wielkiej Brytanii w krajach obu Ameryk, w Australii i w Indiach, podlegają stopniowej wyprzedaży w celu zdobycia środków na prowadzenie wojny, co obniży w przyszłości, w wielkim stopniu, napływ kapitałów z zagranicy z tytułu zysków od zainwestowanych kapitałów.

Skutkiem tych procesów dalsze uniezależnienie się gospodarcze krajów Commonwealth'u, wydaje się być nieuniknione. Do przepowiedni tej należy załączyć zastrzeżenie. Polityka gospodarcza Zjednoczonego Królestwa stara się jednocześnie z likwidacją jednych inwestycji, wprowadzić inwestycje nowe, oraz wobec gwałtownego podwyższania się stopy życia i zamożności, a więc siły kupna w dominiach i w koloniach, będzie mogła podnieść i rozszerzyć zbył swych towarów gotowych w ramach Imperium w stopniu może wyższym, aniżeli w latach trzydziestych.

Sfery kierownicze ekonomiką Wielkiej Brytanii rozumieją doskonale grożące niebezpieczeństwo dla struktury gospodarczej tego kraju, wynikłe z powołanych powyżej przyczyn i szukają rozwiązania w jaki sposób zabezpieczyć po wojnie ekspansję towarową w krajach podległych wpływom gospodarczo-politycznym metropolii Imperium.

Obecną oficjalną doktrynę brytyjską można scharakteryzować następująco: *utrzymać stan posiadania w krajach wprzęgniętych w brytyjski system gospodarczy oraz zapewnić sobie inicjatywę na rozwój gospodarczy krajów kolonialnych i krajów wpływu interesów w taki sposób, by utrzymać w pełnym biegu maszynę produkcyjną Wielkiej Brytanii*. Slogan: „*What we have, we hold*“ — należy rozumieć nie tylko w poprawce „*Economist*’y“: „*What we nourish and develop we hold*“, lecz także z poprawką: „*from what our prosperity comes*“.

Położenie geograficzne wysp oraz puścizna historycznego rozwoju gospodarczego Anglii, powoduje, że Brytyjczycy starać się będą w przyszłym świecie utworzyć z Commonwealth'u pewnego rodzaju zamknięty system gospodarczy, w którym interesy metropolii mogłyby utrzymać swe kierownicze stanowisko i pozwolić na utrzymanie aparatury produkcyjnej dającej pełne zatrudnienie ludności produkcyjnej tego kraju. Można to będzie osiągnąć przez zorganizowanie wysokich obrotów produktami gotowymi z posiadłościami Imperium podnosząc możliwie wysoko zdolność nabywczą ludności tamtejszej. Jednocześnie metropolia będzie nadal starała się zatrzymać rozdział i pośrednictwo surowców dla „państw nie posiadających“ lub państw odradzających się gospodarczo, lub też państw zdążających do uprzemysłowienia. Dyspozycja wieloma surowcami niejednokrotnie monopolistyczna, a także wielka aparatura shippingu morskiego Wielkiej Brytanii *mogą być kluczami kontroli — regulowania szybkości i zakresu odradzania się gospodarczego, zniszczonego przez wojnę świata*.

Tak możliwie w najbardziej zwartym skrócie zarysowuje się dzisiaj doktryna brytyjska rekonstrukcji swego, brytyjskiego świata, po wojnie.

Należy zaznaczyć, że wielu z kierowników życia ekonomicznego Wielkiej Brytanii rozumie trudność tej doktryny w praktyce.

Zupełnie inne stanowisko zajmują sfery rządowe St. Zj. Głoszą one zasadę zupełnego otwarcia rynków krajowych dla handlu zagranicznego i zdążają do usunięcia jednostronnej kontroli gospodarczej nad eksploatacją krajów kolonialnych, rolniczych i krajów małego uprzemysłowienia. *Zasada równego dostępu do surowców zgodnie z potrzebami gospodarczymi danego gospodarstwa społecznego jest oficjalną doktryną Ameryki*. Planowy i kontrolowany międzynarodowo rozdział surowców oraz otwarcie rynków zbytu dla handlu zagranicznego na zasadach równości wy wpływają ze struktury gospodarczej Stanów Zjednoczonych. Chcą one uzyskać łatwy dostęp do surowców zamykanych przed nimi w przeszłości, bądź przez organizacje, monopolistyczne bądź przez taryfy celne oraz proponują otwarcie rynków zbytu dla towarów przemysłowych, gdyż pamiętają swą własną katastrofalną politykę barier celnych, która wywołała odwet większości państw świata w postaci barier celnych przed towarami Stanów Zjednoczonych.

Otóż — w chwili obecnej posiadamy dwie wyraźnie przeciwstawne sobie dążności największych potencji gospodarczych świata, z których jedna reprezentuje pewnego rodzaju doktrynę autarkiczną a druga reprezentuje pewnego rodzaju uniwersalizm gospodarczy z zastrzeżeniem, że kierownict-

wo, względnie decydujący głos w tym uniwersalizmie będą miała Stany Zjednoczone.

Jeśli pomiędzy tymi dwiema doktrynami nie nastąpi kompromis, który pozwoli na istotny, bez wyzysku, dostęp do surowców poszczególnych gospodarstw narodowych, względnie gospodarstw regionalnych, obejmujących szereg gospodarstw krajowych, oraz o ile nie zostanie urzeczywistniona zasada stałego i szybkiego budowania zdolności nabywczej zniszczonej Europy i Azji, krajów kolonialnych, rolniczych, małego uprzemysłowienia — wówczas procesy planowania, t.zn. kontroli nad rozwojem życia gospodarczego w skali krajowej i międzynarodowej ulegną zupełnemu spaceniu lub też zbankrutują. Należy jednak przypuszczać, że doktryna krótkowzrocznych, samolubnych interesów wielkiego kapitału, który zdąży, wykorzystując istniejące trudności gospodarcze i społeczne, zwłaszcza w świecie anglo-saskim, do przywrócenia właściwie stanu ante bellum — zostanie ostatecznie zarzucona. Planowa rekonstrukcja gospodarcza, zarówno w skali krajowej jak i międzynarodowej, może być dokonana gdy społeczeństwa uzyskają istotną kontrolę nad potencjami kapitalistycznymi i stworzą z nich posłuszne narzędzia obsługi potrzeb społecznych. Inaczej mówiąc, *gdy dyspozycja i kontrola nad aparaturą produkcji, inwestycji i rozdziału dochodu społecznego znajdzie się istotnie w rękach społeczeństwa a nie poszczególnych grup zorganizowanych interesów kapitału.*

Z podanego powyżej materiału nasuwają się następujące wnioski:

- 1) Powrót do „rehabilitation“ lub „normal“ lat przedwojennych jest dążnością wsteczną, gdyż dokonywujące się przemiany starej struktury gospodarczej i społecznej, przez dodatnie wyniki uzyskują wartość trwałą w opinii publicznej.
- 2) Procesy planowania, oparte o coraz wyraźniej określone cele, obejmują prawie wszystkie dziedziny życia gospodarczego i zmieniają znaczenie i układ poszczególnych elementów struktury gospodarczej nie tylko w skali gospodarki krajowej ale i w skali — międzynarodowej.
- 3) Plany rekonstrukcyjne gospodarki, a zwłaszcza wymiany i wzajemnej pomocy międzynarodowej muszą się oprzeć na *planach krajowych.*
- 4) Celem każdego planu krajowego musi być wyraźna realizacja dążności Nr. 1: *stałe zapewnienie pracy produkcyjnej jednostce zdolnej do jej wykonywania oraz ustalenie płacy w takiej wysokości, która w zupełności wystarcza na zdrowy biologicznie i pełny kulturalnie rozwój jednostki i rodziny.*
- 5) Zabezpieczenie trwałego pokoju w równej mierze zależy od powołania skutecznych instrumentów międzynarodowego arbitrażu między państwami jak i od instrumentów słusznego rozdziału surowców świata i skutecznej kontroli nad monopolistycznymi wspólnotami (kartele, koncerny) *wielkiego kapitału w dziedzinie produkcji i wymiany międzynarodowej.*
- 6) Odrzucenie zasady współdziałania gospodarczego w skali międzynarodowej zarysowanej przez Lend and Lease Bill, na rzecz starej zasady współzawodnictwa i autarkii pomiędzy potencjami gospodarczo-politycznymi, doprowadzi do rewolucji społecznej w skali światowej.
- 7) W chwili obecnej bieg wypadków międzynarodowych w dziedzinie gospodarczo-politycznej zdaje się wskazywać, że zasada współpracy i współdziałania nad planem rekonstrukcji świata powojennego z utrzymaniem czterech wolności *jako celu głównego państw demokratycznych* — zostanie utrzymana.

OBITER DICTA

Było to w roku 1833. Kierownik biura patentowego w Waszyngtonie podał się do dymisji. W liście rezygnacyjnym oświadczył, iż wprawdzie umiłował swe stanowisko i z żalem je opuszcza, ale sumienie nie pozwala mu brać pieniędzy za tak nieprodukcyjną pracę. Wszystkie możliwe wynalazki zostały dokonane i opatentowane. Nie ma już nic do odkrycia.

Tak pisał ów urzędnik w okresie prymitywnych kotłów parowych, przed triumfem elektryczności, przed telegrafem, telefonem i innymi cudami techniki XIX wieku, nie mówiąc już o wieku XX.

Dokument powyższy wyszperał w archiwach pewien publicysta amerykański, który jeszcze przed New Deal'em nawoływał swych rodaków do zerwania z szablonem myślenia politycznego, zapatrzonego w przeszłość, choćby najpiękniejszą. Przypominał on, że wielu było niedowiarków typu owego poczcivca na wyższych od niego stanowiskach, którzy powitali telefon, jako humbug amerykański, nie mogący się równać z wypróbowaną już tubą, którzy w znacznie późniejszych czasach nie wierzyli w rozwój samochodu, kinematografu, samolotu, radia i t.d. twierdząc, że wynalazki te osiągnęły szczyt doskonałości i grozi im stopniowy upadek...

Dużo podobnych przykładów z innych zgoła dziedzin, nic wspólnego z techniką nie mających, przytacza p. Walter Pitkin w swoim obszernym tomie p.t. „A Short Introduction to the History of Human Stupidity“. Technika stworzyła cuda, ale świat od tego nie zmadrał. Największa tragedia rodzaju ludzkiego polega na tym, że jego rozwój moralny nie podąża za postępem technicznym, że jeśli chodzi o spokojne współzycie nie tylko nie posunęliśmy się naprzód od epoki kamiennej, lecz przeciwnie, cofamy się wstecz, bo jaskiniowiec nie zabijał bliźniego dla zasady, dla doktryny, dla hasła narodowych czy też koncepcyj geo-politycznych.

Nieszczęściem jest, że człowiek z trudem uprzytamnia sobie tę odwrotną stronę swojej cywilizacji i dopiero w czasie wojny, pod wpływem własnych doświadczeń, zaczyna się zastanawiać nad jej brakami. Wrodzony optymizm nie pozwala mu wierzyć w najgorsze i osłabia jego instynkt samozachowawczy. Adam Smith i Gibbon utrzymywali, że mroki średniowiecza nigdy już nie powrócą, bo skąd wezmą się nowi Hunowie i Wandale? Nie wpadło im na myśl, że sama cywilizacja, zaniedbująca wartości moralne, zrodzi barbarzyńców, którzy ją zniszczą.

Przesadą byłoby twierdzenie, że przed tą wojną nie zdawano sobie na ogół sprawy ze straszliwych ofiar ludności cywilnej, jakie ona za sobą pociągnie. Może nawet wyolbrzymiano je, przewidując masowe użycie gazów. Ale nie uświadamiano sobie dostatecznie możliwości potwornych, zorganizowanych, sadystrycznych zbrodni, jakie zademonstrowali Niemcy. W r. 1932 H. G. Wells, przemawiając przez radio z okazji lotu Amy Johnson do Afryki Południowej, powiedział: „Zniszczyliśmy przestrzeń, nie ma odległości na świecie. Czy jesteśmy jednak do tego moralnie przygotowani? Zdobyte wiedzy postawiły nas wobec dwóch wielkich nowych faktów: złego i dobrego. Otwierają one bajeczne perspektywy, a jednocześnie grożą zupełnym unicestwieniem cywilizacji. Zbliżają narody fizycznie, ale jednocześnie doskonałą morderczą narzędzia wojny. Możemy rozmawiać z ludźmi na drugiej półkuli, a niedaleki jest czas, kiedy drobnością będzie wsiąść na samolot i zasypać ich gradem bomb. Okropności wojny ostatniej były sielanką w porównaniu z tym, co nas czeka w przyszłej. Nie będzie ona ograniczona w przestrzeni, cały świat stanie się jej terenem. Zresztą samolot obecnego typu, narażony na ataki nieprzyjacielskie to jeszcze nie ostatnie słowo. Przyjdą po nim torpedy powietrzne, napełnione bombami, gazami, mikroorganizmami, które można będzie w każdej chwili

kierować dokąd nam się spodoba, siejąc śmierć i spustoszenie. Jeden jest tylko sposób, by uchronić nas od przekleństwa nowych wynalazków. Musimy stworzyć jedno państwo z jednym językiem, jednym braterstwem, jednym pieniądzem, jakkolwiek trudne się nam to wydaje. Inaczej bowiem będziemy żyli w wiecznym strachu przed nieprzyjacielem, słyszającym i widzącym, co się dzieje w naszym domu, nieprzyjacielem, który trzyma nam bezustannie nóż na gardle. Czas najwyższy, by ludzkość sobie to uświadomiła i nie dała się zaskoczyć nawałnicą śmiertcionośnych bomb. Dlaczego tysiące profesorów zajmuje się badaniem zamierzchłej przeszłości, a nie ma ani jednego, któryby się wyłącznie poświęcił przewidywaniu skutków nowych wynalazków. Czy przewidzieliśmy rewolucyjne skutki samochodu? Nic podobnego. Zaskoczył on nas i dotychczas nie jesteśmy w stanie opanować ruchu kołowego. Dziesiątki tysięcy ludzi giną na drogach. Trzeba założyć na uniwersytetach „Foresight Faculty“ — fakultet przewidywania.

Znakomity pisarz, ale dyletant i utopista — mówili „specje“ o Wells'ie. Lekceważono jego przestrogi. Okazało się jednak, że, niestety, miał on często więcej racji od t.zw. realistów, którzy popełniali największe głupstwa w okresie między dwiema wojnami. Jedno państwo, jeden język, jedno braterstwo — to, oczywiście, na tle naszej teraźniejszości jest tylko aktem wiary, wizja dalekiej przyszłości, na której nie można zbudować programu politycznego. Lecz ludzie, których nie ożywia wielka idea wspólnoty międzynarodowej, którzy wierzą w *taki absurd, jak federacje nacjonalizmów*, są stokroć większymi fantastami. Dzisiaj nie ma już odpowiedzialnego męża stanu w krajach sprzymierzonych, który, mówiąc o pokoju, nie podkreślałby konieczności utworzenia *międzynarodowej* siły zbrojnej przeciw przyszłym agresorom, który nie rozumiałby, że powrót do dawnego stanu rzeczy jest wykluczony. Mogą istnieć różnice zdań co do *spособów* realizacji zasad, na których oprze się nowy porządek świata, zwłaszcza w okresie przejściowym, lecz nie co do samych zasad. Bez tej wielkiej idei Karta Atlantycka stałaby się bezwartościowym świstkiem papieru. Są to rzeczy tak jasne, że nie warto się nad nimi dłużej rozwodzić. Niedawno p. Sumner Welles, amerykański podsekretarz stanu, który bynajmniej nie należy do utopistów i wyraża stanowisko rządu St. Zjednoczonych, nakreślił w przemówieniu swym plan przyszłej organizacji pokoju, opartego na *międzynarodowej* sile zbrojnej, *międzynarodowym* aparacie kontroli, *międzynarodowych* instytucjach gospodarczych i finansowych.

* * *

Wkroczyliśmy w tę fazę wojny, kiedy czas już pomyśleć o *wygraniu* pokoju. Sytuacja przedstawia się dla sojuszników coraz lepiej. Można bez wielkiego ryzyka twierdzić, że maj i czerwiec były miesiącami, przeważającymi szale zwycięstwa na ich korzyść. Churchill wielokrotnie podkreślał, że w wojnie tej decydują nie poszczególne bitwy, nie epizody, lecz stałe działające tendencje, które neutralizują wszelkie ujemne dla aliantów niespodzianki. Z tego punktu widzenia wynik wojny jest obliczalny, natomiast nieobliczalne są jej dalsze skutki — wstrząsy, jakie mogą nastąpić. „The aftermath of the war“ może okazać się katastrofalne, jeśli alianci nie przygotowują się do opanowania chaosu i nie będą wiedzieli dokładnie do czego dążą, poza zwycięstwem orężnym. Nowy pokój w starym stylu z tą różnicą, że Niemcy będą naprawdę rozbrojone, uszczuplone terytorialnie czy też rozkawałkowane, że część Niemców zostanie w ten czy inny sposób ukarana, nie rozwiązuje problemu. To czysto mechaniczne podejście, wysuwające na pierwszy plan jakąś nową równowagę, czy supremację sił, dałoby rezultat, odraczający na dłuższy lub krótszy czas trzecią wojnę światową. Są publicyści i to bardzo zdolni, którzy traktują politykę, jako grę, coś w rodzaju bilardu czy szachów. Według nich, w polityce, jak na zielonym suknie zderzają się kule o różnych kolorach,

większe i mniejsze, dobrze wycelowane i chybiające, te, co pozostają na stole, i inne pakowane do łóż. Co się w tych kulach — w tych państwach i narodach — dzieje, wszystkie procesy wewnętrzne, jakie w nich zachodzą, uważane są za rzecz drugorzędną. Publicystów tych obchodzi głównie przyszły „*balance of powers*“, który sprowadza się do niczego innego, jak do „*power politics*“, innymi słowy do tego samego, co okazało się tak fatalnym w przeszłości. Nie trzeba dodawać, że tego rodzaju „realistyczne“ podejście jest z gruntu fałszywe, tak samo, jak próba rozwiązania powojennych problemów świata przy pomocy finezyjnych rozgrywek na szachownicy dyplomatycznej. Jeśli wojna obecna jest wojną „*kubicką*“ w porównaniu z dawnymi wojnami, kiedy nie było jeszcze lotnictwa, jeśli zgroza jej wprowadziła nas w *czwarty wymiar niewyobrażalnego dotychczas zła*, to i pokój, który ma zapobiec jej powtórzeniu, nie może ograniczać się do zmian na mapach politycznych, lecz musi iść w głąb psychiki współzycia ludzkiego, w głąb duszy człowieka, tępiąc *rozkładowe miazmaty nienawiści narodów i ras, usuwając krzywdy społeczne i ekonomiczne, burząc totalne niewolnicze doktryny deifikacji państwa i bałwochwalstwa „wodzów“*. Zboczenie z tej drogi zaprowadziłoby nas na nowe manowce i na nowy brzeg katastrofy.

* * *

Szansę zwycięstwa przedstawiają się, jak powiedzieliśmy wyżej, coraz lepiej dla sprzymierzonych. W pierwszych jej latach Niemcy zawdzięczali swe sukcesy szeregowi czynników, które bądź uderzają w nich obecnie, bądź straciły swój efekt. *Po pierwsze* — swej Luftwaffe. Dawno minęły już jej triumfy. Dzisiaj Niemcy i Włosi odczuwają na własnej skórze Blitz powietrzny. *Po drugie* — przewadze broni pancernej. I to się skończyło. *Po trzecie* inicjatywie i zaskoczeniu. Dzisiaj sytuacja się odwróciła. Niemcy i Włochy mogą być w każdej chwili zaatakowane na lądzie, wisi nad nimi inwazja, a nie wiedzą gdzie i skąd? *Po czwarte* swej t.zw. „Innere Linie“, pozycji centralnej, dzięki której mogli łatwiej przetrwać i wykorzystywać swe siły, niż sojusznicy, operujący na dalekich peryferiach. Ten atut znacznie bardziej przydatny dla ataku niż dla obrony, stracił swą wartość, tym bardziej, że nie mają dostatecznych rezerw do dyspozycji i że ich linie komunikacyjne są pod bombami lotnictwa sprzymierzonych. *Po piąte* — łodziom podwodnym. Efekt tej broni, najniebezpieczniejszej dla aliantów, również słabnie. Ich tonaż wzrasta nieustannie. Ich straty morskie zmniejszają się. Niemieckie łodzie podwodne zatapiane są w coraz większych ilościach. Zresztą, już doświadczenie wojny poprzedniej dowiodło, że nie można jej wygrać *pod wodą*. Von Doenitzowi na pewno nie udało się to, co nie udało się von Tirpitzowi. Różnica samego potencjału wojennego między sprzymierzonymi i państwami osi jest tak wielka na korzyść pierwszych, że, pomijając już czynniki ideologiczne, działa ona z matematyczną pewnością przeciw osi. Nie zapominajmy również, że sześćdziesięcioletni kapitał przygotowań niemieckich do wojny został już poważnie nadzarpnięty. Sojusznicy dawno nadrobili swe braki i prześcignęli państwa osi. Przewaga Niemiec w dowództwie, doświadczeniu i organizacji wojennej należy również do przeszłości.

Churchill, na ogół powściągliwy i ostrożny, gdy ocenia sytuację wojenną, jest pełen optymizmu w swych ostatnich wypowiedziach. A trzeba podkreślić, że zarówno przed wojną, jak i w czasie jej, prognozy jego zwykle się sprawdzały. Nikt usilniej od niego nie ostrzegał przed niebezpieczeństwem niemieckim. Churchill, który nigdy nie należał do sentymentalnych pacyfistów, domagał się przed wojną poparcia Ligi Narodów i *zbiorowego bezpieczeństwa*. Churchill, który był jednym z inicjatorów interwencji przeciw Sowiecom po tamtej wojnie, który nigdy nie szczędził ich regimemu, atakując go w najostrejszy sposób piórem i słowem, nie zawahał się ani chwili, by, po ataku Hitlera natychmiast przyjść im z pomocą. Cała mądrość polityki streszcza się w rzeczy bardzo prostej: *umieć*

odróżnić ważniejsze od mniej ważnego w danej chwili i mieć odwagę zerwania z poprzednim stanowiskiem, przekreślonym przez rozwój wypadków. Do tego nie potrzeba dalekosiężnej imaginacji, do tego potrzebny jest zwyczajny *common sense*. Niema nic gorszego, jak pryncypialny upór.

Prasa angielska przypomina w związku z rozwiązaniem Trzeciej Międzynarodówki to, co pisał Churchill przed siedmiu laty, po zawarciu paktu antykominternowskiego między Niemcami a Japonią. „Stalin — twierdził on — winien czym prędzej zlikwidować i rozpuścić Trzecią Międzynarodówkę. Sowiety winny stanąć przed Europą, jako socjalistyczne państwo silnie uzbrojone dla obrony swej niepodległości, zrywające z wszelką próbą szerzenia swych doktryn za granicą w inny sposób, niż przykładem swych osiągnięć wewnętrznych. Krok taki ogromnie przyczyniłby się do odprężenia międzynarodowego i usunąłby jedną z największych przeszkód na drodze współpracy Rosji z państwami demokratycznymi, a przede wszystkim ze Stanami Zjednoczonymi A.P.“

Stalin wykazał mniejszą przenikliwość, natomiast większy upór pryncypialny. Po ataku Hitlera na Rosję wygłosił on przemówienie przez radio, usprawiedliwiając swą politykę argumentem, obliczonym chyba tylko na konsumpcję wewnętrzną w danej chwili. „Mógłby ktoś zapytać — rzekł — dlaczego Sowiety zawarły pakt nieagresji z takimi łotrami, jak Hitler i Ribbentrop? Czy nie popełniły wówczas błędu? Oczywiście, nie. Żaden kraj, miłujący pokój, nie może odrzucić porozumienia z sąsiednim państwem nawet w tym wypadku, gdy na czele jego stoją takie potwory i kanibale, jak Hitler i Ribbentrop!“ Tego rodzaju stanowisko niczem nie różni się od tezy „appeaser’ów”, za którą ciskano gromy na Chamberlaina i innych „ludzi Monachium“, a utrzymanie której doprowadziło do nonsensu wszystkie wysiłki przyszłych budowniczych pokoju.

* * *

Krótko przed wybuchem wojny czasopismo narodowo-socjalistyczne „*Archiv fuer Biologie and Rassengesellschaft*“ zamieściło artykuł wstępny, udowadniający celowość bombardowania z punktu widzenia higieny i selekcji rasowej.

Autor tak uzasadniał swe stanowisko: „*Najgłębiej zaludnione dzielnice ucierpią najwięcej. Mieszka tam uboga ludność, pasierby losu. Eksplozje je wielkich bomb wywołają liczne wypadki obłędu. Ludzie ze słabym systemem nerwowym nie zniosą takich szoków. W ten sposób bombardowanie pomoże do wykrycia neurasteników...*“ P. William Hickey, świetny felietonista „Daily Express’u“, cytując tę kapitalną próbkę nazistowskiej logiki, dodaje od siebie: „Przypuszczam, że w ciągu ostatnich nocy znalazło się sporo neurasteników w okolicach Dortmundu. Warto byłoby przedrukować ten artykuł i zrzucić go im w ulotce“. Anglicy po smutnych doświadczeniach z ulotkami w pierwszym roku wojny stosują inne metody, miejmy nadzieję, bardziej skuteczne, by wyperswadować Niemcom, że źle postąpili, rozpętawszy tę wojnę i że ich teoria selekcji rasowej *per saldo* się nie opłaca. Niemcy wyją teraz z bólu pod ciosami lotnictwa sprzymierzonych i domagają się „shumanizowania“ wojny za pośrednictwem swego hiszpańskiego klienta, generała Franco, który ma bardzo brzydkie rzeczy na sumieniu i najmniej się nadaje do roli mentora Anglii i Ameryki. Trzeba mieć krótką pamięć, by zapomnieć o Guernice, o tym, że Franco pozwolił Hitlerowi i Mussoliniemu na eksperymentowanie Blitzu powietrznego w jego ojczyźnie kosztem setek tysięcy własnych rodaków. Apel krokodyla niemieckiego, przelewającego łzy z powodu ofiar wśród ludności cywilnej osi i burzenia jej pamiątek historycznych spotkał się z należyłą odprawą. Kto sieje wiatr, zbiera burzę. Niemcy bombardowane będą aż do skutku, aż do ich bezwarunkowej kapitulacji. Okrutna mechanika i ekonomia wojny współczesnej nie wskazują innego wyjścia.

Niemiecka „*biologia rasowa*“ wiąże się ściśle z ich „*geopolityką*“. Strzeżmy się tego słowa tak modnego w ostatnich latach, tej pseudo-nauki, rozwiniętej przez Niemców z cudzego pomysłu i sformułowania o zupełnie innych intencjach, na którym oparli oni swoją „dynamikę“ i swoje prawo do „przestrzeni życiowej“. Sfałszowali te cudze idee i doprowadzili do krwawego absurdu tak samo, jak filologiczne tezy słynnego sanskrytologa profesora Max Mullera z Oxfordu o aryjskim rodowodzie języków europejskich. W swoim czasie już w r. 1888 profesor Max Muller zdemaskował nadużywanie swych odkryć przez pseudo-naukowców niemieckich na usługach Bismarcka, pisząc: „Gdy mówię o Ariach, nie mam na myśli krwi, ani kości, włosów ani czaszki, lecz jedynie tych, którzy używają języka pochodzenia aryjskiego. Nie chodzi mnie o żadne charakterystyki anatomiczne. Niebieskoocy i jasnowłosi Skandynawowie mogli być zdobywcami lub ujarzmionymi. Mogli przejąć język śniadych zwycięzców lub odwrotnie. Dla mnie etnolog, mówiący o rasie aryjskiej, wypełnia taki sam absurd, jak lingwista, mówiący o krótkogłowym słowniku i długogłowej gramatyce“.

Sir Halford Mac Kinder, który w r. 1904 sformułował zasadniczą koncepcję geopolityczną w odniesieniu do wielkiej eurazjatyckiej przestrzeni centralnej, już dawno nie żyje i nie może demaskować prof. Haushofera, teoretyka niemieckiego „Lebensraum’u“. Czyni to w doskonałym artykule p.t. „*Geopolitics: Law of the Jungle*“, przedrukowanym przez „Tribune“ z miesięcznika „Asia“ znakomity pisarz i filozof chiński Lin Yutang, polemizując z amerykańskimi geopolitykami. Ta herezja antyhumanitarna szerzy się i jest bardzo zaraźliwa.

„Wobec tego że ta nauka — pisze on — znajduje jedyne praktyczne zastosowanie w walce państw o „przestrzeń życiową“, w wojnie o panowanie nad światem, nie jest ona niewinną nauką o stosunku organizmów państwowych do ich terenu, lecz z konieczności nauką o „Blut und Boden“. Nie znaczy to, że geopolitycy sami troszczą się o krew ludzką. Leży to poza obreębem ich „ściślej wiedzy“. Ale gdy słyszę ich rozmowy o „ziemi“ o tej „wyspie świata“, widzę ją *zaróżowioną od krwi*. Jedynym aspektem naukowym geopolityki jest gromadzenie danych statystycznych, jej ściśle biologiczne ujęcie politycznego organizmu państwa, jako drzewa wrosniętego w glebę i usychającego z powodu jej braku — ta olimpijska obojętność i bezbożna pogarda dla moralnych wartości, którą nazywamy absolutnym „obiektywizmem“ naukowym. Ludność może być przesadzana, jak *marchewki*, nasza kula ziemska może być badana i krajana dla chciwych ekspansji państw, jak *melon*. Czy bomby zabiją przy tym pewną ilość dzieci, czy milion ludzi zginie w tym procesie, mało to wzrusza tych „przekrawaczy“ świata. To właśnie oderwanie się od wartości ludzkich, ta mechaniczna koncepcja sił, *ten naturalistyczny pogląd na świat człowieka, jak na dżunglę, nadaje geopolityce jej charakter „naukowy“*...

„Geopolitycy nazywają siebie *realistami*, co oznacza, że nie mają cierpliwości do ideałów. Wielu naszych intelektualistów należy do tego cynicznego pokolenia. Ludzi Monachium i innych „uspakających“ również uważano za realistów. A ci, co mówią o wolności Indyj, są wydrwiani. Ci, co mówią o zupełnym zerwaniu z „power politics“ są ośmieszani. Ci, co śmiać wierzyć, że współpraca pomiędzy zachodnimi demokracjami a Rosją jest możliwa, są wyszydzeni. Natomiast ci, co wskazują światu krwawą drogę antagonizmów narodowych i „balance of power“ mieniają się *realistami*...“

Lin Yutang wskazuje na słynną mapę prof. Rennera, jako na typowy przykład „geopolitycznego“ krajania. „Cała bieda z owym naturalizmem“ — podkreśla on — „polega na tym, że za dużo rzeczy stało się dla niego „naturalnymi“. Prawo dżungli jest już naturalne dla niektórych umysłów akademickich. Zabijanie ludzi robi się „naukowo“ naturalne.

Bombardowanie dzieci w szkołach jest również naturalne. Dostyc mamy tego naturalizmu“.

Przycoczyłem dłuższe ustępy artykułu tego Azjaty, który jest płomiennym aktem oskarżenia pod adresem nowej herezji t. zw. zachodniej cywilizacji. Czy znowu sążone jest, by oświecił nas „*Lux ex Oriente*“, tym razem z Dalekiego Wschodu?

Ludzie, którzy wciąż operują jeszcze pojęciem Europy, jako wartości moralnej i wspólnoty cywilizacyjnej, dość bezceremonialnie obchodzą się z historią naszego kontynentu. Jaka Europa? Gdzie jest jej jedność po rozkładzie chrześcijaństwa średniowiecznego i powstaniu państw narodowych? Okres kilkuset lat ostatnich, którym się tak szczycimy, był nieprzerwanym łańcuchem wojen i wzajemnego wyrzynania się. Warto tu przypomnieć, że ostatnim aktem solidarności europejskiej była wspólna ekspedycja karna mocarstw na apel cesarza Wilhelma przeciw „żółtemu niebezpieczeństwu“ — pod wodzą feldmarszałka niemieckiego hr. Waldersee, celem stłumienia ruchu narodowego Chin, t.zw. „powstania bokserów“, która zakończyła się niezbyt sławnie, bo przy tej okazji splądrowane zostały świątynie chińskie.

* * *

Trzeba odróżniać błędy i winę subiektywną poszczególnych mężów stanu od błędów owej polityki „równowagi sił“, owego mechanistycznego poglądu na stosunki międzynarodowe, odnoszącego się z większą lub mniejszą obojętnością do procesów społecznych i ideowych, do tego, co w rezultacie jest czynnikiem najbardziej decydującym. Z błędów tych zrodziła się fatalna doktryna nieinterwencji, która miała zabezpieczyć świat przeciw „*bellum omnium contra omnium*“, a doprowadziła już dwa razy do wojny światowej. Są systemy o których można powiedzieć, że jeśli nawet nie robi się w nich rzeczy złych umyślnie, nie można działać na dłuższą metę nic dobrego nawet przez pomyłkę. Tłumaczy to najlepiej nieudane próby utrzymania pokoju przed ostatnią i obecną wojną.

W perspektywie czasu dużo spraw nabiera większej jasności i wyrazistości. Stawiałem moje pierwsze kroki, jako korespondent zagraniczny, na kongresie pokojowym w Genewie, w r. 1912. Wiele mówiono już wówczas o zbliżeniu narodów, wyklinano wojnę z nieminiejszą elokwencją, niż dzisiaj, uchwalano rezolucje, apelowano do rządów i opinii publicznej świata w imię wzniosłych zasad cywilizowanej ludzkości. Nie zapomniano o rozbrojeniu fizycznym i moralnym, ani o uciskanych mniejszościach. Idylla była wzruszająca. Na pożegnalnym bankiecie kongresu Niemcy ściskali serdecznie Francuzów, Turcy Włochów, Bułgarzy Turków i t.d. Pamiętam, że, gdy na odbywającym się jednocześnie zjeździe Unii Międzyparlamentarnej socjalista belgijski Camille Huysmans (ten śmiały i szlachetny leader socjalizmu międzynarodowego znajduje się obecnie w Londynie) wystąpił w obronie Polski, nie wywołało to protestu ze strony delegatów państw rozbiorowych. Krążyły pogłoski, że Niemcy znaleźli kompromis z Francuzami, regulujący wszystkie sporne sprawy. Wierzono, że zbliża się nowa era. Socjalizm stał wówczas u szczytu swego prestiżu moralnego. Masy szły za nim. Demokrację uważano za synonim pokoju, a socjaldemokrację niemiecką za piorunochron przeciw gromom pruskiego militarysty. W owym czasie Wilsonowi nie śniła się jeszcze Liga Narodów, Mussolini był czerwonym wywrotowcem, Lenin agitował na wygnaniu, a Hitler malował pokoje we Wiedniu. Pierwsza wojna światowa przerwała tę sielankę.

W latach późniejszych często przyjeżdżałem do Genewy. Poznałem blaski (jakżeż przelotne!) i nędze Ligi Narodów. Nie był to już prywatny pacyfizm przedwojennych dyletantów, naiwny, rozmarzony, nieodpowiedzialny. Przedstawiciele kilkudziesięciu państw zaczęli kłaść podwaliny nowego porządku rzeczy przy pomocy najlepszych ekspertów prawniczych,

finansowych, gospodarczych i t.d. Powstała wielka organizacja, której zadaniem było utrwalenie pokoju na ziemi. Miliony ludzi wzdychały ku niej, wypatrując stamtąd zbawienia.

Dalszy ciąg jest zbyt świeży w pamięci naszej, by go przypominać. Entuzjazm trwał krótko. Złudzenia przysły, a pomieszaniu języków tej nowożytniej Wieży Babel nie byli w stanie zapobiec najlepsi tłumacze. Nigdy jeszcze rzeczywistość nie zadrwiła bardziej z wysiłków ludzkich. Wypadki waliły obuchem w porcelanowe serwisy genewskie. Liga zawiodła na całej linii. Zamiast instrumentu pokoju stała się z biegiem lat czarną giełdą starej, potępianej dyplomacji. Czy była to wina Ligi, jako instytucji? *Tylko głupcy mogli tak sądzić i tylko głupcy mogli cieszyć się z jej niepowodzeń.* Najdoskonalszy pakt, najkategoryczniej zawarowane sankcje nie zdołałyby dodać Lidze ani zdźbła więcej znaczenia. Zbankrutowała nie Liga, lecz polityka mocarstw, których była ona mniej lub więcej wyraźną ekspozyturą. Zbankrutował system, niezdolny do rozwiązania wielkich problemów światowych, system, który nie usuwał krzywd społecznych i antagonizmów narodowych.

Briand, Sir Austin Chamberlain, lord Cecil, Henderson i wielu innych niewątpliwie ożywionych było najlepszą wolą, lecz czyż jednostki — nie dyktatorzy — mogły coś zdziałać wobec piętrzących się coraz wyżej przeszkód? Zło tkwiło gdzie indziej: w krótkowzroczności rządów i opinii publicznej, w egoizmach wielkomocarstwowych, w tolerancji dla faszyzmu i hitleryzmu, w niezdawaniu sobie sprawy z groźących niebezpieczeństw. Pod koniec menderzy Ligi przypominali już starożytnych augurów, którzy sami przestali wierzyć w swe praktyki, lub jeszcze gorzej owe zabawne postaci w antraktach cyrkowych, zaferowane, biegające dokoła z poważnymi minami, gdy służba uprzęta scenę... Wszystko odbywało się poza Ligą.

W moich genewskich notatkach z r. 1934 znajduję następującą impresję: „Przed dwudziestu dwoma laty mówiono tu to samo co dzisiaj, z tą różnicą, że na ówczesnym bezpretensjonalnym kongresie pokojowym było więcej wiary i szczerości. I tak samo błyszczy w słońcu Mont Blanc, jak gdyby śmiejąc się mroźnym śmiechem swych lodowców z bezradności i niemocy ludzkiej w rozwiązaniu tak prostego, zdawałoby się problemu: by ludzie cywilizowani, którzy nie mają do siebie najmieszkiej pretensji, przynajmniej nie mordowali się wzajemnie!“

* * *

Dzisiaj znowu mówimy i piszemy o tych samych sprawach w zmienionych warunkach. Wojna obecna jest bez porównania głębszym wstrząsem moralnym, niż ostatnia. Dzieją się rzeczy niesłychane w swej potworności. Ludzie rozumieją nareszcie, że trzecia wojna światowa naprawdę już grozi zagładą całej cywilizacji. A mimo wszystko wielu wciąż jeszcze ma oczy z tyłu i patrzy wstecz, pod balastem skostniałych tradycji, hasel, frazesów i słów, które straciły swą treść.

Przypomina się bardzo pouczająca anegdotka. Pewnego razu car Aleksander II, spacerując po parku, zauważył żołnierza, stojącego na warcie przy kępcie chwastów. Zapytany, po co tu stoi, żołnierz odpowiedział, że taki był rozkaz kapitana. Car wezwał kapitana, który zareportował, że według przepisu żołnierz musi pełnić wartę na tym miejscu i że nie jest mu wiadome dlaczego. Zaciekawiony car zarządził śledztwo, lecz nikt z żyjących dworzan nie pamiętał czasów, kiedy nie było tam wartownika i nikt nie wiedział, po co właściwie on się tam znajduje. Wreszcie po długich poszukiwaniach w archiwach tajemnica się wyjaśniła. Przed stu laty caryca Katarzyna II zasadziła tam krzak róży i postawiła żołnierza, by go nie zdeptano. Dawno zginął ślad po tym krzaku, ale nikomu nie przyszło na myśl, by rozkaz carycy odwołać. I tak przez sto

lat puste miejsce, gdzie niegdyś kwitły róże, strzeżone było przez ludzi, którzy nie wiedzieli, po co tam stoją.

Wielu dozorców strzeże dzisiaj idei dawno przeżytych. Istnieje bliskie pokrewieństwo pomiędzy owym poczciwym urzędnikiem biura patentowego, co nie wierzył w nowe wynalazki, i strażnikami rzeczy minionych, które blakają się jeszcze po głowach ludzi, nie chcących się z tym faktem pogodzić.

WACŁAW SOLSKI

REKOPIS, ZNALEZIONY POD DYWANEM

OPOWIADANIE

1.

Przyjaciół moich lat dziecińczych, niejaki Dr. M., opuścił kraj w roku 1906. Różnie rzucały nim koleje losu, aż się wreszcie osiedlił w Ameryce, gdzie mieszka po dzień dzisiejszy. Przypominam sobie jego przyjazd do Warszawy kiedy był już człowiekiem dorosłym. Wyjechał pod koniec wakacji będąc uczniem klasy czwartej, a teraz oto wrócił nieco otyły pan, którego pewnie nie poznałbym na ulicy. Wszystko było w nim obce, nawet głos, i nie wiedzieliśmy obaj, jak zacząć rozmowę. Dopiero nazajutrz odnaleźliśmy dawny stosunek, łączący nas od dzieciństwa, ale nie był on pozbawiony sztuczności. Rozmowa z Jankiem sprawiała dziwne wrażenie. Gdy odwracałem głowę, widziałem dawnego Janka w mundurze szkolnym, i nawet mi się wydawało, że udaje tłustego pana i umyślnie, jakby dla kawału, zmienia głos. Powiedziałem mu to, ale Janek nie zrozumiał. I kiedy po kilku tygodniach wyjechał, nie mogłem odtworzyć sobie w pamięci ani nowego wyglądu mego przyjaciela, ani jego głosu. Widziałem wciąż, i teraz jeszcze widzę, tylko Janka z dawnych sztabackich czasów. Takim już pewnie pozostanie dla mnie na zawsze.

I kiedy dzisiaj myślę o Warszawie, widzę starą, dawną Warszawę, nie tę którą opuściłem na początku wojny. Często trudno mi przypomnieć sobie wygląd ulic i domów z roku 1938 czy 1939, ale doskonale pamiętam blaski czerwonego słońca w odbiciu szczytowych okien u zbiegu Królewskiej i Marszałkowskiej. Było to w roku 1910. Blaski przybierały powoli kolor miedzi, potem jasnego i płynnego złota. Byłem pełen myśli, zamierzeń i czułości. O, jakże dobrze pamiętam ten stan, kiedy nadmiar uczuć rozsadzał czaszkę. Pamiętam wazki, unoszące się nad nasturcjami w wazkach zielonych skrzynkach na balkonie, i zapach gwoździków, pełen obietnic, jasnej mocy i szkarłatnej trwogi. Zapach lewkonii budził nieuchwytnie porwy, niepokojące ciepło i przedsmak wspomnień, których jeszcze nie było. Rezedą oblewała mnie akordami cichnącej melodii. Z zamierających odgłosów wykwitał nowy dźwięk, jeden tylko ton, kryształowy, wijący się ku niebu, pulsujący w powietrzu jak miliony różnokolorowych muszek.

Każdy z tych zapachów był mi wówczas bliski, należał niepodzielnie do mnie, był niejako częścią mnie samego. Kwiaty otulały mnie swymi zapachami jak przyjaciela lub brata. Dlaczego zapachy kwiatów nie wywoływały po latach żadnych wzruszeń, a tylko reminiscencje dawnych czasów? Dlaczego patrzę teraz na kwiaty obiektywnie, z boku, jak obcy widz? I przecież nie tylko na kwiaty. . .

Często zadaję sobie to pytanie. Samotność doskwiera mi ostatnio coraz bardziej. Prowadzę długie rozmowy z dalekimi ludźmi. Nie wiem czy żyją i nie wiem jacy są teraz. I coraz częściej odtwarzam w pamięci pewną noc, kiedy słyszałem wyraźnie szelest papieru, przesuwanego pod-

muchem wiatru po bruku ulicy. Przypominam sobie dawne lata, nieraz mozolnie odbudowuję kilkumiesięczne okresy przeszłości, starając się uprzytomić sobie związki i przyczyny wydarzeń, powtarzam nawet w myślach wypowiedziane wówczas słowa, jakbym zdawał komuś relację ze swego życia.

— Jest to tylko dowodem, że się starzejesz, — powiedział mi niedawno Wierzbicki. — Komórki mózgowie sztywnieją i nie przyjmują nowych wrażeń, a natomiast chętnie przeżywają stare.

Być może że Wierzbicki ma rację. Myśl powraca do okresu młodości dopiero wtedy kiedy ma się już życie poza sobą. Istnieją widocznie niezbadane prawa natury ludzkiej, które spajają początek z końcem. One to sprawiają że starzy ludzie wracają do rodzinnych miast, kiedy czują że się zbliża śmierć.

W domu naprzeciwko pracująca przy biurku dziewczyna rzuciła do szuflady papiery i zamknęła maszynę do pisania. Teraz się pudruje, za chwilę pobiegnie pędem przez ulicę. Szósta. Dziewczyna zawsze wybiega pędem z biura. Ktoś na nią czeka. Mieszka pewnie w małym domku z prostokątnym trawnikiem zamiast podwórka. Prawdziwy Londyn, który się poznaje dopiero po dłuższym pobycie, jest miastem jednopiętrowych domków i cichych bezludnych ulic. My, ludzie z Polski, błądzimy po londyńskich drogach jak przybysze z innego świata. Zielone prostokąty nie uderzają w żadne struny, nie wywołują skojarzeń dawnych przeżyć, są dalekie, sztywne i cudze, chociaż wolno nam po nich deptać. A nasze rozmowy z Anglikami przypominają papierowe łódeczki, którymi bawiły się dzieci w paryskim Ogrodzie Luksemburskim. Lekkie okręciki sunęły po powierzchni wody, ściśniętej ramą okrągłego basenu. Obijały się o kamienne brzegi i wywracał je byle podmuch wiatru.

A rozmowy z rodakami? Są trudne i z dnia na dzień stają się trudniejsze. Zastanawiałem się kiedyś nad pytaniem, co jest temu przyczyną. Może wyczerpaliśmy już wszystkie tematy? Bo przecież spotykamy się tutaj z tymi samymi ludźmi, których widywaliśmy w Warszawie. Lata wojny, pożar świata i nasze przeżycia nie zbliżyły nas do innych ludzi. My, którzy mieliśmy władzę w kraju, tworzymy po dawnemu odrębną grupę, którą łączą wspomnienia minionych lat. I jakiś chorobliwy egocentryzm nie pozwala nam mówić o rzeczach zwykłych, ciekawych i głębokich. Kiedy się spotykamy, każdy z nas przypomina aktora, czekającego niecierpliwie za kulisami na słowo, po którym będzie mógł wejść na scenę. I gdy wreszcie pada owe słowo, wyrwywamy je sobie wzajemnie jak wróble, którym rzucono okruszyny chleba. „W roku 1918, gdy rozbrajano Niemców...“ „Kiedy przyjechałem do Bukaresztu...“ „W Angers...“ Podnieceni, jakby kto uderzył w gong, rozpoczynamy niekończące się opowieści, czasami prawdziwe, czasem zmyślane. Mówimy o sobie, wyłącznie o sobie, i często zdajemy sobie sprawę, że słuchacze znają już niemal na pamięć naszą historyjkę. Ale nie możemy się powstrzymać, bowiem jakąś dziwną, bolesną przyjemność sprawia nam sam proces mówienia.

Podobne zjawisko zauważyć można w literaturze. Nasza literatura emigracyjna ma jeden tylko temat. Prawie wszystkie napisane od czasu wojny utwory możnaby zamieścić w zbiorowej książce pod tytułem „Jak uciekałem“. Jeszcze jeden objaw egocentryzmu. Autorzy tych utworów są widocznie przekonani, że ich osobiste przeżycia zastąpić mogą prawdziwą twórczość.

A przecież są wśród nas i tacy, którzy i teraz rządzą ludźmi. Jednak i oni żyją przeszłością, a raczej jej fragmentami, drobnymi wydarzeniami osobistymi, które dźwięczą dzisiaj żałośnie, jak nieruchome dzwony, uderzane z zewnątrz papierową pałeczką.

A może dzieje się tak dlatego, że bezwiednie czujemy, że w środku tych dzwonów nic już nie ma?

— To nie wojna pozbawiła nas wewnętrznej siły, — powiedziałem kiedyś do Wierzbickiego. — Straciliśmy ją już przedtem, tylko nie mieliśmy czasu o tym myśleć.

Ale Wierzbicki zarzucił mi że patrzę na świat zbyt pesymistycznie:

— Własny punkt widzenia przesłania często istotny stan rzeczy. W pewnym wieku życie staje się coraz bardziej uciążliwe. Każdy rok jest trudniejszy. Starość, mon ami, starość!

Nic mu nie odpowiedziałem. Razi mnie, gdy wtrąca do rozmowy francuskie słowa. Wykrzywia wówczas usta w jakiś specjalnie nieprzyjemny sposób, jakby sobie oparzył wargi. Znam dobrze ten jego wyraz twarzy, znam i inne, kiedy przymyka oczy, czując że niezręcznym słowem zdradził przede mną ukrytą myśl. Bo przecież w każdej chwili rozmowy myślimy o tym samym. I kiedy to wychodzi na jaw, oczy Wierzbickiego przybierają wyraz marzący, ale też nieco tryumfujący i zły.

Myślimy, ale nie mówimy. Raz tylko, kładąc wieczorem palto, Wierzbicki rzekł bez żadnego wstępu i powodu:

— Chyba jeszcze zdążę na ostatnie *métro*. Janka mówiła mi kiedyś, że jej ojciec pięknie grał na skrzypcach, ale zupełnie nie znał nut. No bywaj, stary.

I potem, już nie patrząc na mnie, Wierzbicki wyszedł na schody.

2.

Na pewno powiedział to umyślnie. Chciał się zemścić za szorstkość z jaką wypowiadałem tego wieczoru moje poglądy. Nie były to zresztą poglądy, — raczej takie sobie zdańka na temat emigracji i lat, które minęły. Trudno to napisać, ale poglądów już od dawna nie posiadam. I coraz częściej mi się wydaje że nikt i nigdy nie ma zupełnej racji, a już najwięcej ma ten kto wierzy w to co mówi.

Owego wieczoru rozmawialiśmy o języku i jego rozwoju podczas lat niepodległości. Mój wrogi stosunek do Wierzbickiego sprawia, że wygłaszam zbyt kategoryczne sądy, spodziewając się protestu z jego strony, dążąc do sporu, do kłótni.

— Język polski w ciągu tych dwudziestu lat, — mówiłem, — zupełnie się nie rozwinął. Nowe słowa? Nic mi o nich nie wiadomo. Natomiast bywalcy barów przy ulicy Marszałkowskiej i chroniczni lokatorzy pokoi umebłowanych przy rodzinach potrafili zbrudzić ładne i polskie słowo dziewczynka. Oznacza ono obecnie mniej lub więcej zawodową prostytutkę, chociaż między prostytutką a dziewczynką nie ma nic wspólnego. Lub weźmy słowo znaczek. Dawniej mówiło się marka. Obecnie słowo? Być może. Ale znaczek jest słowem zdrobniałym, a używanie słów zdrobniałych jest cechą mieszczan i łyków. Poduszczecka, szczoteczka, nocniczek. . . Nie mówię już o tym, że znaczek jest przecież małym znakiem, tak samo jak łyżeczka małą łyżką. Przed dwudziestu laty mówiło się palto, za czasów niepodległości zastąpiono palto płaszczem. Dźwięk tego słowa przypomina biegnącego szczura.

Wierzbicki, który nerwowo boi się szczurów i brzydzi się nimi, drgnął.

— No tak, — dodałem. — PŁASZCZ — to przecież szczur, który przebiegł przez środek izby i znikł za skrzynią koło drzwi.

I zacząłem się śmiać. Wierzbicki spojrzał na mnie ponuro i rzekł:

— Radziłbym ci iść do lekarza. Twoje porównania są ostatnio wyraźnie chorobliwe, a ciągle gderanie pochodzi zapewne z wątroby.

— Nie sądzę, — mówiłem, upierając się przy swoim i dręcząc Wierzbickiego słowem *szczur*. — Widzę wyraźnie tłustego szczura z długim, wijącym się jak glista ogonem. . .

— Nie chodzi o szczura, — powiedział Wierzbicki drżąc ze złości i nie

spuszczając ze mnie wzroku. — Mówię o twoim gderaniu. Kiedy mówisz o okresie niepodległości nic ci się nie podoba. Jakby za czasów niewoli było lepiej.

— Ludzie byli lepsi.

— Nie, tacy sami. Żli i dobrzy. Różni. Byli łajdacy, karierowicze, cwaniacy i kanciarze, ale byli także ofiarni, prości ludzie, na których trzymała się Polska. Oni jedynie są ważni. Prawdziwi Polacy i prawdziwi ludzie — *des vrais*.

— Przepraszam cię, ale nie wiesz co oznacza wyrażenie *des vrais*, chociaż niby to tak dobrze znasz francuski. Dialekt paryski określa tym słowem zawodowego złoczyńcę, a jeszcze częściej alfonsa. „C'est un vrais“ znaczy poprostu prawdziwy bandyta.

— Nie przyczepiaj się do słów. Za moich paryskich czasów wyrażenie to miało inne znaczenie. Chodzi mi o prostych ludzi, na których trzymała się Polska. Co o nich powiesz?

— Nic, — odrzekłem. — Straciłem kontakt z nimi. — Adria i samochód z państwowym szoferem przesłoniły mi ich twarze.

Wierzbicki zmienił temat rozmowy. A później, wychodząc, żeby się zemścić. . .

* * *

Wyrwałem kilka kartek. Uciekałem znowu od samego siebie, siłąc się na mórady, pisząc banalne zdania o przyszłej Polsce. A przecież myśl o Jance wraca i nie mogę jej stłumić.

3.

Janka miała czarne warkocze. Końce warkoczy leżały na jej kolanach. Włosy nad czołem unosił wiatr, Janka uśmiechała się do wiatru, przytrzymując je ręką.

Było to w lecie. Zobaczyłem ją z daleka, kiedy skręciłem w białą ścieżkę, wiodącą do mego domku. Siedziała na stopniach ganku, patrząc na mnie z uśmiechem.

Nie wstała kiedy się zbliżyłem. Wiatr już wówczas ustał. Janka przerzuciła warkocze na plecy i zapytała:

— Pan tu mieszka?

— Tak jest. Pani do mnie?

— Do pana. Przyszłam żeby się z panem zapoznać. No więc muszę się najpierw przedstawić.

Wstała i poważnie wyciągnęła rękę. Znałem ją z widzenia. Wiedziałem że w Druskienikach leczy się jej matka cierpiąca na płuca, a ojciec niedawno umarł gdzieś w Rosji.

— Koleżanka tu na długo?

— Na wakacje. Bo wie pan, my jesteśmy z Wilna, więc to niedaleko. I mamie kazał doktor, więc wobec tego. . . Jabyam chciała poważnie z panem porozmawiać. Można?

— A o czym, panno Janino?

— Nie, nie, tylko nie Janina. Strasznie nie lubię. Do mnie wszyscy mówią Janka. Niech mi pan mówi Janka, i może mi pan nawet mówić ty. Bo ja mam dla pana bardzo wielki szacunek i tak sobie postanowiłam.

Na te słowa można było reagować rozmaicie. Mogłem udawać, że nie wiem z jakiego tytułu należy mi się szacunek. Wywiązałyby się wówczas rozmowa o moich pseudo-bohaterskich wyczynach. Można też było postąpić bardziej szlachetnie, wykazując zaraz przy pierwszej znajomości wielce dodatnią cechę charakteru: skromność. Wybrałem to drugie. Nie zapytałem skąd o mnie wie i co wie. Tylko po prostu przyjąłem propozycję, po czym poszliśmy do parku.

Wyczyny moje polegały na tym, że bezpośrednio przed przyjazdem do Druskienik siedziałem w więzieniu. Zaaresztowano mnie pewnego

wieczoru na Wilczej. Szpicel w gumowym palcie długo oglądał moje zeszyty szkolne, książki na półce nad łóżkiem i papiery w szufladzie. Potem podniósł niebieską bibułę, która przykrywała stół i przypatrywał się z uśmiechem wyrżniętym szczyrykiem „mogiłom“. Składałem na tym symbolicznym cmentarzu zarówno ludzi żyjących, jak i pojęcia oderwane. Każdą mogiłę zdobił stosowny napis. A więc leżała tam „Przyjaźń“, pochowana w dniu kiedy Władek K., upatrzony przeze mnie na jedynego prawdziwego przyjaciela, podle mnie zdradził. Był grób profesora Wielosaskiego, cieszącego się doskonałym zdrowiem (za to że mi stawiał dwójki z przyzwyczajenia, nie chcąc wierzyć, że się nauczyłem geometrii). Leżały też obok siebie, niejako we wspólnym grobowcu, Wiara (w dużej mogile), Nadzieja (w nieco mniejszej), i Miłość (w malutkiej i niewiadomo czemu okrągłej). Miłość pochowana została na skutek zachowania się panny Heleny G., a Wiara i Nadzieja dostały się do grobu właściwie a priori, bez specjalnych powodów. W dniu kiedy szpicel oderwał pluskiewki i podjął bibułę, cmentarz był już zresztą od dawna nieczynny.

Szpicel dziwnym wędchem zrozumiał o co chodzi i ironicznie zapytał czemu nie pochowałem na cmentarzu polityki. Na pytanie odpowiedział Ojciec, zwracając się do niego po rosyjsku, chociaż pan w palcie biegle władał językiem polskim:

— Mój syn może wycinać na stole co mu się podoba. A jak czego nie wyciął to też jego sprawa.

— *Konieczno, konieczno...* To się nie zabrania. Wyrzynać na stole *możno*, tylko po co pana syn polityką się trudni... Młody jeszcze, zbyt młody... A to co takiego?

I znalazł. Schowałem ów dokument między tylną ścianką szuflady i deską stołu. Pan w gumowym palcie wyciągnął zmiętoszony papier na świat Boży i odczytał na głos tytuł:

— List do kolegów naszego gimnazjum o wielkim święcie robotników w dniu pierwszym maja.

Dalszy ciąg szpicel czytał już przez telefon jakiejś swojej władzy, tłumacząc odrazu na rosyjski. Przy szpiclu stał żandarm o szerokiej, z lekka ospowatej twarzy. Trzymał w ręku czapkę i w regularnych odstępach czasu przestępował z nogi na nogę.

Potem szpicel wrócił jeszcze do mojego pokoju, ale tylko po to, by dokładnie obejrzeć skrytkę za szufladą. Odetchnąłem z ulgą. Od chwili gdy począł szperać w moich papierach trafiła mnie myśl, że spostrzeże pewną plamę na ścianie. Była to dziura, zamazana gipsem. Pokój mój sąsiadował z pokojem służącej Agnieszki.

Szpicel niewątpliwie zauważył plamę. Kilka razy wzrok jego zatrzymał się na niej. Ale widocznie nie chciał mi robić wstydu.

Wkrótce jechaliśmy na Pawiak dorozką, żandarm na małym siedzeniu, a ja ze szpiclem na głównym. Niedaleko Pawiaka szpicel zapytał:

— Czy to pan pisał ten list, czy może jaki kolega?

— Ja sam.

— Tak tak... Bo pisane pańskim charakterem pisma, ale myślałem, że może pan to sobie przepisał dla pamięci...

Żandarm nic nie mówił tylko patrzył na mnie ze zdziwieniem, poprawiając się na siedzeniu w regularnych odstępach czasu.

4.

Opowiedziałem Jance to wszystko dopiero po kilku dniach. Leżeliśmy na trawie w zagajniku nad rzeką. Ktoś nam powiedział, że chowają się tam pod krzakami zajęce, ale zajęcy nie było.

Janka słuchała w skupieniu, tylko z rzadka podnosząc oczy. W owym czasie nigdy nie patrzyła na mnie podczas rozmowy. W jakiejś chwili

zobaczyłem biały pasek ciała nad jej pończochą. Janka wyczuła widać moje spojrzenie, bo się zaczerwieniła i zaraz potem wstała.

— Muszę już iść. Obiecałam mamie, że niedługo wrócę... Niech mnie pan odprowadzi i jeszcze opowie.

— Już nic nie zostało do opowiadania. Wszystko wiesz.

— Nie, nie, nie wszystko. Dopiero trochę, bardzo mało. Niech pan opowie o czym pan myślał, kiedy pana zamknęli w celi.

— Zaraz. Miałś mi mówić ty.

— No to opowiedz. O czym wtedy myślałeś?

— Byłem z siebie bardzo dumny. Szalenie dumny. Powiedziałem sobie, że to przecież naprawdę, na serio, i zupełnie jak w książkach. Zgrzytnęła zasówka, później strażnik zamknął drzwi na klucz i odszedł. Słyszałem jego ciężkie kroki na korytarzu. Trudno mi opowiedzieć ci to uczucie, ale byłem bardzo szczęśliwy.

— Jabyłm pewnie strasznie płakała. I bała się o mamę. Bo mama bardzo rozpaczała jak umarł Stefek i ciągle powtarza, że tylko ja jej zostałam, i gdyby mi się co złego stało, toby na pewno nie przeżyła tego ciosu. A przecież pan też jest jedynak i pana ojciec wcale się nie martwił?

— Pewnie się martwił, ale nadrabiał miną.

— To zupełnie jak Stefek. Stefek też był zawsze w dobrym humorze, tylko ogromnie dużo pił. Ja to doskonale pamiętam. A jak był pijany, mówił do siebie po rosyjsku albo po francusku. „Zasim czest imieju doložit“, czto wasza roża napominajet mnie podochłuju pticzku“.* Raz stanął sobie przed lustrem i ciągle powtarzał to zdanie, a mama płakała. Aż wreszcie poszedł spać i powiedział do mamy: „Bonne nuit, ma chère Demoiselle, c'était un grand plaisir de vous voir en bonne santé“. A kiedyś mnie zawołał do swojego gabinetu i powiedział: „Moja tragedia polega na tym, że kocham ludzkość lecz nienawidzę ludzi. A wiesz czym jest przeszłość? Latarnią, która się pali za naszymi plecami. Naprzód rzuca ona tylko cienie. Oba powiedzenia wymyślili Francuzi. Vive la République!“ Wie pan, to przecież był mój ojciec, a nie żaden brat. Tylko że się ze mną umówił raz na zawsze, żeby do niego mówić Stefek, i nawet w myślach też Stefek, i tak samo kiedy się modłę. Mój ojciec budował bardzo piękne mosty na Kaukazie i raz go nawet zaprosili do Holandii, bo nie mogli sami zbudować... Niech mi pan teraz odpowie na jedno pytanie, ale koniecznie prawdę. Kiedy mi pan opowiadał o rewizji, to pan powiedział, że szpieg jeszcze coś zobaczył w pokoju. I jakoś się pan wtedy przykro uśmiechnął, tak jakoś krzywo. Więc co to było?

Nie, tego powiedzieć Jance nie mogłem. Na tym tle wynikła między nami pierwsza kłótnia. Trudno to nawet nazwać kłótnią. Janka po prostu obraziła się na mnie, że nie chcę jej powierzyć sekretu i przez kilka dni jej nie widziałem. Ale pewnego popołudnia wpadło do mojego pokoju przez otwarte okno kilka związanych trawą bławatków i kąkoli. Kiedy wyjrzałem, Janka dała mi ręką znak, bym wyszedł. Uśmiech jej był niemal pokorny, a twarz zaczerwieniona.

Szliśmy jakiś czas w milczeniu. Wreszcie Janka powiedziała:

— Już mi pan może nie mówić co to wtedy było, bo się sama domyśliłam.

— Nie mogłaś się domyślić. Mówmy lepiej o czym innym.

— Ale kiedy ja się naprawdę domyśliłam. Jej *Bohu*. Chcesz, to ci zaraz powiem?

— Powiedz!

— Aha! A widzisz, teraz ci oczy błyszczą jak Marcelowi w nocy, kiedy siedzi na płocie. Nie wiesz, kto to Marcel? No przecież nasz kot! Iskry ci się sypią z oczu, boś taki ciekawy, czy się naprawdę domyśliłam

* „Pozatem mam honor zameldować, że twarz pana przypomina mi zdechłego ptaka“.

twojej tajemnicy. Bales się że szpieg znajdzie u ciebie taką książkę, — ot i już. Nieprawda?

— Taką książkę?

— No już nie udawaj. Zgadłam, zgadłam, zgadłam!

Janka pobiegła pędem do lasu, wymachując rękoma. Szedłem za nią powoli. Szumiało mi w głowie, czulem dziwną lekkość i strach. Przeleciał mi przed oczyma ogromny bąk. Metalowy turkot jego skrzydeł zabrzmiał jak ostrzeżenie i za chwilę rozpląnął się w lesie.

Janka zapytała:

— Wstyd ci?

— Trochę wstyd. Niezupełnie zgadłaś, ale prawie. Widziałaś kiedy taką książkę?

— Mhm. Nawet czytałam. Miała zieloną okładkę z zabawnym rysunkiem...

Janka spojrzała na mnie przymrużonymi oczyma. Musiałem głupio wyglądać, bo naraz poczęła się śmiać. Na policzki jej znowu wysąpił rumieniec, ale śmiała się coraz głośniejsze, z całego serca.

Obrazilem się i wstałem. Janka leżała na wznak, owinawszy nogi sukienką. Nie spuszczała ze mnie wzroku. Widziałem że wchłania w siebie wyraz mojej twarzy, że ją to bawi, i nawet jakby potwierdza jej niewypowiedziane przypuszczenia: „Tak, właśnie tak. Teraz trochę skrzywisz usta, lekko przygryziesz wargę. A teraz ruch głową, na który czekałam“. I nagle poczułem, że Janke raduje jej przewaga nade mną, którą w tej właśnie chwili zdobyła. Jakimś swoim sposobem zerwała ze mnie toge więziennego bohaterstwa.

I Janka poczuła to pewnie jednocześnie ze mną. W głosie jej usłyszałem nowy, głębszy ton, zupełnie dorosły i poważny:

— No siadaj. Nic się nie stało. Już się z ciebie nie będę śmiała. Rzuć tę jagodę, zaraz rzuć! Nie bierz do ust! To są wilcze jagody i okropnie trujące. A widzisz, tego nie wiedziałeś! POCO czytasz świńskie książki? Czemu się na mnie złościsz? Nie czytałam przecież tej książki w zielonej okładce, tylko widziałam na wystawie w księgarni! A tyś zaraz uwierzył!

I spokojnie, ale bardzo stanowczo:

— Siadź koło mnie.

Usiadłem i zapytałem:

— Czemu mi nigdy nie mówisz po imieniu?

— Nie wiem. Nie marszcz czoła, Stachu, już ci nie będę dokuczała. Dawniej nie mogłam ci mówić po imieniu, bo byłeś za daleko. Jeszcze wczoraj nie mogłam. A teraz już mogę. Stachu, Stašku, Stašku... Kiedy o tobie myślę, mam dla ciebie inne imię, które sama sobie wynalazłam. Nawet dwa. Dawniej, kiedy cię jeszcze nie znałam, byłeś „Chłopcem z Łazienek“. Bo tak jakoś wyglądałeś. Wiesz, ja przecież nigdy nie byłam w Warszawie, ale doskonale sobie mogę wyobrazić Łazienki. Pewnie jest tam duży czarny staw, okrągły i głęboki, w którym odbijają się świerki. Śliczne panny w różowych sukniach chodzą po alejach, trzymając się za ręce. A aleje są okropnie długie, i cieniste, i zupełnie ciche. A później, kiedy się z tobą zapoznałam, zrobiłeś się... ale nie. Drugiego imienia nie mogę ci powiedzieć.

— Dlaczego?

— Bo się obrazisz. Bardzo chcesz żebym powiedziała?

— Bardzo chcę. I na pewno się nie obrażę. Pewnie jakieś śmieszne dziewczynskie imię?

— Nie, wcale nie dziewczynskie. Niebieski Stefek.

— A, no dobrze... Rozumiem...

Wyraz jej twarzy był poważny i skupiony, a oczy do połowy przymknięte. Kiedy poczuła że na nią ukradkiem patrzę, zamknęła oczy i

odgarnęła włosy z czoła. Był to ruch zakłopotania. Wiedziałem że się nie odezwie, póki się nie dowie, jak mi się podoba imię które mi nadała.

Nie podobało mi się to imię. Może dlatego że łączyło mnie w jej myślach z kim innym. Ale nic nie powiedziałem Jance. Korzystając z tego że mnie nie widzi, patrzałem do syta na jej rzęsy, włosy na czole i zupełnie różowe usta, — takie różowe jak owe panny w Łazienkach. Janka wysunęła dolną wargę, chcąc odegnać podmuchem świteziankę, krążącą nad jej czołem. I oto nagle spostrzegłem że rzęsy jej zwilgotniały. Zobaczyłem drobniutkie kryształki mieniające się w świetle jakiegoś promienia słońca, który się przedarł poprzez wierzchołki drzew. Wykrzesał z nich brylantowe ognie, fiołkowe, purpurowe i płonąco żółte.

Leżałem nieruchomo, bojąc się przerwać tę chwilę, rozsadzając serce wielką, największą ze wszystkich radości. I zaraz zjawiała się myśl że las, i kryształki, i moje ogromne szczęście za chwilę przeminą, nigdy nie powrócą, nigdy się nie powtórzą.

Wreszcie Janka przerwała milczenie. Otarła oczy środkiem dłoni i zapytała:

— Stašku. . . Czy to się zawsze tak zaczyna?

5.

Paryż późniejszych lat był dla mnie miastem rozsianych ran. Istniały domy i ulice, złączone w pamięci z utratą nadziei, z pożegnaniami na zawsze, z ogromnym milczeniem, dławiącym gardło. Porcelanowe figurki świętych w oknach sklepów na Placu St. Sulpice przypominały dzień odjazdu Janki. Błądziliśmy wówczas po ulicach, nie wiedząc o czym mówić. Trzymałem ją pod rękę, szliśmy prędkim krokiem, bez celu. Kiedy milczenie staowało się zbyt uciążliwe, Janka rzucała jakieś pytanie, — banalne pytanie o wiadomej odpowiedzi. Odpowiadałem uprzejmie, szczegółowo, poważnie. Później kupiłem jej na wybrzeżu Sekwany starożytny sztych, przedstawiający psa. „Bo przecież tak lubisz psy“. Janka zwinęła sztych w rulonik i schowała go do mufki. Była w owej chwili bardzo blada i drżały jej usta.

Rue Marbeuf. . . Place de la Madeleine. . . Boulevard Poissonière. . . Z tych ulic biło we mnie słowo „Nie, nie, nie. . .“ Widok ich wywoływał uczucie głodu. Tutaj spotkałem kiedyś starszego pana z pożółkłym kołnierzykiem na bardzo chudej szyi. Siedziałem obok niego na ławce. Nie wiem kiedy na mnie spojrzął i poznał co się święci, bo kiedy przemówił, patrzył przed siebie. „Niech pan je sól“, powiedział starszy pan. „Jaknajwięcej soli. I niech pan pije wodę. To pomaga“. Rzeczywiście pomogło. Sól tłumi głód.

I jeszcze jedna rana, najboleśniejsza, u zbiegu Bulwaru Raspail i Rue du Bac. Jest tam pomnik Chapp'a, wynalazcy telegrafu optycznego. Pod tym pomnikiem czekał na mnie Józef Dzięcioł. Jadłem wówczas obiady w mleczarni na Rue du Bac. Dzięcioł usunięty został z organizacji za roztrwonienie pieniędzy, należących do Partii. Kiedy szedłem do restauracji Dzięcioł wyciągnął głowę w moją stronę, zapytując oczami, czy może do mnie podejść. Nie chciałem udawać, że go nie widzę. Przeszedłem po prostu obok niego jakbym go nie znał. Dzięcioł wtulił głowę w ramiona. Kiedy po godzinie wracałem, Dzięcioł stał jeszcze pod pomnikiem i znowu zrobił ten sam pytający ruch głową. Znowu nie odpowiedziałem. Miał w oczach blask, który dobrze znałem. Blask głodu.

W tydzień potem Dzięcioł się zabił. „Joseph Dientiol“, pisały gazety, „un révolutionnaire russe. . .“

* * *

Tak. . . Późniejsze sprawy rozsiała po Paryżu trujące wspomnienia. Ale Paryż roku 1910 był moim przyjacielem, niemal osobą żyjącą, której ufałem. Nad Placem Zgody płynęły, niby dobre myśli, dziwnie lekkie

obłoki. Utkwił mi w pamięci pewien letni dzień, kiedy rozpalony asfalt na Bulwarze St. Michel wchłaniał w siebie ślady stóp. Przy wejściu do kawiarenki na rogu Rue des Écoles stanęła dziewczyna o nabrzmiałych wargach. W jej oczach iskrzyły się zielone płomyki, dziewczyna rozwarła usta w uśmiechu szczęścia. Otwierała szeroko drzwi każdemu kto wchodził i wychodził i kłaniała się nieznanym panom z wielce poważną miną. Właściciel kawiarni, przykrótki jegomość ze strzyżonym wąsem, rzucał jej gniewne spojrzenia, ale milczał. Koło dziewczyny oparł się o drzewo chłopak z dużą fajką w zębach. Widocznie jej chłopak. Patrzył na nią spokojnie, prawie bez uśmiechu, bardzo ciepło. W jakiejś chwili dziewczyna splonęła rumieńcem i zamaskowała go jeszcze szerszym uśmiechem. „Właśnie że bez powodu. Tak sobie stoję i otwieram wszystkim drzwi, bo mi jest dobrze“. Aż wreszcie poszła. Szedłem za nią i widziałem, że uśmiech jej odbija się w twarzach przechodniów, rozpręża skuczony rysy, tworzy prawdziwość wyrazu twarzy i oświetla twarz jak latarnia.

Czekałem na Jankę. Miała przyjechać za kilka dni, i oto idąc po ulicy układałem sobie pewien plan. Przyszedł mi do głowy ubiegłej nocy, kiedy po raz tysięczny przeżywałem zawczasu jej przyjazd.

Plan mój polegał na tym, że pokażę Jance Paryż nie od razu. Chciałem ją najpierw zawieźć kolejką podziemną wprost ze stacji w okolice Placu Miromesnil. Jest tam dzielnica handlowa, pozbawiona całkowicie paryskiego uroku. Szare, długie płyty i czerniałe ściany przypominają pewne smutne miasta naszego Zagłębia Dąbrowskiego. Zawiozę ją tam, myślałem sobie, i powiem: „To są Wielkie Bulwary. Znasz je pewnie z opowiadań Maupassanta“. Potem pojedziemy do parku na przedmieście St. Ouen. Jest to park tylko z nazwy, a właściwie duży skwer, gdzie nudzą się karłowate drzewka, zasadzone w dużej odległości jedno od drugiego. Bawią się tam dzieci i stoi kilka zakurzonych ławek. „Oro słynny Lasek Buloński“, powiem Jance. Na pewno będzie udawała, że jej się ów skwer bardzo podoba, żeby mi nie robić przykrości. I dopiero później zawiozę ją na Place de la Madeleine, przed Notre Dame, na Bulwar St. Michel, — i przyznam się, że ją nabierałem.

Plan mój nie udał się z całkiem głupiego i nieprzewidzianego powodu. Janka przyjechać miała o czwartej po południu. Byłem na dworcu już o wpół do czwartej. Stałem przy barierze, oddzielającej przyjeżdżające pociągi od dworca, widziałem wszystkich pasażerów, którzy przyjechali kurierem z Warszawy. Janki między nimi nie było. Nie wiedziałem co to znaczy, pytałem urzędników kolejowych, kiedy przyjdzie następny pociąg: dopiero o dziesiątej. Ale za godzinę miał przyjść osobowy z Brukseli. Począłem sprawdzać na wielkich tablicach, czy pociąg ten posiada połączenie z jakimś warszawskim pociągiem. Nie znam się na rozkładach jazdy, nigdy ich nie rozumiałem. Byłem zrozpaczony, chciałem już wracać do domu. Nagle ktoś z tyłu zakrył mi oczy rękoma. . .

Okazało się że Janka przyjechała do Paryża już o trzeciej. Pomyłka powstała z powodu różnicy w czasie między Paryżem i Warszawą. Janka jakoś źle to obliczyła i podała w liście mylną godzinę.

— I nie wiedziałam co mam robić, bo przecież nie umiem po francusku! Myślałam że umiem, a tymczasem tragarz nic nie rozumiał. Tłumaczyłam mu że przyjechałam za wcześnie, że muszę czekać na dworcu, a on się tylko uśmiechał i zaniósł walizkę do taksówki. . .

— No i gdzie byłaś?

— Jeździłam sobie po mieście. Szofer był sprytniejszy i jak mu powiedziałam „voir un peu Paris“, zaraz zrozumiał. Bardzo sympatyczny szofer, wszystko mi pokazywał. I tak sobie jeździłam. . .

Janka patrzyła na mnie badawczo i nagle się zaczerwieniła.

— Całą godzinę jeździłaś po Paryżu?

— Nie, nie! Najwyżej półgodziny! Przecież już cię tu szukam od półgodziny!

— Ale już wszystko widziałas. . .

Janka zarzuciła mi ręce na szyję i poczęła mnie całować:

— Nie, nie, nic nie widziałam! Nie krzyw się, nie wyprawiaj! No już, Stašku! Przecież nie mogłam się powstrzymać. Nic nie widziałam, zupełnie nic, bo to był jakiś głupi szofer, nic nie rozumiał i ciągle mnie woził dookoła. . . Tylko Wieżę Eifla widziałam, ale z daleka, dając ci słowo że z daleka. I było okropnie nieciekawie, bo padał deszcz. Może tu nie padał, ale tam padał. Możesz się zapytać kogo chcesz. A potem zaraz wróciłam i oddałam walizkę na przechowanie. Chodź już, chodź!

Poszliśmy pieszo w stronę Wielkich Bulwarów. Gdy się kogoś długo nie widziało, choćby to był najbliższy człowiek, trudno znaleźć odrazu zwyczajne słowa i wyzbyć się sztuczności. Wyrasta wówczas między ludźmi chropowaty parkan, taki, jaki się czasami widzi na łące z okna pociągu: parkan ze zszarzałych desek, który nagle zasłania kępę krzaków albo rozkołysanych kaczeńców, odbierając je oczom podróżnika. Byłam zły na siebie, że zadaję Jance banalne pytania: jaka jest w Warszawie pogoda, gdzie jadła po drodze obiad i kto ją odprowadzał na stację. Janka czuła moje zakłopotanie ale udawała, że rozmowa jest najzupełniej w porządku, i tylko dźwięk jej głosu był jakby niższy niż dawniej.

Usiedliśmy wreszcie na werandzie kawiarni. I tu nagle parkan znikł. Janka obaliła go jednym uśmiechem, zupełnie dawnym i bliskim:

— No co? Sen czy nie sen?

— Nie, nie sen. Najoczywistsza jawa. Nie wierzyłaś że będziemy razem w Paryżu?

— Nie wierzyłam. I nawet sobie nie wyobrażałam, jak to będzie, chociaż okropnie mi się chciało. Bo jak sobie dokładnie wyobrazić coś dobrego, to się później nigdy nie sprawdza. Tak, tak, naprawdę: ty nie wierzysz, ale ja sto razy próbowałam i wiem na pewno. Kiedyś bardzo mi się chciało, żeby Stefek poszedł z mamą na bal kostiumowy. Mama przerobiła sobie śliczną suknię, ciemno rubinową, ze szklanymi paciorkami na kołnierzu, — no takim haftem który się cały mienił, ale ty tego nie rozumiesz. I już widziałam, jak Stefek szuka po wszystkich szufladach spinek do mankietów i krzyczy na mamę żeby się spieszyła, a potem siadają do sanek i Stefek otula mamie nogi futrzaną derką. A później sobie myślałam że wrócili dopiero nad ranem, i na drugi dzień wszystko mi opowiadali o tym balu. Stefek obiecał że pójdzie z mamą na bal, tylko nie chciał przyrzec na słowo honoru, i tego dnia znowu się upił i nie poszedł. I wiesz co powiedział? Że nie może pójść, bo musi narysować projekt mostu przez Wisłę. Zamknął się w gabinecie i sam ze sobą rozmawiał, a potem mnie zawołał i pokazał swoje rysunki. Więc narysował sobie olówkiem fruwające kwiaty z przezroczytymi skrzydłami i powiedział, że jakby takie kwiaty istniały, toby na świecie było weselej. A pośrodku kartonu wyrysował bardzo piękny most, tylko jakiś dziwaczny, bo pod mostem zrobił wiszącą promenadę dla rybaków i dla zakochanych. I prosił, żebym nic nie mówiła mamie. . .

Janka się zamysliła. Patrzałam znowu na jej usta, na zgięcie półotwartych ust, które tak dobrze znałam. I pomyślałam sobie że to jest właśnie prawdziwa i dawna Janka i że dopiero teraz zaczynamy żyć.

Chciałam żeby Janka mówiła dalej. Chciałam słyszeć jej głos. Dźwięk głosu Janki: o nim przecież najwięcej myślałam, błądząc po Paryżu przed jej przyjazdem. Czemu właśnie głos? Męczyło mnie to pytanie i zapytałam kiedyś Wierzbickiego, co o tym sądzi. Opowiedziałem mu zmyśloną na poczekaniu treść nowelki, którą jakoby czytałem. „Bohater nowelki, jakiś tam Gaston, ciągle słyszy głos swojej kochanki. Głos najbardziej za niego działa, i autor obszernie się o tym rozpisuje. Czy uważasz to za możliwe?“. „Najzupełniej“, powiedział Wierzbicki. „Głos jest najważniejszy. Kiedy dochodzi do tego, że się kocha głos i że się za nim

teżkni, to znaczy że chodzi o prawdziwą i głęboką sprawę. Wtedy to już jest, uważasz, na długo“.

— Ale Paryż sobie wyobrażałam, — powiedziała nagle Janka. — Tylko beze mnie i bez ciebie, żeby nie uroczyć. Samo miasto. I wiesz jak? Myślałam, że w samym środku Paryża stoi Wieża Eifel, a naprzeciwko wieży są wielkie sklepy: Galeries Lafayette, czy jak tam. A obok są małe starożytne domki i malutkie stragany jak u nas w Wilnie, tylko że teraz stragany już zamknęli, bo nie mogły konkurować z wielkimi sklepami, jak to opisał Zola w jednej powieści. . . I właściciele tych małych sklepików siedzą na ławkach w Lasku Bulońskim, całym białym, brzozywym, i są smutni. . . A tam przecież wcale nie ma brzoź!

I prędko, żeby zagadać Lasek Buloński, który już widocznie oglądała:

— Staśku. . . Powiedz mi jak to wszystko będzie. . .

— Będziesz się uczyła. Semestr zaczyna się w przyszłym tygodniu. Pójdę z tobą do sekretariatu, idzie się tam przez długie chłodne korytarze i echo rozdzwania kroki. Będziemy dużo pracowali, bo przecież lata lecą, i jesteś już dorosłą osobą, a za kilka lat będziesz poważną panią. Będzie zielono, i lekko, i prawdziwie. Może nawet zobaczymy fruwające kwiaty z przezroczystymi skrzydłami. . .

6.

Janka posiadała ogromny zapas wiadomości o życiu zwierząt, ptaków i roślin. Któregoś dnia zapytała mnie z poważną miną:

— Staśku. . . Czy nie wydaje ci się czasami, że trochę przypominam rasowego psa?

— Jako psa? Co to za porównanie?

— Ale nie, nie ma w tym żadnej obrazy, bo ja przecież okropnie lubię psy. Tylko że. . . Ty pewnie nie wiesz, że rasowy pies zawsze się stara naśladować człowieka. Ale nie wszystkich ludzi, tylko tych których lubi. Kiedy leżałam na trawie w naszym ogródku w Wilnie, Jacek zawsze się kładł obok mnie na grzbiecie, żeby wyglądać tak samo jak ja. A to był bardzo mądry rasowy seter. I dzisiaj przyszło mi do głowy, że ja też się staram naśladować ciebie, tylko że mi się nie zawsze udaje. Dawniej nie lubiłam Balzaka i wcale go nie mogłam czytać, a teraz czytam i strasznie mi się podoba. Boś ty powiedział, że ci się podoba. I mówię tak samo jak ty. Tylko że jeszcze ciągle mówię „okropnie“ i nie mogę się odzwyczaić. A wczoraj kupiłam sobie taki sam bloczek jak twój. Zobaczyłam na twoim, gdzie był kupiony, tam jest złota naklejka. . . I będę sobie zapisywała rozmaite myśli, tak jak ty.

— A seter Jacek też sobie zapisywał rozmaite myśli?

— Nie śmieję się, bo to jest bardzo poważna rozmowa. W małych rzeczach mi się udaje, a w głównej sprawie. . .

Janka wskazała głową na książkę, leżącą na stole. Była to broszura polityczna, nosząca tytuł: „Koordynacja, czy utożsamienie?“

— Nic nie rozumiem. Ale zupełnie nic. Jakaś ostra polemika i wyśmiewanie się z innych autorów, którzy przecież też są socjalistami i chcieliby, żeby wszystkim ludziom na świecie było dobrze. . .

— Porozmawiamy o tym wieczorem, — powiedziałem. — Nie możesz jeszcze czytać moich książek. Nie masz przygotowania.

Myślałem potem o rozmowie z Janką, idąc w stronę Bulwaru Montparnasse. Janka nie należała jeszcze do Partii. Zabierałem ją na dyskusyjne wieczory i często sprawiała mi kłopot, bo się na nią rzucały wygadane niewiasty które wszystko czytały, wszystko wiedziały, nic i nikomu nie wybaczały. A Janka była w naszym ruchu tylko sercem, miała w sobie dużo naiwności, nie potrafiła polemizować.

Dobrze pamiętam ten dzień, bo przecież rozmowa w kawiarni na rogu ulicy de Rennes i Bulwaru Montparnasse była punktem zwrotnym w moim

życiu. Miałem się tam spotkać z towarzyszem Ryszardem. Nie znałem go prawie osobiście, bo mieszkał w Brukseli i tylko z rzadka przyjeżdżał do Paryża. Ale wiedziałem jaką rolę odgrywa w ruchu, i pochlebiało mi, że się chce ze mną zobaczyć. Widocznie czytał mój ostatni artykuł i zwrócił na mnie uwagę. Artykuł zamieściło pismo partyjne, oczywiście pod pseudonimem, ale Ryszard mógł się łatwo dowiedzieć kto go pisał.

Ryszard czekał już na mnie. I jak tylko usiadłem spojrzął na zegarek. — Przepraszam że się trochę spóźniłem, — powiedziałem. — Szedłem pieszo i jakoś wolniej niż zwykle.

— Nie spóźniliście się wcale. Jest punkt jedenasta. Ale mam jeszcze dużo do załatwienia w tym Paryżu, więc patrzę która godzina. Już wam pewnie mówiono o co chodzi. Więc jakże? Jakie jest wasze zdanie?

— Nie, nic mi nie mówiono.

— A to ten Klucz pokręcił. Prosiłem go żeby z wami pogadał. Chcemy was posłać do kraju.

Ryszard sięgnął po piwo. Kiedy odstawił kufel, miał na wąsach białą pianę, którą wytarł dłonią. I zaraz spojrzął na mnie czarnymi, świdrującymi oczyma i powtórzył:

— Więc jakże?

Przed kawiarnią stanęła kobieta z kosmykami siwych włosów na czole. Obok niej usiadł trzynastoletni chłopak-harmonista. Cała Dzielnica Łacińska знаła tę parę. Chłopak świetnie grał na harmonii, ale często się irytował, krzyczał na śpiewaczkę że fałszuje i rzucał harmonię na składany stołek, który nosił ze sobą. A kiedy grał, zamykał oczy, dziwnie jakoś poruszał wargami, i widać było, że każdą nutę wydobywa z głębi duszy.

— Eh bien, Mesdames et Messieurs, — powiedziała kobieta, — écoutezons ... I zaczęła:

Dans toutes les époques d'histoire
Les gens ont trouvés des moyens
De faire paraître leur memoires. . .

Dalsza rozmowa z Ryszardem toczyła się już pod akompaniament tej modnej wówczas piosenki. Zapamiętałem ją na całe życie. Jeszcze dzisiaj, kiedy ją słyszę, przechodzą mnie dreszcze.

(dokończenie nastąpi)

CZESŁAW POZNAŃSKI

GRANICE TOLERANCJI

W majowym numerze „Nowej Polski“ pisałem o sprzecznościach między ideą pełnego planowania gospodarczego i ideą demokracji i o konieczności znalezienia kompromisowego rozwiązania.

Dzisiaj chcę zanalizować inną sprzeczność, rozwiązanie której jest dla demokracji bez przesady kwestią życia i śmierci.

Jest to sprzeczność istniejąca między kardynalną zasadą demokracji: zasadą że tak samo, jak większość ma prawo do rządzenia, tak samo mniejszość ma prawo do krytyki i do dążenia przez tę krytykę do osiągnięcia większości i objęcia rządów.

Tolerancja wobec mniejszości, uznanie jej roli opozycyjnej za konieczny czynnik życia politycznego jest istotnym i koniecznym warunkiem demokratycznego ustroju. Ze tak jest istotnie, że swoboda opozycji, pociągająca

za sobą wolność prasy, wolność propagandy jest kamieniem węgielnym ustroju demokratycznego, co do tego nie może być najmniejszej wątpliwości.

Walka o demokrację w Anglii wieku XVII, w Stanach Zjednoczonych wieku XVIII, walka encyklopedystów we Francji była w pierwszej linii walką o prawo do krytyki, o uznanie prawa do opozycji.

Stary Wolter najlepiej może scharakteryzował sens tej walki gdy pisał „Nienawidzę wszystkich Twych poglądów ale dam się zabić w walce o to, byś miał prawo je głosić“.

Przrznięcie—na krótko przed wojną obecną — leaderowi opozycji w Wielkiej Brytanii, pensji w sumie £ 3.000 rocznie było ostatnim formalnym ustawodawczym usankcjonowaniem zasady, że istnienie opozycji jest kardynalnym warunkiem istnienia demokracji, że rola opozycji jest równorzędną z rolą większości rządzącej.

Przez dziwną ironię losu to oficjalne ustawodawcze usankcjonowanie opozycji przyszło w momencie, w którym zaczęła się chwiać bezwzględność tej zasady.

Konieczność istnienia opozycji, bezwzględna wolność agitacji nie wywoływały i nie mogły wywoływać żadnych zastrzeżeń we Francji republikańskiej, w Wielkiej Brytanii, w Stanach Zjednoczonych. Wszędzie tam albowiem od lat 70 wieku ubiegłego sama *zasada* państwa demokratycznego nie była kwestionowana. Zarówno większości rządzące, jak i mniejszości opozycyjne milcząco akceptowały konwencję demokracji, że większość ma prawo rządzenia i walki między partiami rządzącymi i opozycją rozgrywały się na wspólnie przyjętej platformie walki o głosy wyborców.

Prawda, że we Francji republikańskiej istniały grupy skrajne zarówno na prawicy, jak na lewicy, które zasad demokracji nie uznawały i dążyły do gwałtownych przewrotów, były takie grupki — tylko na lewicy — i w Anglii, wpływy ich jednak nie sięgały dalej niż wpływy mówców w Hyde Parku. Demokracje mogły sobie pozwolić na tolerancję względem komunistów czy faszystów, albowiem ich agitacja nie zagrażała niczem istnieniu demokracji.

Lata ostatnie dowiodły jednak, że danie pełnej wolności opozycji, która *nie uznaje samych zasad demokracji* może w rezultacie doprowadzić do zniszczenia wszystkich wartości demokratycznych, że respektowanie bezwzględne pełnego prawa opozycji może doprowadzić do przekreślenia zupełnego tego prawa. Demokracja stanęła po prostu przed zagadnieniem, czy ma rzeczywiście obowiązek przestrzegania swych własnych zasad wobec wrogów, którzy tych zasad nie uznają, nawet wtedy gdyby to groziło jej zupełnym zniszczeniem.

Wrogowie demokracji oczywiście żądają od niej zawsze najskrupulatniejszego przestrzegania zasad demokratycznych. Jeszcze w połowie XIX w. słynny polemista katolicki, Louis Veuillot, oświadczył: „Je vous réclame la liberté au nom de vos principes, je vous la nie au nom des miens“. I to stanowisko pozostało niezmiennie.

Pamiętam, jak krótko po zamachu majowym, na wiecu zwołanym dla obrony swobody prasy, mówca narodowo demokratyczny powiedział, że obecnie żąda tej swobody w imię zasad demokratycznych, że żąda dla siebie tej swobody, którą konstytucja gwarantuje opozycji, że jednak jeżeli on i jego przyjaciele dojdą do władzy to zniosą zasadę wolności prasy i opozycji, gdyż tam gdzie rządzi partia narodowa, taka wolność równałaby się zdradzie interesów narodowych.

Tak samo tu w Wielkiej Brytanii komuniści po zakazie „Daily Worker’a“ za agitację defetystyczną walczyli przeciw temu zakazowi w imię wolności prasy i opozycji, by dziś, gdy stanowią część większości rządzącej domagać się zakazów coraz to innych pism.

Ci sami komuniści przed czerwcem 1941 walczyli do upadłego przeciw tak nazwanej „regulation 18b“, pozwalającej na internowanie bez wyroku

sądowego osób niebezpiecznych dla wysiłku wojennego, by dzisiaj gwałtownie na wiecach domagać się internowania coraz to większej liczby obywateli.

Tę samą taktykę wykorzystywania wszystkich praw, zastrzeżonych przez zasady demokracji dla opozycji stosowali i hitlerowcy za czasów republiki weimarskiej.

Czasu wojny sprzeczność rozwiązuje się łatwo. Zasada „salus reipublicae suprema lex esto” nie jest wtedy kwestionowana. Z chwilą gdy byt państwa jest zagrożony, poświęcenie czasowe pewnych zasad demokratycznych nie budzi zastrzeżeń. Wszakże w tym samym czasie państwo od żołnierza wymaga ofiary życia. I dlatego w Wielkiej Brytanii olbrzymia większość przyjęła bez szemrania zarówno istnienie regulacji 18b, jak ograniczenie swobody prasy. O pełną wolność demokratyczną dzisiaj walczą poza nielicznymi doktrynerami jedynie ci, którzy nie mają prawa moralnego o tę wolność się dopominać, a więc do roku 1941 faszyci i komuniści, a dzisiaj sami faszyci.

Nie było inaczej zresztą i za czasu Wielkiej Rewolucji Francuskiej. Filozoficzną podstawą jej była wolność opozycji, wolność prasy. Gdy jednak nieprzyjaciel zewnętrzny w przymierzu z reakcją wewnętrzną zagroził istnieniu Rewolucji władzę objął Komitet Zbawienia Publicznego, który w imię tego zbawienia publicznego zaprzeczył wszelkim gwarancjom swobód obywatelskich, który zniósł i wolność prasy i wolność opozycji. Wtedy to ukuto tę wspaniałą w swej lapidarności formułę „Pas de liberté contre la liberté”.

Trzecia Republika drogą zapłaciła za to, że o tej rewolucyjnej tradycji zapomniała, że w roku 1939 zdobyła się na samoobronę jedynie w stosunku do komunistów a pozwoliła pozostać na swobodzie i rozwijać agitację tym wszystkim Déatom, Flandinom, Lavalom, Paul Faure’om, tym wszystkim faszystom i defetystom, których każdy z nas znających Francję mógł palcami wskazać.

Czy jednak w czasach pokojowych, czasach normalnego funkcjonowania ustroju demokratycznego demokracja nie jest bezwzględnie związana respektowaniem swych własnych zasad? Czy obrona demokracji jako ustroju nie powinna być postawiona na równi z obroną państwa?

Teoria ogólnie przyjęta odpowiadała twierdząco na pierwsze pytanie, przeczając na drugie.

Azana, jako premier republiki hiszpańskiej, wiedział że generałowie spiskują przeciw republice, wiedział, że Calvo Sotelo i jego przyjaciele nie zawahają się uderzyć zbrojnie, że pertraktują z obcymi mocarstwami o pomoc, ale uważał że nie ma prawa nic czynić, że nie wolno mu krępować swobody opozycji. I republika hiszpańska upadła.

Hitler wykorzystywał do dna wszystkie możliwości, które ustrój demokratyczny dawał opozycji. I republika weimarska przestała istnieć.

A cały spisek Pétain-Laval, który dojrzał w chwili katastrofy wojennej był przecież od dawna przygotowywany pod osłoną i ochroną wolności demokratycznych.

Pamiętajmy, że we wszystkich tych wypadkach opozycja nie respektowała zasad demokracji. Wykorzystywała ona wolność agitacji, wolność prasy, wolność opozycji nie w tym celu, by zdobyć większość i legalnie dojść do władzy, ale po to, by zorganizować dość silną mniejszość, by zadać ustrojowi demokratycznemu cios śmiertelny.

I pamiętajmy o czymś innym jeszcze. Obalenie ustroju demokratycznego to nie jest po prostu zamienienie jednego systemu rządów innym. To nie jest po prostu zmiana garnituru rządzącego. To cofnięcie cywilizacji w tył o wieki, to krew i łzy niezliczonych milionów.

Cóż więc dziwnego, że dzisiaj zwolennicy demokracji stawiają sobie pytanie, czy istotnie respektowanie zasad demokracji należy posunąć, aż

do samobójstwa włącznie, czy prawo samoobrony demokracji wobec wroga, który jej zasad nie uznaje, nie powinno być prawem naczelnym.

„Pas de liberté contre la liberté“. Stare jakobińskie hasło nabiera z powrotem rumieńców życia.

Dwóch wybitnych pisarzy politycznych postarało się filozoficznie uzasadnić to hasło.

Pierwszy z nich, Guilielmo Ferrero w ostaniej swej przedśmiertnej książce „Le Pouvoir“ usiłuje uzasadnić, że nie ma sprzeczności między zasadami demokracji a odmówieniem swobody działania jej wrogom przez rozróżnienie między „wolnością filozoficzną“ a wolnością polityczną“.

A więc zakłada on, że prawo do opozycji, że istnienie opozycji są kardynalną podstawą ustroju demokratycznego. Pisze mianowicie: „Większość ma prawo rządzenia, mniejszość prawo opozycji i krytykowania rządów aby móc stać się większością. Dlatego w demokracjach opozycja jest organem suwerenności narodu równie istotnym jak rząd. Znieść opozycję to znaczy znieść suwerenność narodu. I pisze dalej: „Drugim warunkiem aby prawo rozkazywania i prawo opozycji były rzeczywistościami istotnymi i działającymi jest by większość nie tylko była większością istotną, ale by wiedziała że z natury rzeczy jest zmienną i by nie używała władzy na to, by się przy niej utrzymać, by gwałtem lub oszustwem nie dopuść do tego, by mniejszość stała się większością“.

Trzecim warunkiem jest jednak podług Ferrera, by „mniejszość w swej opozycji równie szanowała nie tylko co do litery ale i co do ducha prawo większości do rozkazywania“.

Tam gdzie mniejszość tego warunku nie respektuje, większość nie ma obowiązku szanować jej praw do opozycji. Opozycja ma wolność polityczną, ale można jej odmówić „wolności filozoficznej“, a mianowicie „przyznania wszystkim obywatelom prawa dyskusowania wszystkiego, nawet zasad, na których jest oparta władza demokracji“.

„W demokracji nikt nie ma prawa twierdzenia, ani że mniejszość a nie większość ma prawo rozkazywania, ani że większość ma prawo zniesienia mniejszości i jej opozycji. Są to herezje polityczne i w razie potrzeby można legalnie użyć przeciw nim władzy państwowej“.

Teoria ta jest niewątpliwie bardzo pociągająca. Równie niewątpliwie jednak jest ona fałszywa, jest po prostu nieudaną próbą rozwiązania dylematu.

Istotą wolności demokratycznej bowiem jest właśnie przede wszystkim to, co Ferrero nazywa wolnością filozoficzną, to jest wolność sumienia, wolność kwestionowania wszystkich zasad, a więc i zasad demokracji. Ta wolność zresztą najmniej zagraża demokracji i w ogóle ustrojowi politycznym ze wszystkich wolności. Wszakże carat rosyjski, za czasów najostrożniejszej cenzury, pozwalał na publikację Kapitału Marksa i uczonych rozpraw marksistowskich, tępiąc jednocześnie wszelkie popularne broszurki.

Dopiero, gdy zagadnienie filozoficzne zostanie sprowadzone na plan akcji politycznej, powstaje zagadnienie niebezpieczeństwa dla demokracji.

Póki Charles Maurras był jedynie autorem „Enquête sur la Monarchie“ i teoretykiem monarchizmu, nie był niebezpiecznym dla Trzeciej Republiki. Dopiero, gdy doktryna Maurrasowska stała się orężem walki politycznej w piśmie codziennym Action Française, gdy w imię tej doktryny „camelots du roi“, a potem cagoulardi poczęli spiskować przeciw Republice, gdy propagowanie jej stało się *elementem akcji politycznej*, stała się ona elementem rozkładu Republiki.

Tak, że samoobrona demokracji wymagać może nie ograniczenia „wolności filozoficznej“ a właśnie „wolności politycznej“.

Francuski filozof, Julien Benda, inaczej podchodzi do zagadnienia. Benda nie powołuje się na tradycję jakobińską, ale jest jej prawowitym

dziedzicem. Dla niego domaganie się wolności dla wrogów demokracji jest po prostu „falszywym liberalizmem“.

Powołuje się na Gambette, który 17 maja 1877 krzyknął w Izbie Deputowanych do rojalistów: „Przyznajcie się — podług was jedynie Republika nie ma prawa do samoobrony“.

Powołuje się na Waldecka Rousseau, który po zaarrestowaniu Deroulède'a odpowiedział prawicy, domagającej się dowodów, że Deroulède był winien przygotowywania zamachu stanu: „Żądacie ode mnie takich dowodów, jakie się znajduje setkami po udanych zamachach stanu“.

I pochwalając to stanowisko Benda pisze: „Przyznajemy demokracji prawo uprzedzenia wroga, który ją chce zniszczyć, nawet wtedy gdy nie będzie można mu jego przygotowań udowodnić (a zawsze wróg tak będzie działał, by mu ich nie można było udowodnić)“.

Demokracja, zdaniem Benda, ma prawo żądać od urzędników, by byli jej wierni i ma prawo karać ich „o ile pracują przeciw demokracji nawet poza swym charakterem urzędowym“. Demokracja ma prawo „odmówić wolności wychowywania tym, których zasadą jest wychowanie antydemokratyczne“.

Rząd demokratyczny „nie powinien, jak tego chcą niektórzy, być ponad partiami ale winien być rządem *jednej partii*, partii demokratycznej, tak jak rząd monarchiczny jest rządem partii monarchistycznej i winien mieć obowiązek trzymania w ryzach partij, które usiłują obalić demokrację, jako taką“.

Na argument, że demokracja nietolerancyjna tym samym upadabnia się do reżimów, które zwalczą, Benda odpowiada: „Czyż trzeba udawadniać, że demokracja uniemożliwiająca działanie tym co pracują nad jej obaleniem nie staje się przez to identyczną z systemami, które zwalczą? Jest różnica między pozbawieniem obywateli, których się uważa za niebezpiecznych dla reżimu, swobody wyrażania się, albo prawa zajmowania urzędów publicznych, a pozbawieniem ich wolności, albo nawet posłaniem ich na egzekucję“.

Jest zrozumiałe, że Benda pisząc we Francji w roku 1941, samoobronę demokracji stawia jako zasadę naczelną. Tym niemniej jednak argumentu jego, że demokracja zaprzeczając wszelkiej wolności swym wrogom niesprzeniewierza się swym ideałom, uznać nie możemy.

Nie idzie bowiem o to, czy represja opozycji ma być barbarzyńska, czy humanitarna. Idzie o samą *zasadę* wolności opozycji. Różnica filozoficzna między despotyzmami, czy totalizmami z jednej strony, a demokracją z drugiej, polega przecież właśnie na tym, że totalizmy negują prawo do opozycji, a demokracja to prawo stawia jako naczelną zasadę.

Można chyba przyjąć, że jeżeli tak głębocy i świetni myśliciele jak Ferrero i Benda nie potrafili znaleźć w *ramach światopoglądu demokratycznego* przekonującego uzasadnienia dla odmowy ochrony wolności opozycji i agitacji tym, co zasad demokracji nie uznają, to dlatego, że takie uzasadnienie jest niemożliwe. Musimy uznać, że *logika demokracji* wymaga pełnej wolności opozycji dla wszystkich; że między zasadami demokracji, a koniecznością jej samoobrony istnieje sprzeczność nie do rozwiązania *logicznie*.

Czy ma to oznaczać jednak, że ci co demokracjami rządzą mają obowiązek „nie sprzeciwiania się złu“, że w imię logiki demokratycznej mają obowiązek pozwolić na obalenie demokracji, w pełni świadomi tragicznych następstw zwycięstwa elementów antydemokratycznych? Czy mamy pójść w ślady abbé Grégoire, który walcząc o wyzwolenie niewolników krzyknął w Konwencji „Périsissent les colonies plutôt qu'un principe“?

Każdy kodeks karny uznaje prawo do samoobrony. Wolno mi zabić bezkarnie tego, kto grozi memu życiu, lub życiu tych co mi są drodzy. Tego *prawa samoobrony* demokracji odmówić niepodobna. Przeżywamy

chwilowo epokę, w której demokracja walczyć musi o swe życie. W tej walce i na czas tej walki wolno jej tak samo jak w czasie wojny zewnętrznej, zawiesić chwilowo niektóre z swych zasad, niektóre z wolności demokratycznych. I tego jej prawa nie trzeba się starać usprawiedliwiać łamańcami logicznymi. Należy sobie szczerze i otwarcie powiedzieć, że istnieje sprzeczność między zasadami demokracji a koniecznościami jej samoobrony i że w chwili gdy grozi istotne niebezpieczeństwo *wybiera się samoobronę*. Albowiem *primum vivere, deinde philosophari*.

Ale należy tym samym uznać, że tylko te odstępstwa, które istotnie przez samoobronę są podyktowane są dopuszczalne; że odstępstwa te muszą być ograniczone *i w czasie i w rozmiarach* koniecznościami tej samoobrony jedynie. Jest to trudne, nie da się ująć w żadną formułkę precyzyjną.

Ale, czyż nie jest istotną cechą demokracji, że jest ona właśnie *trudną formą rządzenia?*

DOROTA FALSKA

NOWA POWIEŚĆ SILONE

Ignazio Silone jest bodaj najwybitniejszym krytykiem faszyzmu spośród włoskich pisarzy emigrantów. We wczesnej młodości walczył we Włoszech przeciwko czarnym koszulom i na zwycięstwo faszyzmu szukał odpowiedzi w ruchach podziemnych swego kraju. Był w szeregach socjalistycznych, komunistycznych, zaznał wielu rozczarowań i nasiąkł goryczą długich lat emigracji politycznej. Ta emigracja liczy się nie latami wojny lecz dwoma dziesięcioleciem ery Mussoliniego. Ze swej nostalgii emigracyjnej wyczarował sobie Silone obraz Włoch niefaszystowskich, dziwnie nierealny i wyidealizowany, a jednak przemawiający siłą swojej symboliki. W pierwszej jego powieści „Fontamara“ wyrobnik wiejski, symboliczny cafone zmagał się ze zmorą faszyzmu. Powieść ta kończyła się wielkim pytaniem, które stawiał sobie emigrant, gdy koleje wałki rzuciły go poza granice jego kraju:

„A teraz jesteśmy tu. Tajemniczy Człowiek pomógł nam wydostać się z kraju. Lecz jest rzeczą oczywistą, że nie możemy pozostawać za granicą. Cóż mamy począć?”

Po tylu walkach i niepokojach, i łzach i ranach i krwi, po takiej nienawiści i takiej rozpacz — Cóż mamy począć?”

Choć „Fontamara“ kończyła się tym wielkim pytaniem, sama powieść zawierała w sobie pewną odpowiedź. Był nią właśnie cafone — anonimowy fornał, rzucający wyzwanie faszyzmowi. Była nią polityka, organizacja i program socjalny.

W nowej powieści Silone pod tyt. „Ziarno pod śniegiem“ pytanie to pojawia się jednak na nowo. Stara odpowiedź już nie zadawalnia autora. Zmienił się na oczach jego krajobraz Włoch, zmieniły się postaci z galerii rządzących i z galerii uciskanych. Jedni i drudzy wyczerpali się jak gdyby, stracili swój pierwotny rozmach i ugrzęźli w bagnie drobnych intryg i małostkowych zawiści. Dwa dziesięciolecia totalizmu wyjałowiły dusze ludzkie. W kraju reżym faszystowski zapanował na dobre. Do wsi Colle czy Orta nie dociera wprawdzie kolej żelazna. Po drogach osypanych śniegiem ciągną konie i muły, po ścieżkach górskich, po zboczach raniących nogi wędrują pieszo wieśniacy. Ale i do Colle i do Orta docierają

mówcy, agenci faszystowscy, funkcjonariusze partyjni i carabinieri. Faszystowski Rzym jak pajak opłótł nimi cały kraj. Państwo dotarło wszędzie, wcisnęło się wszędzie i stało się „diabłem domowego ogniska“, łamiącym życie rodzinne, zatruwającym byt każdej jednostki, zabijającym miłość, i wierność, i przyjaźń. Rodzina istnieje po to, aby sobie nawzajem pomagać — tłumaczy stara matka synowi. Żaden dekret rządowy nie może zmienić krwi, nie może przerwać więzów krwi. Wszystko teraz zależy od rządu — odpowiada ze skamieniałą twarzą Bastiano. Nie ma już prywatnego życia.

Ale Maria Vincenza, stara matka, jest jak gdyby nie z tego świata. Czy nie masz przyjaciół, mój chłopcze? — pyta syna, którego życie już całkowicie należy do ery Mussoliniego. Bastiano wybucha śmiechem: „Już od dawna nie ma w naszym kraju, tego co nazywa się przyjaźnią. Teraz są „stosunki“. Tak, „stosunki“... Po raz pierwszy chyba w całej historii naszego kraju „stosunki“ zajęły miejsce przyjaźni“. Stara matka tej zmiany nie rozumie. Przyszła błagać syna o pomoc dla wnuka, młodego rewolucjonisty Pietro. Trzeba go ratować — tłumaczy z bijącym sercem. Nie ma się czego wstydzić, gdy członek rodziny Spina działa przeciw rządowi. Może to być szaleństwem lub błędem, ale grzechem jest pozostawienie go bez pomocy. Lecz na argumenty te Bastiano pozostaje głuchy, choć zna prawdę słów matczynych. Nie może pomóc. Od 25 lat na próżno stara się o zdobycie kontroli nad towarzystwem akcyjnym. Najpierw brak mu było pieniędzy. Potem warunki się zmieniły i już nie pieniądze, lecz poparcie polityczne stało się niezbędne. W wyścigu o zarobek i stanowisko pobili go konkurenci, którzy mieli bajeczny klucz do wszelkich szesamów — legitymację partyjną. Teraz Bastiano toczy już walkę na śmierć i życie. Najmniejsze poślizgnięcie, jeden krok fałszywy, narażenie się na najbłahsze podejrzenie pograży go już ostatecznie. Nie, Bastiano nie może ratować przed policją socjalisty Pietro. Ratowanie bratanka byłoby jego zgubą i przekreśleniem 25 lat zaciętej walki.

Machina totalitarnego państwa wciągnęła Bastiano Spina w swe tryby. Cała jego egzystencja zależy od humoru wpływowych członków partii, od sąsiadów, którzy szpiegują i podpatrują i od znajomych, którzy uśmiechają się fałszywie i piszą doniesienia do władz. Musi przyjmować ich u siebie jako swoich gości, nadskakiwać im i prawić komplementy, w chwili gdy zboliała matka przyjechała z rozpaczliwą prośbą o ratunek dla Pietro.

Wśród zebranych i odświętnie ubranych gości prym wiedzie Don Corioliano, piastujący zaszczytną godność mówcy rządowego. Powiedzenia jego wywołują salwy śmiechu. Dowcipy wysłannika partii *muszą* podobać się aptekarzowi z Colle, któremu nędza chłopska nie przysparza klientów. Zapytuje on mówcę partyjnego z mimowolnym humorem: „Jeżeli słuchanie publicznych mówców jest obowiązkowe, to dlaczego władze nie miałyby również wprowadzić przymusu zażywania lekarstw?“ Don Marcantonio z zawiścią patrzy na swego partyjnego kolegę. Na razie cierpliwie znosi jego upokarzająco protekcyjny ton. W ciszy duszy marzy jednak o tym, by oratorowi partyjnemu pośliznęła się noga i by sam mógł zająć jego stanowisko. Rola wędrownego wykładowcy, którego obowiązkiem jest opowiadanie prostym chłopom o cebuli i kartoflach nie zaspakajała jego ambicji. Udał się więc na studia do Mediolanu, przeszedł kurs niemieckiego, którym odtąd przeplatał swój język macierzysty. Był studentem słynnej uczelni Mistyki Państwowej i uzyskał dyplom Mistyka Rządowego. W dziele swoim pod tytułem „Aerodynamiczny Mistycyzm“ wywodzi, że „w państwie totalitarnym wiele rzeczy jest słusznie zakazanych, lecz te nieliczne rzeczy, które są dozwolone, winny być ściśle przymusowe“. Z tego rodzaju też Marcantonio wyprowadza dalsze pewniki: przemówienia publiczne nie są dla słuchaczy, lecz słuchacze istnieją dla mówców; szkoły nie są dla uczniów, lecz uczniowie dla szkół; pociągi zaś nie dla podróżnych,

lecz podróżni dla pociągów. Te dyskusje, którym Silone poświęca wiele kart swojej powieści są utrzymane w stylu groteskowym. Lecz groteskowość ta wynika jedynie ze zgęszczenia kolorytu totalizmu. Maksymy Marcantonio są właściwie kwintesencją tego co mistycy państwa już nie w powieści, lecz w życiu wypowiadają w długich i napuszonych tyradach. Inny dygnitarz z galerii Silone powiada: „Nie należy zapominać, że jesteśmy państwem zarówno proletariackim jak i totalitarnym“. De Paolis to jak gdyby plebeuszowy odcień faszyzmu. Godnymi pochwały przejawami demokracji jest według niego plucie na podłogę, golenie się najwyżej dwa razy na tydzień i podawanie ręki chłopom. „Musimy oczywiście—powiada inny z faszystów—prowadzić bezkompromisową walkę przeciw objawom zdegenerowanej demokracji z jej udziałem ludu w rządzie, wyborami, wolnymi organizacjami, związkami politycznymi oraz innymi tego rodzaju wymysłami Anglików, które ubliżają naszej łacińskiej godności“. Oto maksyma głosiciela faszystowskiej proletariackości.

Silone traktuje swoją galerię faszystów z pogardą. Ośmieszają ich, kpią z oficjalnej bezmyślności i wykutej na pamięć frazeologii partyjnej. Groteskowy styl jego opisów stwarza bardzo często wrażenie przeszarżowania. Czytelnik musi sobie bowiem zadać pytanie: dlaczego te bezmyślne marionetki potrafiły ujarzmić społeczeństwo włoskie i utrzymać je w bezwzględnej uległości w ciągu długich dziesięcioleci. Postaci z powieści przypominają nieco za bardzo papierowe schematyczne slogany propagandy, lub przejaskrawione karykatury. Faszyzm niestety okazał się zagadnieniem zbyt poważnym, by można je było zbyć wyłącznie karykaturą i groteskowym aforyzmem, w którym autor zresztą celuje.

Są jednak ludzie, którzy choć pod przymusem słuchają mówców partyjnych, przecież żyją poza totalizmem państwowym. Rewolucjonista Pietro, bratanek Bastiano, powrócił z zagranicy i ukrywa się w domu Marii Vincenza. Pietro nie boi się życia poza prawem: „Życie poza prawem wówczas gdy prawo jest nieludzkie i niemoralne nie jest tak ciężkie jak to się wydaje. Poświęceniem się byłoby raczej wyrzeczenie się swego ja za cenę wygód i spokoju“.

Pietro zerwał ze swą partią i powrócił do Kraju wiedziony tęsknotą i pragnieniem organizowania oporu przeciw reżymowi. Lecz w kraju zachodzi w nim dziwna i niebardzo przez autora wytłumaczona przemiana: po roku ukrywania się przed policją patrzy wstecz na swoją działalność polityczną i widzi ją w zupełnie nowym świetle. Partia przedstawia mu się jako sztuczny twór oderwany od życia. Stosunki między członkami organizacji przypominają mu stosunki między żołnierzami, których nie łączy ani przyjaźń ani miłość bliźniego, lecz tylko twardy mus walki. Przyjaźń jest traktowana pogardliwie jako przeżytek burżuazyjnego indywidualizmu. Ta krytyka partii wydaje się mało przekonywującą. Przyjaźń i uczucia ludzkie nie są bynajmniej zjawiskami rzadkimi nawet w normalnej armii, a bywają czasem bardzo mocne wśród ludzi związanych wspólną walką polityczną i wspólnymi niebezpieczeństwami. Krytyka Silone jest zrozumiała, ponieważ Pietro jest niejako uosobieniem samego autora. Lecz motywy tego rozczarowania pozostają w powieści nieuchwytnie i mgliste.

Pietro znajduje ukojenie w życiu biednego ewangelisty. W małej stajence ukrywa się przed policją włoską. Ogrzewa go swym ciałem oślica Zuzanna, towarzyszy mu niedorozwinięty umysłowo niemowa Infante. Ten właśnie niemowa, oraz żebrak Simone le Polecat stają się jego jedynymi przyjaciółmi. Pietro nareszcie znalazł uczucie ludzkie, którego brakło mu przez 15 lat pobytu w partii. Ta trójka mieszka razem w stodole, prowadząc życie pierwotnych chrześcijan, żywiąc się wyżebranym chlebem i winem. Legowisko swe dzielą z wiernym psem Leone i starym osłem Cherubino. Stodoła ta to dla Silone jak gdyby Betlejem

naszych czasów, gdzie króluje naprawdę wielka i ludzka bezinteresowna przyjaźń, pokora, skromność i nędza — największe cnoty i wartości życia.

Naiwność tych scen Silone wynagradza mistrzowskimi efektami literackimi. Maluje prymitywny obraz kolorami tak czystymi, że samego tematu nie można poddawać dyskusji — można go tylko kontemplować.

Pietro dojrzał „ziarno pod śniegiem“ — ziarno ukryte głęboko pod warstwami wiekowej cywilizacji i pod ciężką powłoką ustroju totalitarnego. Żeby jednak dojrzeć to ziarno, trzeba oderwać się od wartości doczesnych, trzeba odrzucić wszystko co cielesne i poznać istotę rzeczy, szukając prawdy dla prawdy samej. Trzeba żyć prawdziwym życiem ubogich albowiem „oni dźwigają krzyż najcięższy ... nie na próżno biedacy nazwani są dziećmi Chrystusa“. Od koncepcji socjologicznych i programów politycznych bohater Silone wraca do starego nakazu poznania samego siebie: „Człowiek, który duchowo jest niewolnikiem, nie może pracować dla prawdziwej wolności“. Teraz dopiero Pietro widzi, że przez 15 lat był ślepcem i nie rozumiał, że nawet umysł pracuje lepiej, gdy przenika go wielka bezinteresowna miłość. „Jeśli w tak niewielkim tylko stopniu znamy prawdę, to dlatego, że nie dość silnie kochamy... Gdy filozofowie zaczną bardziej mówić prawdę niż swe książki... wówczas filozofia posunie się o wielki krok naprzód“.

Nastój etyczny powieści Silone jest niewątpliwie wzniosły i szlachetny. Trudno mu coś przeciwstawić i trudno go krytykować. Lecz mimo to nowa powieść autora włoskiego jest wyrazem zwątpienia w skuteczność walki politycznej, i w możliwość odrodzenia Włoch metodami polityki i walki społecznej. Jest ona przez to smutnym dokumentem pesymizmu politycznego, karmionego długimi latami rozczarowań i nostalgii emigranckiej. Włochy Silone'go nie istnieją chyba ani we Włoszech ani gdziekolwiek indziej; są one obrazem wyczarowanym z nastrojów smutku i rozpacz. Ideą przyswiecającą autorowi jest w gruncie rzeczy stare Tolstojowskie nie sprzeciwianie się złu. Ucieczka od walki politycznej w świat przeżyć jednostkowych, jakkolwiek subtelne i pełne siły nastrojowej są te przeżycia, jest mimo wszystko kapitulacją przed rzeczywistością państwa totalitarnego, które odzwyczailo społeczeństwo od samodzielności i wyjałowiło nawet obóz opozycji. Ewolucja Silone od „Fontamary“ do „Ziarna pod śniegiem“ może właściwie służyć za miarę wzrostu tego pesymizmu, który nie wróży nic dobrego — ziarnu pod śniegiem.

FORMA,

JAKĄ PRZYBRAĆ MUSI REORGANIZACJA ŚWIATA

H. G. WELLS,

„Phoenix“, rozdz. I.

REORGANIZACJA JEST MOŻLIWA

W książce tej pisarz zebrał i przedłożył w kolejności ich wagi szereg myśli o reorganizacji spraw ludzkich, które to myśli tworzą po społu schemat użyteczny i obiecujący. Składają się one na jeden spójny, możliwy do urzeczywistnienia projekt zdrowej reorganizacji spraw ludzkich.

Nie twierdzi się bynajmniej, że mogą one być zrealizowane natychmiast, bez długich nużących walk i wielu porażek. Jest zupełnie możliwe, że gatunek ludzki nie jest zdolny do wydania ze siebie energii umysłowej i

moralnej, koniecznej do wprowadzenia tych zmian. Można by wiele mówić o tym, że rodzaj ludzki nie jest uprawniony do używania wspaniałego tytułu Homo Sapiens i że właściwie należałoby go określić inną nazwą. Mimo to jednak szkic niniejszy napisany został podług najlepszych możliwości autora, jeśli bowiem Rzecz ma zostać dokonana, oto właśnie najprostsza droga i kolejność jej realizacji. Nie wykluczone, że obecna tragedia ludzka zapadnie się w odmęt wyczerpania i znużenia. Nastąpi — być może — jakieś rozwiązanie pozorne. Być może, szereg lichych „równowag“ i kompromisów okaże się wszystkim, co nasz animusz potrafi wzniesić przeciw nieuniknionemu wznowieniu tornady wojny, w bardziej jeszcze złowieszczych warunkach. Może znów przyglądać się będziemy nadchodzącej kłęsce z równą tępotą, z jaką Brytyjczycy od roku 1936 oczekiwali ataku niemieckiego, Amerykanie zaś i Brytyjczycy po społu — nieuchronnego ataku japońskiego w roku 1941.

Ludzie zwykli nie lubią wychodzić naprzeciwko kłopotom, wołają być zaskakiwani przez nie. Co dziś zwiemy „demokracją“, jest przeważnie wykrętem i tchórzostwem duchowym, prawdziwym zaś symbolem świata mówiącego po angielsku, jeśli mamy być sprawiedliwi, nie jest ani orzeł, ani lew, lecz dzielny struś, bohatersko nastawiający swe pióra pod każdy wijący wiatr.

Autor tej pracy przedyskutował w innych książkach liczne odmiany schyłkowości i degeneracji, w których obliczu stoi gatunek ludzki, oraz wykazał, jak mało nasza nieudolność umysłowa i opieszałość czyni na korzyść lepszego życia przyszłych pokoleń. Zbyteczne przypominać to teraz.

Mimo to, ze względów, które okażą się w toku dalszego rozumowania, istnieją powody by wnosić, że wciąż jeszcze może być podjęta próba racjonalnej rekonstrukcji świata i ostatecznego wyprowadzenia ludzkości z obecnej kłęski, przez którą chwycenie kroczymy. Jest to wciąż jeszcze wykonalne wbrew wszystkiemu, na co wskazuje rachuba prawdopodobieństwa. . . . Oto wyznanie nadziei, a nie wiary. Nie ma żadnych poszlak istnienia jakiegokolwiek magicznego, czy nadprzyrodzonego przewodnictwa w sprawach ludzkich. Element ten możemy zatem w dyskusji pominąć. Ocalenie naszego gatunku osiągnięte być może poprzez robienie rzeczy właściwych, w czasie i miejscu właściwym, we właściwej kolejności i proporcji. . . . Proste jest wyjście i wąska doń ścieżka.

Nie uratują rodzaju ludzkiego od nieubłaganej logiki przeznaczenia hasła, slogany, niefrasobliwe metody i okolicznościowe modły do naszych rozlicznych, a teraz mniej lub więcej złanych w jedno, bóstw.

Czasu do stracenia nie ma, o nie, lecz mniej jeszcze jest czasu na pospiesznie poczynane, nieskoordynowane eksperymenty. Zjawić się musi rozważa bystra, zwięzłe, jasne stwierdzenia nakazów sytuacji i podporządkowana im roztropna, wspólna akcja. Inaczej wszelkie gadanie o uzdrowieniu świata, które słyszymy od wybitnych przewodców, polityków i wróżbitów, nie więcej będą warte, niż dziarskie gadanie gęsi w drodze na jarmark św. Michała. Na co jakiś gęsior pokusi się z pewnością odpowiedzieć głośno i zarozumiale, podążając dalej na zarznięcie: „W jakich sposób wytłumaczysz ludziom, by działali po społu?“ — powie: „Tot homines, quot sententiae“ i pełno podobnych nonsensów. Ale nie ma przecież potrzeby, by wszystkie gęsi na całym świecie były jednego zdania na temat tego, co należy uczynić.

Proste jest wyjście i wąska ścieżka doń, lecz niewielu takich, co ją znajdują. Jeśli droga do istotnej przebudowy istnieje, to początkowo wyda się ona oczywista tylko pewnej mniejszości ludzi, zdecydowanej i jasno myślącej. Jest to nieuniknione. Wobec problemu tego stoi ludzkość od chwili, kiedy wynurzyła się z przypadkowego żywota wędrownego myśliwca, wstępując w długi proces niewolnictwa i rozczarowań, który Winwood Reade naswał „Męczeństwem Człowieka“.

Poniżenie i nieszczęścia — oto wszystko co przypadło w udziale ogromnej większości ludzi, odkąd idea zorganizowanego społeczeństwa zaświtała w świecie. Wszystko to zostało wyjaśnione w książce Read'a. Prawdą jest, że nasze dziedzictwo poezji, literatury i sztuki zawiera wiele piękna i romantycznego blasku. Te szczęśliwe dzieła powstały przeważnie z nadmiaru energii władców i — podobnie jak słoneczne zegary — uwieczniły tylko świetne, słoneczne godziny. W cieniu zaś pozostały noc i zima beznadziejnego ucisku, w jakim żyła i umierała przeważająca część naszego gatunku. Historia człowieka przez pięćdziesiąt przeszło tysięcy pokoleń była historią panów i poddanych. Rozdwojenie ludzkości na dwie biegunowe strefy: agresywne, władcze, zaborcze typy, decydujące o wszystkim — z jednej strony, zaś ogromna masa niedorozwiniętych a zwykle i niedożywionych służalców — z drugiej. Ten podział stanowił o kierunku ciśnienia społecznego poprzez wieki. Z oczywistych względów, nie było nigdy rzeczą łatwą znalezienie wyjścia z konfliktu między wydziedziczonymi i zbuntowanymi a uprzywilejowanymi i zadowolonymi. Idea walki klas wstępujących i zstępujących jest jednym ze słabszych punktów komunistycznej teorii Marksa. W rzeczywistości obok innych braków, wydziedziczeni pozbawieni byli również jakiegokolwiek wykształcenia, umożliwiającego im osiągnięcie zasadniczych warunków wydzwigiwania się o własnych siłach. Gdy spojrzymy wstecz poprzez wieki, to właśnie z szeregów uprzywilejowanych brały początek ruchy, dążące ku wyswobodzeniu upośledzonych. Nigdy jeszcze uciskane masy nie wyswobodziły się same, bez pomocy z zewnątrz.

Wyzwolony zostać musi umysł człowieka, zanim zdoła on sobie przyswoić myśl o wyswobodzeniu ludzkości.

Burzył się uczeń stypendysta, pupil magnatów, lub też buntowały się subtelne umysły spośród klas wyższych, wzburzone bezsensownymi okrucieństwami, nędzą życia lub śmiertelną głupotą, nużącą arogancją tych, którzy ich otaczali. Znudzenie i niesmak wyprodukowały o wiele skuteczniejszych rewolucjonistów, niż niesprawiedliwość. Rewolucjoniści żądali poprzez wieki równouprawnienia i wolności ze względu na pełniejsze życie w świecie szczęśliwszym zarówno dla innych, jak dla siebie samych. Rewolucjonista, który nie oczekuje po rewolucji wybitnej satysfakcji osobistej, jest rewolucjonistą niegodnym zaufania.

Ziarno nowej Rosji, którą tak wielu ludzi teraz dopiero zaczyna podziwiać, po raz pierwszy posiane zostało przez koła studenckie, przez inteligencję. Być może stwarzając nowe przepisy pod głębokim wrażeniem swej własnej szczodrobliwości, przesadzili oni w samozaparciu. „Dyktatura Proletariatu“ była zbyt pustą i złośliwą fikcją, by ukryć nawet przed nimi samymi tę prawdę, że Nowa Rosja stworzona została przez szczupłą organizację zdecydowanych na wszystko wyznawców.

Podobnie jak wszystkie tego rodzaju organizacje, Partia Komunistyczna była i jest wystawiona na wszelkie możliwości degeneracji i perwersji, które wyniknąć mogą ze strategicznych konieczności, moralnego zmęczenia, zabójczego efektu powtarzania się, osobistych nieporozumień i namiętnej trwogi przed jakimikolwiek odchyleniami od początkowej doktryny ruchu. Biorąc to ogólnie, wewnątrz Rosji, Partia Komunistyczna dobrze przysłużyła się temu krajowi, aczkolwiek jej teoria (choć nie praktyka) nie potrafiła dostosować się skutecznie do głębokich zmian, które od początku XX wieku zaszły w materialnych warunkach życia ludzkiego. Ta sztywność teorii jednak wyrządziła Rosji o wiele większe szkody na zewnątrz, fałszywie ukazując ją zachodniemu światu, niż na froncie wewnętrznym, przy bezpośrednim zetknięciu się z praktycznymi potrzebami. Dokonano tam śmiałych eksperymentów i wykazano odważną zdolność do niekonsekwencji.

W tym obecnym kotle, Feniks rewolucyjnej myśli musi się odrodzić w Rosji równie kompletnie, jak wszędzie na naszej planecie.

Rewolucja jest jak Feniks. Z biegiem strumienia historii ludzkiej, możemy śledzić ustawicznie odradzanie się rewolucji. Jezus i jego Nazareńczycy (dopóki ruch ten nie padł ofiarą świeckiego intelektualizmu Pawła), byli ogniwem długiego łańcucha usiłowań ustanowienia na ziemi królestwa sprawiedliwości. Historia rozumu jest w dużej mierze kroniką nieustannie powtarzających się wysiłków ludzi wyjątkowych i zagniewanych, którzy uważali życie oparte na służalstwie za niezdolne i niedopuszczalne i usiłowali zmienić je na lepsze; historia zaś narodów, będąc jedną, długą listą wojen, inwazji, przywłaszczeń, zdrad, morderstw i prześladowań — niweczyła te wysiłki i przedłużała gatunkową tragedię ludzkości. Jak dotąd, mord był jedyną odpowiedzią na każde wołanie o wolność i równouprawnienie. Krwawy sztylet, którym tak sprytnie manewruje ramię City Londyńskiej, zachowuje haniebną pamięć rewolucji zamordowanej i zdradzonej.

Prawdą jest, że każdy wzlot woli ludzkiej był jakimś osiągnięciem, lecz prawdą jest również, że był on klęską.

Nie sposób jest ocenić, w jakim stopniu ludzkość pozostałaby płataniną szachrajstwa i brutalności, gdyby nie wpływ tych rewolucji, jak nie sposób stwierdzić, jaki świat zamieszkiwalibyśmy, gdyby przewroty te były zdrowsze w zarodku i lepiej strzeżone przed paraliżem postępowym wadliwej organizacji. Faktem jednak pozostaje, że obecnie znowu i w większej, niż kiedykolwiek skali, świat głośno woła o rewolucyjną przebudowę. Celem naszych obecnych dociekań jest właśnie przegład tych wszystkich sił, które rozbudzone być mogą do tego celu, ocena możliwości wprowadzenia ich w życie i — jeśli rzecz okaże się wykonalna — przeprowadzenie jej z maksymalną wydajnością i w najkrótszym możliwie czasie.

II

TROJAKI NAKAZ

Jedyną drogą wszczęcia ruchu rewolucyjnego jest praca szczupłej, żarliwej elity. Poprzez cały ciąg historii grupa taka powstawała zawsze w chwilach wzburzenia umysłów. W czasie obecnego kryzysu, bardziej uniwersalnego niż wszystkie uprzednie, nie ma powodu wątpić, że grupa taka powstanie również. Czy pojawi się taktyczna konieczność zasklepienia i opóźnienia jej pracy a wreszcie zamknięcia jej zdolności stopniowego przystosowywania się do warunków, w ramy wysoce zdyscyplinowanej, dogmatycznej organizacji takiej jak ta, która stłumiła światową atrakcyjność idei komunistycznej?

Odpowiedź brzmi: Nie. A to ze względów różnorodnych a niezaprzeçalnych. W ubiegłych trzydziestu latach sytuacja światowa zmieniła się zasadniczo i warunki, w których obecnie „rewolucjonista światowy“ zabierać się musi do swego dzieła, są dogłębnie różne od tych, z którymi miał do czynienia jego poprzednik czterdzieści lat temu.

Należy tutaj stwierdzić raz jeszcze istotę tej podstawowej zmiany. Jest to konieczne, ponieważ niemal w całym świecie mamy obecnie do czynienia z masami, które wprawdzie wyzbyły się analfabetyzmu, lecz ulegają powszechnemu złudzeniu, że posiadają sztukę czytania i pisanja oraz, że język, którego używają, jest znakomitym instrumentem wyrazu. Wskutek tego ofiarowujemy im książki i broszury, które bynajmniej nie są tak jasno i dobrze napisane, jak nam się to wydaje i wyobrażamy sobie, że oni świetnie zrozumieją to cośmy rzekomo powiedzieli.

Tak mają się sprawy nawet wśród t.zw. inteligencji. Cokolwiekbyśmy przedłożyli tym t.zw. „inteligentom“, rozejrzą się oni tylko za znanymi im zdaniem, które wydadzą się zgodne z ich zainteresowaniem, lub też za

frazesami, które podniecą ich do bezwzględnego sprzeciwu. Następnie zareagują odpowiednio i przejdą do porządku dziennego nad wszystkim co będzie nowe i obce, jako nad rzeczą absolutnie nie wartą uwagi. A więc powtarzam cierpliwie po raz bodajże dwudziesty to, co oni stale prześlępiają, mianowicie, że od początku tego wieku warunki przetrwania gatunku ludzkiego odmieniły się w sposób trojaki.

Po pierwsze, wskutek rozwoju nowych środków komunikacji, a szczególnie transportu powietrznego, radia i t.p. nastąpiło to, co nazywamy obaleniem przestrzeni. Przy utrzymaniu suwerennej niezależności państw, ten właśnie czynnik oznacza, między innymi, możliwość nagłych „Wojen Błyskawicznych“, bez wypowiedzenia. Oznacza to również zniesienie w praktyce pewnych różnic, istniejących dawniej w teorii zawsze, choć w praktyce nie zawsze: różnic między ludźmi biorącymi bezpośredni udział w wojnie i nie biorącymi w niej bezpośrednio udziału. Ponad to, łatwiej jest dziś administrować światem w ramach jednego systemu, niż było dwieście lat temu rządzić Wielką Brytanią z Westminsteru. W wyjątkiem przestarzałych barier celnych, granic, monopoli i systemów monetarnych, świat tworzy dziś jedną całość nie tylko politycznie, lecz również gospodarczo. Ruch rewolucyjny, który uzna tę prawdę, różnić się będzie już w zarodku od ruchu, który ją pominię. Ten pierwszy będzie całkowicie światowy, drugi — lokalny i nacjonalistyczny. Co za tym idzie różne będą wszystkie następstwa ruchów zarówno społeczne, jak administracyjne. Musimy uprzytomnić sobie powyższą alternatywę. Wiek państw suwerennych, rozpoczęty w erze przedhistorycznych gmin grodzkich, skończył się. Chaos obecny oznacza właśnie jego upadek.

Oto fakt pierwszy, na który w dalszym ciągu nie zwraca uwagi ogromna ilość intelektualistów. Zapytani, odpowiedzą że jest to rzecz oczywista i banalna, lub nie powiedzą nic zgoła i czym prędzej powrócą do planów i sugestii, które ów właśnie fakt wyklucza. I cóż począć z takimi ludźmi?

Drugim oczywistym faktem, który mniej lub bardziej ściśle wiąże się z pierwszym, a który ma obecnie powszechne znaczenie, jest niesłychany wzrost siły niszczenia w świecie. Zjawisko to zachodzi wskutek niekontrolowanej eksploatacji dóbr naturalnych przez światowy zespół finansjery i wielkiego interesu, znajdującego się poza zasięgiem władzy jakiegokolwiek z istniejących rządów a w rzeczy samej rządzącego owymi rządami.

Jest to zespół oparty raczej na instynkcie niż na zmoiwie, zespół typów zaborczych, obawiających się kontroli i — jako masa — przeciwnych jakiegokolwiek, na światową skalę zakreślonej konserwacji bogactw naturalnych naszej planety. Jest to stado rozgęganych na cały świat businessmenów księgujących i sumujących bilanse. Ich uczucia anty bolszewickie graniczą z szaleem, ponieważ myśl o jakimkolwiek światowym systemie socjalistycznym, lub komunistycznym godzi w podstawy ich bytu. Skądinąd są oni tak obojętni na politykę czy humanitaryzm, że przez lata dostarczali Japończykom wszelkich materiałów wojennych, których ci potrzebowali do systematycznego mordowania i dręczenia milionów, oraz do obecnego niszczycielskiego wysiłku panowania nad światem. Dostarczali oni Japonii benzyny i metali aż do chwili jej ataku na Honolulu. I byli do tego stopnia ślepi na konieczność zabezpieczenia swoich własnych ubezpieczeń, że poświęcili organizację obrony wojskowej swoich wielkich bogactw w nafcie, kauczuku i t.p. w imię paskarstwa. Spodziewali się, że sprawami tymi zajmie się Królewska Marynarka i podatek brytyjski.

„Zywiliśmy rękę która nas kasa“ (sic)

United Press podaje: „Washington, 8 grudnia.—Bomby, które posypały się na Honolulu wyrobiono z metali przesłanych ze Stanów Zjednoczonych. „Wasz kraj przez wiele lat dostarczał Japonii surowców wojennych. W rzeczy samej dostawy te wzrosły po rozpoczęciu inwazji Chin.

„W roku 1937 dostarczyliśmy 54,54% wszystkich importowanych przez Japonię materiałów wojennych o znaczeniu strategicznym. W roku 1938 cyfra ta wzrosła do 56%.

„W roku 1938 dostarczyliśmy Japonii 91% złomu żelaznego importowanego przez nią, 68% środków napędowych, 98% stopów żelaznych, 92% miedzi, 99,6% metali i domieszek, 77% samochodów i części zamiennych, 70% obrabiarek metali, 63% samolotów i części samolotowych.

„W roku 1939 w dalszym ciągu eksportowaliśmy ze Stanów Zjednoczonych żelazo do Japonii.

„Kraj nasz nienial całkowicie zaopatrywał Japonię w potrzebną jej gazolinę lotniczą.

„W roku 1940 nałożyliśmy embargo na żelazo, lecz pozwoliliśmy eksportować metale nie sklasyfikowane jako takie np. szyny kolejowe w dużych ilościach; wywóz złomu z Wysp Filipińskich nie był zabroniony.

„W roku 1940 wywieźliśmy do Japonii dóbr za sumę \$ 227.204.000, w zamian za co otrzymaliśmy artykuły nie mające żadnego znaczenia militarnego.

„W pierwszym kwartale 1941 roku transporty morskie szły w dalszym ciągu. Stany Zjednoczone wysłały Japonii 8.341.000 funtów ołowiu, prawie trzy razy więcej, niż w tym samym okresie w roku 1940.

„Wysłaliśmy 1.097.000 beczek gazoliny — niemal pięciokrotnie tyle, co w pierwszym kwartale 1940 roku.

„Dopiero w połowie lata stosunki handlowe z Japonią zostały zahamowane“.

Oczywiście dzięki tej finansjerze powstały wielkie długi i na zachowaniu wpływowych grup bankowych w Chinach, Ameryce, W. Brytanii, Francji i innych krajach, może się jeszcze odbić nedorzeczna nadzieja, że kiedyś w jakiś sposób zdołają odzyskać swoją krawawicę.

Nie jest to nowością w historii finansjery. Francuskie armaty pod Waterloo zostały dostarczone przez londyńskie City. Po Elbie Napoleon zdołał uzyskać w Londynie pożyczkę £4.000.000 na 8 procent. Jednak świat postępuje naprzód. W tych odległych dniach nie istniała jeszcze organizacja United Press, by ściągnąć uwagę na te sprawy.

T.zw. antybolszewicki, wolny, demokratyczny „business“ wytworzył w świecie, specjalnie zaś w Ameryce, nieodpowiedzialny sposób życia na szeroką skalę dla znikomej mniejszości, zgubne wahania w stanie zatrudnienia, stały niepokój, niewygody i prostrację mas — oraz całą serię „kryzysów“, skulminowanych w światowym upadku bankowości przed obecną wojną. Wielka awantura nazistowska została narzucona ludzkości przez ludzi takich jak Thyssen (patrz: „I paid for Hitler“) i Hugenberg. To nie kto inny, jak Wielki Business Amerykański obrócił Manillę w dymiące zgłiszczą.

Ameryka jednak, pomimo, że jest typowym krajem „swobodnego, demokratycznego business'u“, jest zarazem krajem, w którym powstały najskuteczniejsze projekty jego opanowania. Teodorowi Roosevelt'owi zawdzięczamy pojęcie „konserwacji“, t.zn. ochrony bogactw naturalnych Ameryki przed marnotrawstwem Wielkiego Business'u. Ameryce zawdzięczamy śmiały eksperyment społeczny Doliny Tennessee. P. Gifford Pinchot zaś najlepiej wykazał konieczność i metody uprowadzenia scałkowanego, światowego systemu konserwacji. Nie ma tam miejsca na walkę klas. Jest to protest trzeźwych, przyzwoitych ludzi przeciwko sposobom życia, który uważają za zgubny i nieznośny (osławiony „Amerykański sposób życia“).

Nie od rzeczy będzie przypomnieć, że Amerykańska Partia Komunistyczna odpowiadała na wszystko powyższe wojowniczym wrzaskiem. Zbiegł się on z krzykiem ich przeciwnika katolickiego, Westbrook Peglera — w skoncentrowanym ataku na konstruktywną rewolucję. Wypowie-

dzenie wojny Rosji przez Hitlera i Ameryce przez Japonię, położyło kres temu duetowi. Ralph Ingersoll z nowojorskiego wieczorowego dziennika P.M. mówi, że gdy zapytał w Rosji, co sądzą tam o działalności Amerykańskiej i Brytyjskiej Partii Komunistycznej, wyrażano się o nich z pogardą.

Wrodzony snobizm młodzieży uniwersteckiej ucierpiał niepomrotnie na skutek opinii, że konstruktywny rewolucjonista nie jest zwykle zorganizowanym członkiem partii, lecz t.zw. salonowym bolszewikiem i że kolor jego bywa raczej różowy, niż wyraźnie czerwony. Dorastający młodzieniec w każdym kraju, z niecierpliwością oczekuje zostania „regularnym członkiem“ i skłonny jest czuć się nieswojo w salonach. Z reguły palą oni, plują i klną, wiedzą wszystko o kobietach i zaciągają się w szeregi krańcowo czerwonych, lub faszystów, co też zdarzyć się może. Mimo to różowy kolor jest oznaką zdrowia, a czerwony apopleksji.

Jasne jest, że zanim zdobędziemy się na krok w kierunku reorganizacji i rehabilitacji spraw ludzkich, musimy się zdecydować czy jesteśmy niedwuznacznie za Światową Konserwacją. Jeśli tak, to domagamy się znowu stworzenia władzy, która usunie, lub będzie w możności działać ponad głowami wszystkich istniejących dziś na świecie rządówi czyli po prostu domagamy się światowej rewolucji.

A zatem wszystkie nasze szczegółowsze idee na temat rekonstrukcji świata muszą zostać podporządkowane powyżej powziętej decyzji. Nie można akceptować rewolucji „w zasadzie“, by później powracać do grzebania się w błahostkach.

Przechodzimy obecnie do 3 zasadniczego faktu, który zasługuje na uwagę każdego uczciwego zwolennika rekonstrukcji świata. Fakt ten to szybkie zanikanie analfabetyzmu w świecie. Wszelkie warianty społeczeństwa panów i sług, które rozkwitały i wydawały owoce na trzęsawisku ludzkiej mordęgi i pańszczyzny, od początków rolnictwa i dyscypliny społecznej, trzymały się ignorancją niższej warstwy. Dość nagle jednak, w ciągu jednego pokolenia mn.w., ulepszenia techniczne usunęły potrzebę mozolu fizycznego, robocizna ludzka zastąpiona została robocizną mechaniczną, tak udatnie, że nabyta po latach „terminowania“ umiejętność rękodzielnika, nie może z nią konkurować. Proces wytwórczości zmienił się, siła robocza musiała zostać przeniesiona na inne pola działalności, klasa panująca stanęła przed zagadnieniem przystosowania robotnika do nowego aparatu. Podnoszący się poziom komfortu, usługa przy stole, wizyty listonosza, bardziej skomplikowane przepisy kucharskie, spowodowały pomniejszenie wartości całkowicie nieoświeconej służby. Współzawodnictwo zaś instytucji religijnych wkładało księżeczki do nabożeństwa i biblie w ręce najprostszych ludzi. I tak w całym świecie wraz z podnoszeniem się stopy życiowej i z rozpowszechnieniem oswobodzicielskich maszyn, klasa panująca stanęła w obliczu niebezpiecznej konieczności uczenia mas czytania i pisania.

Zostało to uczynione niechętnie i małodusznie. Instytucje religijne postawiły sobie za cel połączenie pewnego rodzaju służalczej wydajności swych uczniów z nabożnym poniżeniem. Mimo to pupile dorastając zaczęli zawsze czytać pokryjomu. Czytano chciwie literaturę pornograficzną, historie kryminalne i rzeczy pobudzające niechęci międzyklasowe. Tanie, popularne druki od samego początku wymknęły się kontroli a prostoduszna ambicja Carnegie'go unieśmiertelnienia swego imienia, dostarczyła ciepłego pokoju i szerokiej lektury, każdemu mówiącemu po angielsku człowiekowi, który w chwilach wolnych od pracy pragnął dowiedzieć się jak rzeczy stoją.

Na początku mechanizacji świata Anglicy z największą troską usiłowali wytworzyć typ szkolnictwa, wyłącznie na użytek dółów społecznych, obsługiwanych przez specjalnie przygotowanych nauczycieli elementarnych. Ich udany bunt przeciw niższości stanowi jeden z najbardziej podnoszących

na duchu rozdziałów historii nauczania. Konserwatywny brytyjski w dalszym ciągu walczy jednak z zagrażającym mu złaniem się wszystkich instytucji nauczania w jeden system oświecenia publicznego. Tym niemniej nie ma już dziś wśród umiejących czytać demokracji warstwy społecznej gdzie nie możnaby znaleźć ludzi czytanych, myślących jasno, zaś przynależność do wyżyn społecznych nie jest bynajmniej równoznaczna z posiadaniem powyżej wymienionych cech. W dzisiejszych czasach klasy wyższe zachowały mało, lub nic ze swego autorytetu. Wymknął się on im i nie potrafią sobie wyobrazić, by w jakikolwiek sposób mógł do nich powrócić.

Nie jest to jednak jedynym rezultatem nowoczesnej mechanizacji życia i ogromnego nieustannego wzrostu jego produkcyjnej wydajności. O wiele poważniejszym problemem dla reakcjonistów jest bezrobotny młody człowiek, nie posiadający widoków na to, co niegdyś uważano za normalną, zadawalający sposób życia. Ten to właśnie młody człowiek jest centralną postacią obecnej katastrofy światowej. Coraz więcej młodych, inteligentnych kobiet stawać będzie zapewne w jednym z nim rzędzie. W kochanej przeszłości szlacheckiej ten młody człowiek nie przeszedłby żadnych w ogóle szkół, lub w najlepszym wypadku, otrzymałby około roku trwającej nauki. W wieku lat dziesięciu lub jedenastu rozpocząłby zarabiać na życie. Wielu takich umierało pizdwcześnie. Procent śmiertelności był wystarczająco wysoki, by zapobiec poważniejszemu przyrostowi ludności. Nawet w dziesięcioleciu 1831-1841 ilość ludności w Anglii nie wzrosła. Obecnie przedstawia się to inaczej. Młody człowiek żyje i czyta. Pomimo, że wciąż jeszcze skłonny jest do przesądu o wyższości „lepszej“ klasy, jest równie dobrze poinformowany o sprawach publicznych, jak ktokolwiek inny. Lata zaś nieudolnego prowadzenia wojny wybijają mu z głowy ów przesąd. Wyobraźnia jego pobudzana jest nie tylko przez obfitą lekturę. Na falach eteru, w kinie, czy też poprzez plotkę do świadomości jego dociera fakt istnienia gdzieś, obok, sposobu życia godnego zazdrości, który wydaje się być poza jego zasięgiem. Dlaczego, pyta on ze stale wzrastającą przenikliwością czemu ma to być nieosiągalne dla niego. Wszędzie w świecie żywotność płciowa nagli go do ożenku i do szukania pracy. Nie znajduje on jednak pracy, nie może utrzymać domu, wolno mu się żenić, lub nie, i tak oto płacze się biedak bez przydziału, pełen niecierpliwości życia. Niemiecki aspekt tego zagadnienia przedstawił Hans Fallada w „*Cóż dalej, szary człowieku*“. Oto na rogu ulicy stoi nasz bohater gotów pracować na kogokolwiek bądź, pelen tej naglącej pasji życia, która jest kwintesencją ludzkiej żywotności.

Czasami staje się on zbrodniarzem, choć nie zawsze zbrodniarzem dzielnym i brutalnym. Opowiada o tym Marek Benney w książce „*Low Company*“. Ale to jest krańcowa forma buntu osobistego jednostki. Jeśli nawet nie zostanie powzięty ten krok ostateczny, należy jednak coś, lub kogoś obwinąć. I w tej właśnie chwili pojawia się na scenie awanturnik polityczny, sugerując, że wszystko to jest spiskiem Żydów, kapitalistów, czy też komunistów, albo rezultatem Traktatu Wersalskiego. Nie tylko sugeruje, ale ma w pogotowiu mundur i żołd, i wspomnienia, i poczucie „dobrej roboty“. Czyż trzeba rozwijać dalej tę historię?

Oczywistym więc jest, że jeśli mamy uratować świat od rozpadnięcia się wskutek nadmiaru energii produkcyjnej, której głównym, żywym owocem jest ten właśnie szary młody człowiek, musimy zainteresować go głębiej bytem ludzkim, zaspokoić jego potrzebę samourzeczywistnienia, zapewnić mu udział w powszechnych sprawach świata. Oto nakaz chwili. Nie ma innego wyjścia z nieskończonego chaosu. Aby to wyjście osiągnąć, jest również konieczne, aby świat stał się polem stale wzrastającej przedsiębiorczości. Nie ma dla obecnego świata innej drogi, niż w górę.

Jak wejść na tę drogę? Świat jest przecież w długach. A więc, jeśli

trzeba, skreślmy długi. Pieniądz jest dla człowieka, nie człowiek dla pieniądza. Większość długów wynika z społecznych przywłaszczeń przeszłości. Całkiem po prostu skreślmy je z bilansu. W świecie w którym gwałtownie wzrasta zdolność produkcji, niebezpieczną i śmieszną rzeczą dla „oszczędzającej publiczności“ byłoby walczyć z inflacją. Kurczącą się siłę nabywczą pieniądza zapisać należy na karb strat nieuchronnych w czasie wielkiej wojny. Nasz młody człowiek, który reprezentuje gatunek ludzki, nie może być złożony w ofierze na ołtarzu pieniądza. Nie ma też potrzeby strącania tłumów w tę nędzę, która straszy po nocach Dziekana Inge, jako że w coraz bardziej produktywnym świecie dość będzie dóbr dla wszystkich, za wyjątkiem chciwców.

Aby jasno wyłożyć i zabezpieczyć możliwości życiowe naszego młodego człowieka, nakreślona została przez reprezentacyjną grupę liberalnych myślicieli pod przewodnictwem Lorda Sankey'a—Deklaracja Praw Człowieka. Zamierzona ona została, ni mniej ni więcej, tylko jako wspólne dla całego świata prawo, które by stało ponad każdym innym sprzeciwiającym mu się prawem i które w granicach rozwijających się możliwości naszego globu zapewniłoby równe, sprawiedliwe szanse każdej istocie ludzkiej, przychodzącej na ten świat. Innymi słowy, Deklaracja usuwa system nierówności społecznych, który panował w zbiorowościach ludzkich od chwili ich powstania.

Niżej podpisany powtarza te zasadnicze rozważania na temat rewolucji światowej, bowiem — mimo że wykladał je na innym miejscu — na skutek własnej jego, zapewne, niedoskonałości wyrażenia, ale bardziej jeszcze na skutek powszechnego zwyczaju pobieżnego czytania — nie wydaje się, by myśli jego chwyciły. Nie pozostaje zatem nic innego, niż je powtarzać. Składają się one na trojaki nakaz, któremu podporządkować się musi rewolucja światowa.

Po pierwsze: Ustalenie nadrzędnej, *federalnej*, światowej kontroli transportu i komunikacji między państwowej.

Po drugie: Federalna konserwacja (czyli ochrona) bogactw przyrodzonych naszej planety.

Po trzecie: Podporządkowanie wszystkich sfederowanych państw świata wspólnemu podstawowemu prawu.

Wszystko powyższe napisane zostało z najwyższą troską o dokładność i oznacza akurat to, co głoszą słowa. Znaczenie każdego wyrazu jest wykrystalizowane w sposób ostateczny. Najważniejsze słowa podano kursywą. Autor nie żongluje słowami, ani nie ofiarowuje światu wdzięcznie zestawionej kombinacji luk w rodzaju Karty Atlantyckiej. Albo zgadzacie się, że powyższe trzy tezy są *śluszne*, albo musicie nas pożegnać i każdy we własnym kącie snuć będzie własny planik rekonstrukcji. Jeśli jednak tezy są *śluszne*, wówczas wynikające z nich dalsze plany muszą być w ścisłej z nimi zgodzie. Zaprzecz im, lub — jeśli potrafisz — wykaż, że są błędne. Przemyśl je dobrze, ponieważ, jak to sobie później przypomnisz, oznaczają rozstanie z wieloma sprawami, które wciąż jeszcze mają wpływ na twój umysł.

JERZY SKALSKI

KONFERENCJA ŻYWNOŚCIOWA W HOT SPRINGS

Wyniki konferencji żywnościowej wojnie, współpracy na dalszą metę, w Hot Springs są dobrą wróżbą na długiej fali. Na krótką metę, niestety, grają przytecznej i owocnej współpracy międzynarodowej po zwycięskiej jeszcze nakazy „power politics“ tak

jaskrawie ujawnione w projekcie UNRA — United Nations Relief and Rehabilitation Administration — całą sprawę pomocy powojennej przekazującym grubej czwórce: Stanom Zjednoczonym, W. Brytanii, Rosji i Chinom.

Powodzenie konferencji w Hot Springs zawdzięczamy po prostu temu, że delegaci 45 państw szli prostą drogą ku celowi: *jak zapewnić ludzkości, dwu miliardom istnień ludzkich, lepszy, obfitszy pokarm*. Prezydent Roosevelt nie zawahał się nazwać konferencji w Hot Springs „epokową“ a to dlatego, że „osiągając jednomysłność w sprawach trudnych i skomplikowanych, złożono wobec świata całego dowód, że Narody Zjednoczone są naprawdę zjednoczone nie tylko dla prowadzenia wojny, ale i dla rozwiązania wielu trudnych zagadnień pokojowych“.

Przemówienie Roosevelta do delegatów jest najlepszym komentarzem do uchwał konferencji, która w czterech sekcjach omówiła zagadnienia odżywiania, produkcji rolniczej, usprawnienie podziału i utworzenia międzynarodowego stałego ciała do spraw wyżywienia.

„Każdy kraj — mówił Prezydent Stanów Zjednoczonych, — ponosi odpowiedzialność wobec własnych obywateli za dostarczenie im żywności, niezbędnej dla zdrowia i życia. Poszczególne kraje będą jednak mogły osiągnąć ten cel, jeżeli wszyscy będziemy pracować wspólnie i zgodnie.

„Żaden kraj nigdy jeszcze nie posiadał wystarczającej ilości żywności, aby nakarmić całą swą ludność tak, jak istoty ludzkie powinny być karmione. Ale nigdy też narody reprezentujące 80% dwumiliardowej ludności kuli ziemskiej, nie zespoliły swych wysiłków dla osiągnięcia tego celu, dla rozwoju zasobów i bogactw świata tak, aby wszyscy ludzie mogli zaspokoić swoje potrzeby w zakresie żywności“.

Roosevelt położył szczególny nacisk na to, że cele, nakreślone przez konferencję, nie mogą być

osiągnięte bez wspólnych wysiłków w innych dziedzinach.

„Wzrost produkcji żywności — mówił — musi iść równoległe do wzrostu produkcji przemysłowej i wzrostu siły nabywczej. Trzeba stosować w skali światowej środki dla usunięcia przeszkód w wymianie handlowej, dla ustabilizowania walut, trzeba wykonać plany międzynarodowych inwestycji. Lepsze wyzyskanie zasobów przyrody i zasobów ludzkich powinno wpływać na wzrost stopy życiowej.

„Zagadnienia te wkraczają w dziedzinę polityki. *Wykonanie rozumnego i zdrowego programu rolnego zależy będzie od światowego bezpieczeństwa politycznego, a bezpieczeństwo to z kolei będzie tym mocniejsze w każdym kraju, im krajowi temu lepiej zabezpieczy wyżywienie“.*

I Roosevelt powtórzył swoje wyznanie wiary:

„Nasz cel ostateczny określić możemy w kilku prostych słowach. Celem tym jest zbudowanie dla nas i dla wszystkich ludzi takiego świata, w którym każda jednostka będzie mogła pracować z pożytkiem zarabiając tyle aby mogła zaspakajać potrzeby swoje i swojej rodziny, aby mogła swobodnie myśleć i wielbić swego Boga, aby mogła wybierać sobie przyjaciół według własnego upodobania, aby mogła zakończyć żywot w przekonaniu, że dzieci i wnuki korzystać będą z tych samych możliwości.

„Narody Zjednoczone są połączone w wojnie przeciwko obawie i niedostatkowi. Ta jedność jest równie silna i skuteczna jak jedność na polach bitew w tej światowej wojnie o wolność“.

Ta „epokowa“, według słów Roosevelta, konferencja jest pierwsza z serii, które mają opracować plany lepszego gospodarczego i społecznego ładu na świecie, mają tę drugą połowę naszego stulecia uczynić wiekiem człowieka — the century of a common man. Uchwały konferencji w Hot Springs ma oblec w postać konkretnych planów stały Komitet, zasiadający w Waszyngtonie.

Ton konferencji nadała deklaracja, przedłożona przez delegację brytyjską. Deklaracja ta stała się podstawą uchwał powziętych w Hot Springs. Ogłaszamy jej pełny przekład.

MEMORIAL RZĄDU BRYTYJSKIEGO

1. Po wygraniu ostatniej bitwy w tej wojnie, zadaniem naszym będzie zapewnić wolność od niedostatku. Celem narad Narodów Zjednoczonych tutaj, w Hot Springs, będzie zapewnienie całej ludzkości niezawodnych, dostatecznych i odpowiednich dostaw żywności. Powinniśmy przyjąć na siebie zobowiązanie, iż głównym celem naszym będzie *osiągnięcie lepszego odżywiania wszystkich ludów*.

POLITYKA KRÓTKOFALOWA

2. W przekonaniu delegacji Zjednoczonego Królestwa produkcja wojenna i podział żywności w czasie wojny nie są przedmiotem tej konferencji. Nie powinno być również zadaniem konferencji zajmowanie się sprawami organizacji „reliefu”. Jest to zagadnienie, które będzie omawiane gdzie indziej, i dla którego — mamy nadzieję — Narody Zjednoczone stworzą specjalny aparat.

Bezpośrednio po zakończeniu wojny nastąpi okres braków i niedostatku. Okres ten będzie miał dwie fazy. W pierwszej jego fazie głównym zagadnieniem będzie walka z głodem. Naszym naczelnym będzie dostarczenie dostatecznej ilości żywności o składnikach energetycznych — gdyż to właśnie zapobiega głodowi. Błędne byłoby przestawienie już w tym okresie produkcji z artykułów żywnościowych o składnikach energetycznych na artykuły o składnikach ochronnych, które będą potrzebne w następnym okresie.

Druga faza będzie przejściowa. Możemy oczekiwać, iż w okresie tym będziemy posiadali dostateczną ilość żywności, aby zaspokoić głód, co będzie naszym pierwszym zadaniem. Jednakże nie będziemy jeszcze w stanie produkować dostatecznej ilości niektórych artyku-

łów żywnościowych, koniecznych do utrzymania równowagi w diecie. Produkcja i dystrybucja będą jeszcze pod wieloma względami w stanie poważnej dezorganizacji. Zniszczone trzody nie mogą powrócić do stanu normalnego w okresie krótszym, niż kilkoletni. Oleje i tłuszcze będą w niedostatecznych ilościach przynajmniej do chwili, gdy odzyskane zostaną przestrzenie, okupowane przez Japonię. Podczas tej fazy nie możemy mieć nadziei na usunięcie niedostatku, możemy jedynie przynieść pewną ulgę.

Jakkolwiek Konferencja będzie zajmowała się sprawą organizacji „reliefu”, powinna ona, naszym zdaniem, rozważyć obydwie fazy okresu niedostatku. Po pierwsze dlatego, że czynniki odpowiedzialne za zorganizowanie „reliefu” nie będą w stanie znaleźć potrzebnych zapasów, jeżeli całokształt zagadnienia dostaw i potrzeb nie zostanie rozwiązany z góry; po wtóre dlatego, iż dopóki będziemy mieli niedostateczną produkcję artykułów, na które popyt jest najpowszechniejszy, będzie istniało poważne niebezpieczeństwo jaskrawej nierównomierności ich dystrybucji, jeżeli z góry nie zostaną przedsięwzięte kroki zabezpieczenia sprawiedliwego podziału.

Naszym zdaniem, byłoby rzeczą słuszną, aby Konferencja Żywnościowa uchwaliła, iż dopóki taki stan rzeczy będzie trwał, powinny istnieć *porozumienia międzynarodowe, któreby wpłynęły na maksymalną produkcję artykułów najbardziej potrzebnych oraz zapewniły równomierny i sprawiedliwy podział artykułów, których podaż jest niedostateczna*. Pociąga to za sobą konieczność sformułowania międzynarodowego planu produkcji i utrzymanie jakiegoś organu, któryby koordynował zakupy, przydziały i transport takich artykułów.

Niezależnie od zapewnienia jak najwłaściwszego zużytkowania istniejących zapasów, trzeba będzie stworzyć jakiś organ, który zająłby się sprawą przydziałów, ażeby nie powtórzyła się taka sama sy-

tuacja, jak bezpośrednio po ostatniej wojnie, gdy po zwyżce 1920 roku nastąpił nieunikniony spadek koniunktury w 1921 roku z fatalnym skutkiem zarówno dla producentów jak i spożywców.

WOLNOŚĆ OD NIEDOSTATKU

3. Gdy okres braków skończy się i rozpoczną się prace nad odbudową, międzynarodowy handel i inwestycje wejdą na tory, które — wierzymy — pomogą, nie zaś utrudnią, wzrostowi spożycia. Lecz to nie wystarczy. Będziemy musieli pójść dalej i wziąć się do olbrzymiego dzieła zapewnienia dostatecznej ilości właściwego pożywienia dla wszystkich ludzi po wszystkie czasy — co jest istotnym celem naszych obrad.

Podjemy *żądanie, którego nigdy jeszcze sobie nie postawiono i które będzie wymagało pełnego wysiłku naszych umysłów i naszej woli.* Pociągnie to za sobą nie tylko zmiany w systemach produkcji, lecz także poprawę w obyczajach odżywiania się milionów spożywców oraz rozwój handlu międzynarodowego do poziomu nigdy przedtem nieosiągniętego.

Usuńmy jednak odrazu pewne wątpliwości: poprawa sposobu odżywiania się nie oznacza wcale, iż każdy człowiek w każdej części świata będzie się identycznie odżywał. Różnice klimatyczne i sposobu życia wpływają na określenie, jakie pożywienie składa się w danych warunkach na właściwą dietę. Co więcej, upodobania i zwyczaje w jedzeniu uzależnione są przeważnie od artykułów żywnościowych, produkowanych na miejscu w danym kraju, które z kolei zależne są od gatunku gleby i klimatu.

Podchodząc do naszego głównego zadania zniesienia niedostatku, musimy mieć na uwadze ilościowe i jakościowe różnice w odżywianiu, zarówno w granicach każdego kraju, jak i między krajami. Metody, które mogą być zastosowane skutecznie w jednej części świata, mogą się okazać nieodpowiednie i niewłaściwe w innej.

W wielu krajach np. ludność składa się przeważnie z rodzin chłopskich i farmerskich, żyjących z pożywienia, które zbierają ze swej roli. W takich krajach poprawa diety musi być osiągnięta przez wzmoczenie wydajności i urozmaicenie produkcji rolniczej. W krajach takich polityka rolna staje się polityką wyżywienia, a doświadczenia kolonialne np. Zjednoczonego Królestwa wskazują, że wykształcenie rolnicze i poprawa warunków bytu na wsi są zasadniczym warunkiem postępu.

W wysoko uprzemysłowionych krajach gdzie konsument kupuje swoją żywność, wiele można osiągnąć przez subsydiowanie produkcji i konsumpcji żywności ochronnej jak np. mleko, przez zapewnienie gorących posiłków zbiorowych dla dzieci szkolnych, robotników fabrycznych, oraz przez ustalenie cen, któreby zachęcały spożywców do kupowania i konsumowania artykułów, o wyższej wartości odżywczej.

Dalej, możliwa jest poważna poprawa wartości diety przez ustalenie minimalnych standartów jakości i wartości odżywczej najpoższeniejszych artykułów, jak np. przez dodanie witamin do margaryny. Wiemy z własnego doświadczenia w Zjednoczonym Królestwie podczas wojny, iż nawet w warunkach znacznych braków można wiele uczynić przez naukę przyrządzania artykułów, dostępnych na rynku.

Niechęć w stosunku do zmian w osobistych upodobaniach nigdzie nie jest tak ostra, jak właśnie wobec codziennego pokarmu. Stąd wychowanie i perswazja są tak ważnymi czynnikami w przeprowadzeniu planu poprawy odżywiania. Innymi słowy, *powinniśmy starać się dać ludziom pożywienie, które lubią, ale jednocześnie propagować takie potrawy, których potrzebują dla zdrowia.*

ZASADY ROLNICZE

4. Warunki skutecznej produkcji rolnej różnią się krańcowo, ale rolnictwo wszędzie uzależnione jest od pewnych praw fizycznych i biologicznych, i dlatego istnieją

pewne zasady, które można zastosować do wszystkich krajów dla wydajnej uprawy ziemi. Stąd też, gdy podchodzimy do zagadnienia dostaw żywności, musimy najpierw ustalić i uzgodnić szereg zasad, które każdy naród może zastosować, określając swoją politykę żywnościową, i których zastosowanie uzna za słuszne i dla innych narodów.

Zasady te dotyczą takich spraw, jak utrzymanie urodzajności gleby, zapobieganie wietrzeniu gleby, podział nawozów i wprowadzenie zrównoważonej wytwórczości rolniczej. Zasady takie miałyby podwójne znaczenie. Po pierwsze, dałyby ogólne wskazówki, jak wszędzie postawić produkcję i konsumpcję żywnościową na wysokim, niezmiennym poziomie. Następnie, powinno doprowadzić do pełnego zrozumienia i współpracy narodów w dziedzinie polityki żywnościowej.

W przekonaniu delegacji Zjednoczonego Królestwa, Konferencja powinna ogłosić podstawowe zasady produkcji żywnościowej. Zastosowanie tych zasad kolejno w poszczególnych krajach uzależnione być musi od różnic klimatycznych i różnic gleby. Jest to już sprawa poszczególnych rządów; jeżeli jednak będą się wszyscy opierali na szeregu wspólnych zasad, osiągnie się jaknajlepsze wyniki dla wszystkich.

HANDEL MIĘDZYNARODOWY ARTYKUŁAMI ROLNICZYMI

Ciemność przyrody i klimatu poszczególnych krajów prowadzi do tego, że mimo, iż większość ludzi odżywia się głównie produktami własnej gleby, wszystkie kraje w pewnej mierze, a niektóre nawet w dużej mierze, zależą od produktów importowanych. Jednym z jaskrawych rysów okresu między wojnami był stan bezładu na międzynarodowych rynkach żywnościowych i surowcowych. Jakkolwiek sprawy ogólnej polityki handlowej leżą poza kompetencją konferencji, powinniśmy poświęcić wiele uwagi zagadnieniu handlu międzynarodowego w zakresie pro-

duktów żywnościowych i innych produktów rolnych.

Musimy nakreślić system międzynarodowego handlu tymi produktami, któryby zapewnił krążenie dóbr od producenta do konsumenta po cenach w miarę możliwości stałych i dla obydwu stron korzystnych.

Rysem szczególnym handlu produktami rolniczymi, który odróżnia go od handlu innymi artykułami, jest to, że nie można z góry ustalić dokładnych ilości, które zostaną wyprodukowane.

Zasadniczą przyczyną bezładu na rynkach w okresie między wojnami było ukazywanie się od czasu do czasu „nadwyżek“, które były tak wielkie w stosunku do handlu światowego, iż dezorganizowały rynki. Czyniono wysiłki w celu zmniejszenia tych nadwyżek przez podnoszenie konsumpcji, lecz wysiłki te były w większości wypadków bezskuteczne i *producenci byli zmuszeni do zastosowania pożałowania godnego eksperymentu ograniczania w produkcji.*

Delegacja Zjednoczonego Królestwa jest przekonana, iż *polityka ekspansji powinna zastąpić politykę restrykcji.* Musimy dlatego skierować nasze główne wysiłki w kierunku rozwiązania tych zagadnień przez wzmoczenie spożycia. Mamy przeświadczenie, iż jednym, niedającym się zakwestionować usprawiedliwieniem dla zmniejszenia produkcji jakiegoś niezbędnego artykułu, jest utorowanie drogi do wytwarzania artykułów bardziej jeszcze potrzebnych.

ZAPASY „BUFOROWE“

6. Wahania w wydajności pło-
nów są tak wielkie, iż jest rzeczą zupełnie niemożliwą oprzeć jakąkolwiek rozumną politykę na obliczeniach spożycia w stosunku do bieżącej produkcji. Systemem, dla pokonania takich trudności, w naszym przekonaniu w wielu wypadkach najskuteczniejszym, byłoby *stworzenie zapasów „buforowych“ pod międzynarodowym zarządkiem.* Zapasy te mogłyby być uzupełniane w okresie, gdy produkcja wzrośnie

poza zakrojone rozmiary, i możnaby z nich czerpać, gdy produkcja spadnie.

Takie zapasy służyłyby dwu celom. Nie tylko zapewniłyby konsumentom zawsze wystarczające dostawy, a producentowi pewnego odbiorcę, lecz także uchroniłyby obydwie strony od gwałtownych fluktuacji cen.

Z punktu widzenia delegacji Zjednoczonego Królestwa, czynniki odpowiedzialne za zarządzanie zapasami „buforowymi“ musiałyby dążyć do połączenia krótkiego okresu stabilizacji cen z długim okresem takiej polityki cen, która wyrównuje podaż i popyt i pozwole na stałe rozbudowywanie wytwórczości najsprawniejszych producentów. Osiągnięcie tego celu powinno być możliwe przez uelastycznienie cen, po których organy kontrolujące te zapasy kupują i sprzedają.

Ten sposób uporządkowania kontroli wydaje się nam właściwszy od opartego na kontyngentach wywozu lub produkcji. Zapasy „buforowe“ tego rodzaju są naturalnie koncepcją zupełnie odmienną od zapasów „buforowych“, stwarzających jedynie dla utrzymania poziomu cen.

Z tych względów delegacja Zjednoczonego Królestwa, powitałaby z zadowoleniem oświadczenie, iż nie będą stosowane zasady kontyngentów wywozowych jakichkolwiek produktów rolniczych bez kontroli organu, reprezentującego zarówno producentów, jak i konsumentów. Jednym z celów byłoby zachęcenie do przerzucenia produkcji z jednego rodzaju artykułów na inny, oraz do oddania tej produkcji bardziej wydajnym producentom. Dla tego też uważamy, iż władze państwowe powinny pozostawać w ścisłym kontakcie ze sobą i podlegać kierownictwu międzynarodowego ciała koordynacyjnego.

Powitalibyśmy również z zadowoleniem oświadczenie Konferencji, iż w interesie producentów i konsumentów artykułów rolniczych zostanie powołane do życia międzynarodowe ciało koordynujące dzia-

łania w zakresie administracji zapasami „buforowymi“ wszystkich ważniejszych produktów rolniczych, które nadają się do przechowania.

WOLNY PODZIAŁ ŻYWNOSCI

7. Musimy dążyć do osiągnięcia takiego systemu gospodarczego, w którym *każdy człowiek i każdy naród będzie mógł wytwarzać bogactwa i zarabiać na życie we współpracy z innymi, przy czym każdy wnosiłby do tej współpracy swój udział według swych zdolności i w miarę sprzyjających okoliczności.* Nie osiągniemy naszego celu, jeżeli jakkolwiek część świata zostanie uzależniona od pomocy innych. Taki stan rzeczy nie doprowadziłby do rozwoju zbiorowych zasobów gospodarczych i, naszym zdaniem, byłby szkodliwy dla przyszłych stosunków międzynarodowych. Jednakowoż uznajemy, iż mogą powstać okoliczności, w których artykuły spożywcze będą musiały być rozprowadzane w skali międzynarodowej do krajów najbardziej potrzebujących. Jesteśmy zdania, że najwłaściwszą metodą w takich wypadkach byłoby stworzenie organu międzynarodowego, któryby posiadał kapitały dla zakupu tych artykułów i rozdzielał je potrzebującym.

Jest rzeczą niezmiernie wązi uniknięcie niszczenia „nadmiarów“ artykułów spożywczych. Należy omówić zagadnienie odpowiednich kroków, które by zapewniły uniknięcie takiego niszczenia na przyszłość.

8. Jeśli mamy sprostać tym zadaniom, przede wszystkim będziemy potrzebowali nowej i powszechnej organizacji, która by nieustannie badała zagadnienia żywnościowe i rolnicze, zbierała dane naukowe i statystyczne, na których muszą się oprzeć zarówno badania jak i akcja. Taka organizacja powinna w pierwszym rzędzie posiadać niezawodne dane statystyczne oraz wszelkie informacje stale uzupełniane przez fachowców.

Te dane mają nie tylko dotyczyć głównych produktów rolnych, z których każdy posiada swoje specjalne właściwości i problemy, lecz

winni także rozciągać się i na wszelkie inne aspekty sprawy żywienia. Zadaniem takiej organizacji byłoby podjęcie badań naukowych, ogłaszanie sprawozdań o ich wynikach i udzielanie porad rządowi. Dbałaby ona o nie tylko wymianę informacji na tematy rolnicze i żywnościowe, lecz także udzielałaby pomocy rządowi w postaci dostarczania rzeczoznawców. Mogłoby się też okazać, iż organizacja ta byłaby pożyteczna zarówno dla dawania autorytatywnych wskazówek jak i bezpłatnego podziału żywności.

Poza tym, przy pomocy tej samej lub spokrewnionej organizacji, można byłoby zapoczątkować pierwsze stadium międzynarodowej współpracy w zakresie badań eksperymentalnych, w zakresie rolnictwa i odżywiania, których rozwój odda wielkie usługi wszystkim narodom.

NIEDOŻYWIENIE I POLITYKA GOSPODARCZA

9. *Głód i niedożywienie są charakterystycznymi symptomami głęboko zakorzenionej choroby — ubóstwa. Poruszane w tej deklaracji sprawy dotyczą żywienia i polityki rolniczej. Same*

w sobie nie mogą one uleczyć wielorakiej choroby ubóstwa. Ludzie nie tylko dlatego są niedożywieni, że nie mają dostatecznych dochodów dla kupowania odpowiedniego pożywienia, lecz i dlatego, że złe warunki mieszkaniowe i higieniczne nie pozwalają na postęp w odżywianiu, nawet gdyby właściwe pożywienie było rozdzielane bezpłatnie.

Żywność i polityka rolna są ściśle związane z międzynarodową polityką gospodarczą i przyszłością międzynarodowych inwestycji; są to części wspólnej całości i nie możemy skutecznie rozwiązać jednego zagadnienia bez zwrócenia uwagi i na inne.

Jesteśmy zdania, iż badanie przez konferencję zagadnień żywnościowych i rolniczych musi się rozciągnąć i na szersze zagadnienia gospodarcze. Jeżeli konferencja osiągnie pozytywne wyniki w sprawach stojących na jej porządku dziennym, uprości i otworzy drogę do dalszych rozważań na te tematy gospodarcze, którym Zjednoczone Narody będą musiały poświęcić całą swą uwagę w najbliższej przyszłości.

W numerach na lipiec i sierpień ukaza się między innymi: „Obóz śmierci“ — relacja krajowa z Oświęcimią, „Słupy graniczne“ — materiał z ruchu podziemnego Eurupy w opracowaniu Adama Ciolkosza. Wiersze Stanisława Balińskiego, Władysława Broniewskiego, Antoniego Słonimskiego, Juliana Tuwima oraz „Wiersze Żołnierskie“ poprzedzone słowem wstępnym Tymona Terleckiego. Artykuły i opowiadania: Karola Estreichera, Doroty Falskiej, Marji Kuncewiczowej, Ksawerego Pruszyńskiego, Czesława Poznańskiego, Floriana Sokołowa, Stefana Thémersona. Wspomnienie o S. Zygielbojmie Lucjana Blita oraz reportaż z Tobruku pióra Mieczysława Pruszyńskiego.